

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/285

1971



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

L. KOŁAKOWSKI :

TEZY O NADZIEI I BEZNADZIEJNOŚCI

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **DZIENNIK PISANY NOCĄ**

Zb. BYRSKI :

CZARNA LEWICA W U.S.A.

R. SKALSKI :

HANDEL ZAGRANICZNY PRL

B. ADAMSKI :

LUDOWY ZAMEK ?...

SPIS RZECZY

Leszek Kołakowski:	<i>Tezy o nadziei i beznadziejności</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	23
Czesław Miłosz:	<i>Zapisane wczesnym rankiem</i>	44
Zbigniew Byrski:	<i>Czarna lewica w Stanach Zjednoczonych</i>	45

ARCHIWUM POLITYCZNE

Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	65
Alicja Iwańska:	<i>Kuba i Chile</i>	73

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	77
Borys Lewickij:	<i>XXIV Zjazd KPZS</i>	83
Jan Sever:	<i>Przeciw „normalizacji”</i>	92
—	<i>Kronika czeska</i>	96

K R A J

Bogdan Adamski:	<i>Ludowy zamek?</i>	98
Ryszard Skalski:	<i>Rzeczywistość Handlu Zagranicznego PRL</i>	101

SPRAWY I TROSKI

Jolanta Dworzecka:	<i>Gdzie trawa jest zieleńsza</i>	108
T. R.:	<i>Polskie Liceum nad Marną</i>	112

KRONIKA KULTURALNA

Józef Łobodowski:	<i>W stulecie Łesi Ukrainki</i>	114
Zbigniew Byrski:	<i>2-gi Zjazd polskich naukowców w New Yorku</i>	122
—	<i>Działalność Bibliotek Polskich</i>	126

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Wspomnienia Nadzieży Mandelsztam</i> ..	123
Michał K. Pawlikowski:	<i>Zadra ocalałych</i>	141
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	143



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	145
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	146



Z. Bauman, Cz. Dobek, M. Drozd, M. K. Pawlikowski, T. Petrys, „Robotnik z Kanady”, H. Rozenstrauch, ks. W. Sojka, W. Zahorski:	<i>Listy do Redakcji</i>	153
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec-Juin

1971

INSTITUT



LITERACKI

POSZUKIWANIE

Syn Wiktora BRUMERA, teatrologa zmarłego w roku 1941 w Szkocji, jest poszukiwany przez osobę w kraju, przygotowującą pracę naukową o jego ojcu. Wszelkie informacje należy kierować na adres:

Prof. Tymon Terlecki, Slavic Department,
The University of Chicago,
1130 East 59-th Street, Chicago, Ill. 60637.

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Stanisław Czernski, Ste Foy, Que (Kanada), po raz szósty	F. 37,00
Prof. Jan Drewnowski, Haga, po raz drugi	F. 300,00
Koło b. Żołnierzy Armii Krajowej w Cleveland, Ohio (USA), uchwaloną przez Zarząd Koła in memoriam śp. Tatiany Abżółtowskiej — Matki Członkini Koła p. Pogórskiej, oraz śp. Czesławy Kozłowskiej — uczestniczki Powstania War- szawskiego	F. 275,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz jedenasty	F. 100,00
Bogdan Mieczkowski, Ithaka, N.Y. (USA), po raz piąty	F. 300,00
Rev. Iryneusz Nazarko, Weston, Ont. (Kanada), po raz piąty . .	F. 11,00
Alina Ormut, Kobe (Japonia)	F. 31,50
A. Yaremowicz, Hillspport, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 16,50
Andrzej Zajdler, Westlake, Ohio (USA), zamiast kwiatów na grób śp. Tatiany Abżółtowskiej	F. 110,00
Anonimowo (USA)	F. 5,50
Bezimiennie, New York, po raz czwarty	F. 27,50

DZIĘKUJEMY!

DO PRENUMERATORÓW „KULTURY”

Od kilku miesięcy dostajemy ciągłe reklamacje od naszych prenumeratorów ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, że *Kultura* dochodzi do nich po 7-miu a często 8-miu tygodniach.

Chcemy więc jeszcze raz podkreślić, że *Kultura* wysyłana jest zawsze w pierwszych czterech dniach miesiąca, jednego i tego samego dnia, do wszystkich krajów i do wszystkich czytelników i że spóźnienia są jedynie winą miejscowej poczty, na którą nie mamy, niestety, żadnego wpływu.

Jedynym przyspieszeniem jest wysyłka pocztą lotniczą. Wobec licznych zapytań podajemy, że dopłata lotnicza do *Kultury* kosztuje w tej chwili *dol. 7,50* rocznie do: Stanów Zjednoczonych i Kanady, oraz do wszystkich krajów Afryki i Ameryki Południowej.

Dopłata lotnicza do Australii, Nowej Zelandii, Japonii i Indonezji wynosi rocznie *dol. 10,00*.

Korzystając z okazji jeszcze raz przypominamy, że prenumerata *Kultury* kosztuje w roku bieżącym dolarów 15,00. Ponieważ niektórzy prenumeratorzy przez omyłkę przysyłają nam, jak dawniej, *dol. 12,00* wzgl. *dol. can. 13,00* bardzo prosimy o uzupełnienie.

Prenumerata *Zeszytów Historycznych* nie została w rb. podwyższona. Kosztuje jak dawniej, dla prenumeratorów *Kultury*, *dol. 6,00* rocznie.

REDAKCJA

Tezy o nadziei i beznadziejności

Streścimy krótko główne argumenty, jakie się zwykle przytaczać na rzecz twierdzenia o *niereformowalności* komunistycznego systemu społecznego w jego obecnej postaci. Twierdzenie to głosi, że główną funkcją społeczną tego systemu jest utrzymanie monopolistycznej i niekontrolowanej władzy rządzącego aparatu; wszelkie instytucjonalne i faktyczne zmiany, jakie nastąpiły lub dają się pomyśleć nie naruszają tej jego podstawowej zasady, której podporządkowane są wszelkie polityczne i gospodarcze poczynania panujących; monopol despotycznej władzy nie może być usunięty częściowo (co wydaje się niemal tautologią, jako że monopol nie może być „częściowy” na mocy definicji). Otóż wszystkie przemiany zasłże i wyobrażalne w ramach systemu są nieistotne i łatwo odwoływalne, gdyż nie mogą być zinstytucjonalizowane bez rozkładu całego mechanizmu. Zaspokojenie podstawowych oczekiwań zarówno klasy robotniczej, jak inteligencji jest niepodobieństwem w granicach określonych przez główną funkcję systemu. Mamy do czynienia z organizmem całkowicie nieplastycznym, pozbawionym urządzeń samo-regulujących i zdolnym do zmian tylko w obliczu gwałtownych katastrof, które zdarzają się od czasu do czasu, lecz nie pozostawiają, prócz powierzchownych ustępstw i przegrupowań w łonie rządzących klik, żadnych skaz na fizjologii całości. Stalinizm w sensie ścisłym, tj. krwawa i bezwzględna tyrania jednostkowa, był najdoskonalszym wcieleniem praktycznym założeń systemu; przemiany późniejsze, w szczególności znaczne złagodzenie terrorystycznej formy rządzenia, jakkolwiek istotne z punktu widzenia bezpieczeństwa jednostek, nie zmieniło w niczym despotycznej natury systemu ani nie ograniczyło swoiście socjalistycznych form ucisku i wyzysku. Ponieważ

podstawowe funkcje tego systemu społecznego skierowane są przeciwko społeczeństwu, które z kolei pozbawione jest jakichkolwiek instytucjonalnych form samo-obrony, tedy jedyna wyobrażalna przemiana musi mieć charakter gwałtownego przewrotu. Przewrót taki, co więcej, daje się pomyśleć tylko w skali całego światowego systemu socjalistycznego, jako że, stosownie do powszechnie znanych doświadczeń, przewaga wojskowa sowiecka zawsze będzie wykorzystana dla zdławienia wszelkich lokalnych prób rewolucyjnych. Konsekwencją takiego przewrotu miałyby być — wedle nadziei jednych — społeczeństwo socjalistyczne w sensie określonym przez marksistowską tradycję (tj. społeczne zarządzanie procesami produkcji i rozdziału, zakładające system przedstawicielski) bądź — wedle innych — przejście na Zachodnio-europejski model kapitalizmu, który w obliczu ekonomicznego i ideowego bankructwa socjalizmu jest jedyną godną zaufania drogą rozwoju.

A oto najważniejsze osobliwości sowieckiego modelu socjalizmu, które mają sprawiać — wedle tej argumentacji — że wszelkie nadzieje na jego częściowe, stopniowe lub drogą kolejnych reform sprawiane „uczłowieczanie”, muszą być daremne (mowa o „strukturalnych” osobliwościach, które dają się wykryć we wszystkich krajach zbudowanych wedle sowieckiego wzoru).

1. To, co zwykło się nazywać „demokratyzacją” systemu rządzenia jest niewyobrażalne wewnątrz tego modelu. Albowiem despotyzm polityczny i monopol rządzącego aparatu w zakresie zastosowania środków produkcji, inwestycji, zatrudnienia i rozdziału dochodu narodowego, warunkują się wzajem. Monopol polityczny rządzącej oligarchii wspiera się na jej pozycji jako jedynej pracodawcy i jedynej zarządcy środków wytwarzania. Dlatego każdy, choćby niedoskonały, lecz rzeczywisty ruch w kierunku politycznej demokracji oznacza *częściowe wywłaszczenie* klasy rządzącej, która, nie będąc prawnym właścicielem środków produkcji, ma wszystkie uprawnienia i przywileje zbiorowego posiadacza. W tej dziedzinie fundamentalnej wszelkie odstępstwa od zasady są pozorne: można bez szkody pozwolić robotnikom na dyskusje odnoszące się do ich zakładu pracy i można pozwolić na to, by komisje sejmowe, wyznaczonego przez aparat partyjny, dyskutowały szczególne polityki gospodarczej. Wszystkie decyzje tak czy owak podejmowane są przez te same organy, nie podlegające żadnej społecznej kontroli, a ewentualne odchylenia od ich życzeń, ujawnione w dyskusjach, nie mają znaczenia, gdyż wskutek drobiazgowego nadzoru nad informacją nie mogą przybrać formy społecznego nacisku. Wszystkie proponowane przez ekonomistów próby reform zmierzają jednak w kierunku, który osłabia znacznie monopol gos-

podarczych decyzji rządzącego aparatu i grozi jego częściowym wywłaszczeniem, nie mogą się tedy powieść.

2. Naturalną tendencją systemu jest nieustanna redukcja roli ekspertów, w szczególności w polityce gospodarczej, socjalnej i kulturalnej. Grona ekspertów bywają tolerowane, o ile nie roszczą sobie żadnych praw do podejmowania decyzji, lecz nawet w tej czysto doradczej funkcji są, jak doświadczenie uczy, tolerowane niechętnie i w miarę możliwości likwidowane lub zastępowane przez ciała pozorne, z góry dobierane wedle kryterium politycznego serwilizmu. Przyznanie ekspertom jakiegokolwiek roli rzeczywiście znaczącej w podejmowaniu decyzji byłoby również redukcją zakresu władzy klasy rządzącej. Dlatego niedoświadczenie, marnotrawstwo energii społecznej i środków materialnych, władza niekompetentnych, są niejako wbudowane w mechanizm rządzenia i nie mogą uchodzić za jego tymczasowe defekty, naprawialne w przyszłości. Mechanizm ten nie dopuszcza, by czysto „techniczne” kryteria, nie podporządkowane zadaniu utrzymania i wzmacniania istniejącej władzy, miały wpływ na jego funkcjonowanie.

3. Swoboda informacji — niezbędny warunek sprawnego funkcjonowania zarówno gospodarki, jak szkolnictwa i kultury — jest najoczywiczniej nie do pomyślenia bez ruiny całego systemu władzy, który w warunkach swobodnego przepływu informacji zginąłby niechybnie w krótkim czasie. Ale, co więcej, niewykonalny jest również projekt informacji zamkniętej, dostępnej dla rządzących w dawkach stosownych do hierarchii władzy. Innymi słowy, rządzący, choćby łudzili się w tym względzie i nawet zabiegali aktywnie o niefałszowaną informację dla własnego użytku, będą nieuchronnie dezinformowani i od czasu do czasu muszą padać ofiarą swoich własnych kłamstw. Minęły wprawdzie czasy, kiedy Stalin radził sobie z niedość różową statystyką w ten sposób, że mordował statystyków, a wiadomości o życiu w kołchozach czerpał z filmów o kołchozach. Niemniej usunięcie dezinformacji karykaturalnej nie zmienia faktu, że dezinformacja rządzących jest również wbudowana w mechanizm. Wynika to z dwóch co najmniej okoliczności. Po pierwsze, dostarczycielami informacji zamkniętej są najczęściej ci sami, którzy w rządzącym aparacie niższych szczebli ponoszą odpowiedzialność za sprawy, o których informują. Jest tedy rzeczą normalną, nie zaś wyjątkową, że informacja niepomyślna jest samo-donosicielstwem, którego trudno w znacznej skali oczekiwać od ludzi, a także, że przynoszenie pożądaných wiadomości jest nagradzane, zaś przynoszenie niepomyślnych — karane. System ten, oczywiście, rozszerza się w naturalny sposób na wszystkie kategorie informatorów. Przykłady karania

za przynoszenie złych wiadomości są niezliczone i wszystkim znane. Po wtóre, gromadzenie informacji o życiu społecznym, nie ograniczone niczym prócz dążenia do ustalenia faktycznego stanu rzeczy, wymagałoby powołania znacznego aparatu, wolnego od wszelkich serwitutów politycznych i pracującego w warunkach całkowitej swobody w zbieraniu, chociaż nie w przekazywaniu wiadomości. Aparat taki byłby nie tylko nienaturalnym dziwologiem w systemie, ale stanowiłby źródło politycznego niebezpieczeństwa, gdyż byłby organizmem z założenia nie poddanym „ideologicznym” restrykcjom i wolnym od powinności służalczych. Po nadto, znaczna masa informacji w ten sposób zbieranych nieuchronnie wzmaga napięcie wewnętrzne i konflikty na wyższych szczeblach aparatu, który z niej korzysta, jako że nie ma prawie informacji całkiem niewinnej, ale niesfałszowane wiadomości o życiu społecznym są natychmiast wykorzystywane przez wszystkie konkurencyjne grupy czy kliki aspirujące do wyższych stanowisk, przeciwko tymże stanowisk aktualnym posiadaczom. Jakkolwiek więc powszechna reguła samo-układu i samo-oszustwa wydaje się na pierwszy rzut oka dziełem głupoty, jest ona w rzeczywistości jednym z samo-obronnych mechanizmów systemu. Rządzące grupy płacą wprawdzie niekiedy za kłamstwa, które sami produkują, w sumie jednak opłaca im się ponosić te koszty (tym bardziej, że większą część kosztów ostatecznie ponosi społeczeństwo), które wzmocniają stabilność i bezpieczeństwo władzy.

4. Następną osobliwością socjalizmu w jego obecnej, sowieckiej wersji, jest nieuchronna degradacja umysłowa i moralna aparatu, który podejmuje najważniejsze dla życia społecznego decyzje. Jest to również sposób działania mechanizmu politycznego, nie zaś wynik złej czy dobrej woli rządzących. Mechanizm ten zakłada ściśle jednokierunkową zależność wewnątrz hierarchii, co wynika z zasady monopolu władzy; tym samym, podobnie jak we wszystkich systemach despotycznych, cechami pozytywnymi w karierze jednostkowej (tj. cechami ułatwiającymi wnoszenie się po drabinach hierarchii) są serwilizm, tchórzostwo, brak inicjatywy, gotowość do posłuchu względem zwierzchników, gotowość do donosicielstwa, obojętność na opinię społeczną i na interes publiczny. Cechami negatywnymi są, przeciwnie, zdolność do inicjatywy, dbałość o sprawy powszechne, upieranie się przy kryteriach prawdy, sprawności i społecznego pożytku bez względu na interesy aparatu. Mechanizm władzy powoduje tedy naturalny negatywny dobór kadry kierowniczej we wszystkich dziedzinach aparatu rządzącego, a w aparacie partyjnym najbardziej. Czternastoletnie rządy Gomułki w Polsce są nadzwyczaj jaskrawym potwierdzeniem tej prawdy. Ich wybitnie zaznaczoną osobliwością

było systematyczne rugowanie ludzi kompetentnych i obdarzonych inicjatywą na rzecz tchórzliwych i uległych miernot. Proces, który dokonywał się od marca 1968 — masowa promocja nieuków, donosicieli lub zgoła opryszków („inwazja pluskiew”, jak to w Warszawie nazywano) był tylko przyspieszeniem i intensyfikacją zjawisk trwających od wielu lat. Jak we wszystkich sprawach na świecie, można i w tej dziedzinie przytoczyć wyjątki, lecz nader nieliczne. Odwrotne procesy można niekiedy obserwować w momentach kryzysowych, lecz nie odmieniają one zasadniczej tendencji systemu, który w naturalny sposób musi traktować kompetencję i zdolność do inicjatywy jako wrogie sobie zjawiska. Różne składniki kierowniczej maszyny podlegają owemu procesowi kontr-selekcji w nierównym stopniu, toteż w wielu dziedzinach gospodarczej i przemysłowej administracji znaleźć zawsze można znaczną ilość ludzi kompetentnych i dzielnych, z uporem rozbijających sobie głowy o mur obojętności, strachu i nieudolności, którym opasuje się partyjny aparat. Najmniej jednak można ich odszukać w tymże aparacie partyjnym oraz jego politycznych i propagandowych rozgałęzieniach, gdzie zasada doboru najgorszych święci największe tryumfy.

5. Despotyczne formy rządzenia produkują z konieczności zapotrzebowanie na permanentną, a przynajmniej periodycznie powtarzaną agresję. Że wojna jest grobem demokracji, wiadomo od wieków. Z tegoż powodu jest ona sojusznikiem tyranii. W braku wojny zewnętrznej, podobne funkcje spełniają rozmaite postacie agresji wewnętrznej, których celem jest utrzymywanie nieustającego stanu zagrożenia i podtrzymywanie psychozy obłożonego miasta, choćby za pomocą najbardziej sztucznych środków i najbardziej urojonych wrogów. Ponawiane akty brutalnej agresji przeciwko kolejnym grupom ludności, wybieranym wedle najrozmaitszych kryteriów, nie są bynajmniej dziełem obłądu, ale przyrodzoną funkcją mechanizmu władzy, który nie może się obejść bez śmiertelnych wrogów czyhających na jego najmniejszą słabość, gdyż tylko w ten sposób zdolny jest zapewnić sobie pożądaną gotowość do mobilizacji. Produkuje tedy tych wrogów własną inwencją, ponieważ akty ponawianej agresji niechybnie stwarzają wrogość i opór prześladowanych, stwarzają tedy tę właśnie sytuację, która miała być pretekstem dla represji. System represyjny ma więc zdolność samo-napędową, a akty wewnętrznej agresji stwarzają potrzebę następnych.

6. To samo założenie monopolistycznej władzy stwarza konieczność ustawicznej pracy nad dezintegracją społeczeństwa i rozbiciem wszelkich form życia społecznego nie zadekretowanych

przez rządzący aparat. Ponieważ konflikty społeczne nie są bynajmniej usuwane, lecz tłumione represjami i zatajane frazeologią ideologiczną, szukają one dróg wyrazu najrozmaitszych, co też sprawia, że najniewinniejsze formy społecznej organizacji, jeśli nie są pod dokładnym nadzorem policyjnym, mogą istotnie przeobrażać się w skupiska opozycyjne. Stąd dążenie do „upaństwowienia” wszelkich form życia społecznego, stąd nieustająca presja, zmierzająca do destrukcji wszelkich więzi społecznych spontanicznych na rzecz przymusowych pseudo-związków, których jedyne funkcje są negatywne i niszczycielskie i które nie reprezentują niczych interesów oprócz klasy panującej. Jakkolwiek bowiem system potrzebuje wrogów, to jednak boi się śmiertelnie jakiegokolwiek formy opozycji zorganizowanej; chce mieć tylko tych wrogów, których sam sobie wyznaczy i których będzie zwalczał w warunkach przez siebie wybranych. Naturalną potrzebą despotyzmu jest zastraszanie jednostek przy pozbawieniu ich środków zorganizowanego oporu. Jednym z narzędzi temu służących jest budowa prawodawstwa karnego w sposób celowo mętny i wieloznaczny, aby możliwie największa ilość obywateli mogła się czuć przestępcami i aby skala aktualnych represji nie była związana ściśle określeniami prawnymi, lecz podlegała dowolnej manipulacji i dowolnym decyzjom policji i partii.

7. Rządzący aparat nie ma bynajmniej swobody w zakresie udzielanych obywatelom uprawnień. Nie może on, pod grozą ruiny, rozszerzać tych uprawnień nawet gdyby taka była intencja rządzących. Doświadczenie bowiem uczy, że ustępstwa na rzecz jakichkolwiek rewindykacji demokratycznych, miast powodować uspokojenie częściowymi zdobyczami, stają się, przeciwnie, okazją do zwiększonej presji, która poczyna lawinowo narastać godząc w całość politycznego porządku. Zniwolenie społeczne jest tak wielkie a poczucie ucisku i wyzysku tak silne, że najmniejsza szczelina w systemie zinstytucjonalizowanej przemocy czy najdrobniejsze reformy obiecujące jej rozluźnienie natychmiast wprawiają w ruch ogromne zasoby utajonej wrogości i utajonych żądań, grożąc eksplozją, której następnie opanować nie podobna. Trudno się przeto dziwić, że po wielu doświadczeniach nawet filantropia rządzących, zakładając, że jest możliwa, nie może wpłynąć na złagodzenie politycznej i ekonomicznej niewoli pracującego społeczeństwa.

Oto najważniejsze racje przytaczane na rzecz twierdzenia — zgodnego zresztą z duchem marksistowskiej tradycji — iż swoiście socjalistyczna forma niewoli nie może być usunięta częściowo

ani redukowana stopniowymi reformami, lecz wymaga jednorazowego totalnego zniszczenia.

Otóż sędzę, że to twierdzenie jest nieprawdziwe, a jego głoszenie wydaje mi się raczej ideologią defetyzmu, niż rewolucyjnym wezwaniem. Opieram to przekonanie na czterech ogólnych przesłankach. Po pierwsze, nie jesteśmy nigdy w stanie określić z góry granic plastyczności jakiegokolwiek społecznej organizacji, doświadczenie zaś dotychczasowe nie przemawia wcale za tym, że despotyczny model socjalizmu jest bezwzględnie sztywny. Po wtóre, sztywność systemu zależy w części od tego, do jakiego stopnia ludzie w nim żyjący są *przeświadczeni o jego sztywności*. Po trzecie, twierdzenie wspomniane opiera się na ideologii „wszystko lub nic”, charakterystycznej dla ludzi ukształconych w marksistowskiej tradycji, lecz bynajmniej nie wspartej istniejącymi doświadczeniami historycznymi. Po czwarte, biurokratyczny despotyzm socjalistyczny uwikłany jest w wewnętrznie sprzeczne tendencje, których nie jest on w stanie doprowadzić do żadnej syntezy, a które nieuchronnie osłabiają jego spójność, przy czym tendencje mają wzrostową, nie zaś malejącą.

Wszystkie wymienione przedtem mechanizmy, których obecność zdaje się usprawiedliwiać myśl, iż socjalistyczny despotyzm nie nadaje się do reformy, działają w tym systemie istotnie, notowane były niejednokrotnie i dostępne są naocznej obserwacji wszystkich żyjących w tej strefie. Wszystkie one ujawniają naturalną tendencję systemu, którego podstawowe formy działania obrócone są przeciw pracującemu społeczeństwu. Wynika z tych obserwacji tyle, że jeśli mechanizm biurokratycznej władzy funkcjonuje bez żadnego oporu ze strony społeczeństwa, będzie on niechybnie produkował w coraz intensywniejszych formach wszystkie opisane zjawiska prowadząc do ściśle Orwellowskiego wzoru. Natomiast nie wynika z nich, iż tendencje te nie mogą mieć przeciwwagi w ruchu oporu, który jest w stanie ograniczać i osłabiać ich działanie, prowadząc bynajmniej nie ku społeczeństwu doskonałemu, lecz ku formie socjalistycznej organizacji zdolnej do życia i umożliwiającej życie swoim uczestnikom. Stanowisko reformistyczne byłoby absurdalne, gdyby sprowadzać się miało do oczekiwania na dobrą wolę klasy wyzyskującej, filantropię aparatu przemocy lub samoczynne działanie mechanizmów organizacji. Nie jest jednak bynajmniej absurdalne, jeśli pojmować je jako ideę czynnego oporu wyzyskującego sprzeczności przyrodzone systemu. Wszystkie opisane osobliwości biurokratycznego socjalizmu przemawiają jednoznacznie za tym, że ma on wbudowane tendencje do nieustającego rozrostu policyjnych form rządzenia, do dezintegracji i demoralizacji społeczeństwa, do utrwalania niewydolności gospodarczej i do uwieczniania wszystkich

tych cech społecznych, wiadomych każdemu, a czyniących udręką życie pracującej ludności. Jednakże pod tym względem, całkiem ogólnym, rzecz się miała analogicznie z kapitalistyczną gospodarką taką, jaką analizował Marks. Wszystkie naturalne tendencje tej gospodarki, produkcyjne i socjalne, które Marks rozważał, nie były bynajmniej jego dowolnym wymysłem, lecz opierały się na dokładnej obserwacji społeczeństwa. Były istotne powody do sądzenia, że w kapitalizm wbudowane są nieuchronnie rosnąca polaryzacja klasowa, bezwzględne ubożenie proletariatu, postępujący spadek stopy zysku, anarchia i periodyczne kryzysy nadprodukcji, masowe bezrobocie, zanik klas średnich; że wszystkie reformy jakie w ramach tego systemu dają się pomyśleć, muszą być nie trwałe, gdyż fundamentalne prawa, jakie pociąga za sobą „wilczy głód wartości dodatkowej” określający całość procesów produkcyjnych, nie mogą być zniesione w granicach systemu; stąd właściwy sens reform polega na ich politycznym znaczeniu, mianowicie na treningu w walce i na utrwalaniu solidarności klasowej proletariatu niezbędnej w ostatecznym starciu. Marks wiedział, oczywiście, o wszystkich przeciw-tendencjach osłabiających działanie praw kapitalistycznej akumulacji, wśród których najważniejszą, lecz nie jedyną, jest opór klasy robotniczej. Nie podobna było jednakże wymierzyć ilościowo siły owych tendencji i przeciw-tendencji w przyszłej ewolucji ustroju; dlatego, chociaż analizy markowskie były dobrze uzasadnione, to jego przeświadczenie, że „ostatecznie” prawa kapitalizmu zawsze okażą się silniejsze wewnątrz tego systemu, aniżeli opór klas wyzyskiwanych, było tylko wyrazem ideologicznej perspektywy. W istocie też, okoliczność, że przewidywania dotyczące zarówno postępującej degradacji i zubożenia proletariatu, a także rosnącej anarchii produkcyjnej i kryzysów, nie potwierdziły się w końcu, okoliczność ta nie była wynikiem filantropii burżuazji lub jej moralnej przemiany. Była rezultatem wieloletnich walk i konfrontacji, które zmusiły społeczeństwo burżuazyjne do uznania pewnych zasad socjalnej organizacji jako trwałych swoich założeń. Wyzysk nie został bynajmniej usunięty, został jednakże ograniczony w sposób istotny w rozwiniętych industrialnie krajach, a klasy posiadające zgodziły się na okrojenie swoich przywilejów w imię ocalenia tego, co z nich można było ocalić bez ruiny społeczeństwa.

Z pewnością, analogie tego rodzaju nie są zupełnie zadowalające. Wiadomo, że biurokracja socjalistyczna nauczyła się z porażek burżuazji, jak niebezpieczna jest wszelka swoboda zrzeszania się i swoboda informacji. Stąd opór przeciw uciskowi i wyzyskowi w systemie sowieckiego despotyzmu przebiega w gorszych warunkach społecznych, niż kiedykolwiek; żadna klasa wyzyskiwaczy w dziejach nie rozporządzała takim zakresem władzy. Ale

ta koncentracja jest nie tylko źródłem siły, ale również słabości, jak to ujawniają całe po-stalinowskie dzieje komunizmu.

W rzeczy samej, natura systemu wymaga całkowitej koncentracji ośrodka dyspozycyjnego. Dlatego prawdą jest, że władza Stalina (i jego lokalnych miniatur) była najdoskonalszym wcieleniem założeń despotycznego socjalizmu. Ale też niemożność jej przywrócenia wynika z niemożności uzgodnienia dwóch wartości, równie dla rządzącego aparatu istotnych: jedności i bezpieczeństwa. Konflikty konkurencyjne wewnątrz aparatu nie mogą być zinstytucjonalizowane pod groźbą ruiny całego systemu, gdyż instytucjonalizacja taka oznaczałaby legalizację działalności frakcyjnej w partii, co nieznacznie tylko różni się od wielopartyjności. Grupy, kliki i sitwy, spontanicznie wyłaniające się wedle różnych kryteriów doboru i wedle różnych związków interesu, stanowią jednak nieuchronny produkt życia społecznego. Dlatego ideałem jest absolutna tyrania jednego samodzielnego, na tyle ograniczonego umysłowo i moralnie, aby nie krępowały go żadne „abstrakcyjne” zasady, ale na tyle sprytnego, by potrafił udaremnić wszelką krystalizację grup w aparacie za pomocą kolejnych rzezi i czystek i utrzymywać w ten sposób instrumenty rządzenia w stanie ustawicznej płynności i strachu. Lecz to właśnie jaskrawo koliduje z potrzebą bezpieczeństwa tegoż aparatu, który — czemu trudno się dziwić — nie chce żyć w sytuacji, kiedy to każdy jego funkcjonariusz, włączając członków sekretariatu i Biura Politycznego partii, może w ciągu jednej chwili przenieść się ze swego gabinetu do piwnic policji za jednym skinieniem szefa. Dlatego przejście od jedynowładztwa do oligarchii, zwanej „kolegialnym kierownictwem” było w najwyższym interesie rządzącej maszyny i bynajmniej nie jest nieznaczające, chociaż wydawać się może, że dla ludzi uciskanych nie jest wielką różnicą, czy dokumenty, które obiecują im ucisk, podpisywane są przez jednego czy przez dziesięciu. Oligarchia nie oznacza, oczywiście, żadnej „demokratyzacji”, chociaż oznacza znaczne ograniczenie terrorystycznych form rządzenia; ponadto jednak oznacza ona poważne naruszenie stabilności władzy i jej nieuchronną decentralizację (nadal: nie demokratyzację), tj. utrwalenie pozycji i rozszerzenie uprawnień aparatów lokalnych. Ten aparat nie jest już w stanie zapobiec utajonej frakcyjności i musi wytwarzać konkurencyjne ciała, nieustannie osłabiające jego wydolność. Ale też, z drugiej strony, ruch oporu jest najbardziej prawdopodobny i najbardziej skuteczny bynajmniej nie wtedy, kiedy ucisk jest najdotkliwszy i terror najsilniejszy, lecz, przeciwnie, w momentach względnych rozluźnień spowodowanych dezagregacją rządzącego aparatu; zawdzięczamy Leninowi to trafne spostrzeżenie. Obecnie istniejące aparaty nie są wprawdzie podatne na wstrząsy ideologiczne, jak był

aparatus stalinowski, który z tej racji utracił równowagę po ruinie moralnej wodza, ale demoralizowane są i chronicznie chore na wewnętrzne konflikty rywalizujących grup. Wprawdzie w interesie wszystkich tych grup leży nie-ujawnianie ich istnienia przed społeczeństwem, lecz w tej dziedzinie zatajenie nie może być nigdy całkiem skuteczne a jest całkiem nieskuteczne wewnątrz politycznej maszynierii. Częściowy paraliż aparatu staje się tedy nieuleczalny, przechodząc naturalnym biegiem rzeczy kolejne remisje i pogorszenia, jako że stabilność jego zależy od kilku niezależnych czynników, których łączne działanie trudno, oczywiście, przewidzieć. W tym sensie wolno powiedzieć, że przymusem sytuacji sprawiona częściowa „destalinizacja” stalinizmu wprowadziła w ruch mechanizm degradacji władzy, który umożliwia skuteczność ruchu oporu. Innymi słowy: dopóki aparat jest stabilny i immunizowany przeciwko wstrząsom politycznym, może on na ogół nie liczyć się z niezadowolaniem ludności. Lecz utracił tę stabilność a zmniejszenie strachu przed wodzem i własną policją opłaca bezustannym strachem przed społeczeństwem, przed konkurentami, przed szefami domowymi lub zagranicznymi, przed klasą robotniczą, przed inteligencją, a nawet przed nielicznymi grupami intelektualistów.

Następną niezbywalną sprzecznością wewnętrzną biurokratycznego socjalizmu jest konflikt między zapotrzebowaniem na radykalną odmianę ideologii, a niemożnością wyzbycia się ideologii stalinowsko-leninowskiej. W odróżnieniu od organizmów politycznych demokratycznych, które mogą odwoływać się do społecznego consensusu jako zasady swej legalności, despotyzm pozbawiony mechanizmów przedstawicielskich musi nieuchronnie rozprządzać rodzajem ideologicznego „systemu”, choćby najlichszego, aby utrzymać pozorną legitymizację swego istnienia. Żadne państwo i żaden system władzy nie może się obejść bez legitymizacji — czy będzie nią dziedzictwo królewskiego charyzmatu, czy wolne wybory. W braku obu tych możliwości legitymizacja ma charakter ideologiczny; jest nią zasada, że partia rządząca jest wcieleniem interesów klasy robotniczej oraz całego narodu tudzież, że państwo jest częścią wielkiego ruchu światowego klasy robotniczej, który umocnił swe panowanie w pewnych częściach świata w oczekiwaniu na dalsze. Ideologia odgrywa, jak wiadomo, całkiem inną funkcję w tym systemie władzy, aniżeli w ustrojach demokratycznych, jakkolwiek żałośnie brzmiałyby jej założenia w konfrontacji z rzeczywistością. W tej chwili w socjalistycznym świecie ideologia jest dla aparatu uciążliwym garbem, którego jednak nie może on się pozbyć żadną miarą. Internacjonalistyczna frazeologia jest niezbędna władcom sowieckim, jako że jest jedyną legitymacją ich zewnętrznego panowania; jest niezbędna zależnym

od nich władcom lokalnym jako usprawiedliwienie zarówno ich zależności jak też własnej władzy. Wydawać by się mogło, np., że przywódcy sowieccy mogą całkowicie lekceważyć nie-panujące partie komunistyczne, których wszakże nie chcą zgola nakłaniać do rzeczywistej walki o władzę i że ewentualne rozłamy w tych partiach lub ich odstępstwa nie mają politycznego znaczenia. W rzeczywistości tak nie jest, gdyż całkowita i jawna rezygnacja z ruchu komunistycznego w krajach nie poddanych sowieckiej kontroli mogłaby dojść do skutku tylko za cenę rezygnacji z zasad, które usprawiedliwiają tę właśnie kontrolę. Dlatego rządzący padają ofiarą własnej ideologii razem ze wszystkimi jej nonsensami. Toteż jest zjawiskiem paradoksalnym, że ideologia ta, w którą praktycznie wszyscy przestali wierzyć — zarówno ci, co każą ją głośnić, jak ci, co zarabiają na jej głoszeniu, jak i ci, co muszą jej wysłuchiwać — nadal jest sprawą śmiertelnej wagi dla istnienia systemu politycznego. Ów twór martwy i już groteskowy, zwany marksizmem-leninizmem, nadal wisi u szyi rządzących niczym beznadziejny nowotwór hamujący swobodę ruchów. Wartość perswazyjna tej ideologii jest w krajach bloku sowieckiego żadna, o czym rządzącym dobrze wiadomo; toteż propaganda, obliczona na jakikolwiek odzew u ludności, a także w partii samej, coraz mniej się do niej odwołuje, a skupia się niemal całkiem na ideach racji stanu i interesu narodowego. Lecz to właśnie okoliczność rodzi nową sprzeczność w systemie. Jak wiadomo, oprócz propagandy artykułowanej, istnieje w tych krajach propaganda nieartykułowana, niekiedy od tej pierwszej ważniejsza, tj. pewne idee lub zasady, których nie podobna wprost w przemówieniach lub gazetach formułować, a które jednak trzeba przekazać ludności. W Związku Sowieckim jest to idea mocarstwowa, chwała wielkiego imperium, które panuje nad ogromnymi połaciami kuli ziemskiej w mniej lub bardziej bezpośredni sposób. Ideologia imperialna, w odróżnieniu od marksizmu-leninizmu urzędowego, może liczyć na pewne powodzenie rzeczywiste. Lecz w krajach demokracji ludowej owa nie-mówiona ideologia jest ideologią strachu przed sowieckimi czołgami, wpajaną za pomocą najrozmaitszych aluzyjnych środków. Również w tym wypadku ideologia nieartykułowana, w odróżnieniu od artykułowanej, może liczyć na pewien sukces w społeczeństwie; do przekonania ludzi o tym, iż rosyjscy wodzowie mogą zmasakrować każdy nie dość posłuszny protektorat, nie trzeba w rzeczy samej finezyjnych argumentów. Do pewnego stopnia obie ideologie nieartykułowane — centralna i peryferyjna — zbiegają się w skutkach, lecz liczyć na tę zbieżność jako trwałą podstawę panowania byłoby polityką nader krótkowzroczną; nie tylko z tej racji, że w obu przypadkach ideologia nie artykułowana nie jest uzupełnieniem, lecz jaskrawym zaprze-

zeniem oficjalnej, lecz i dlatego, że może ona osiągnąć swój skutek — tymczasową pacyfikację — tylko za cenę uwieczniania i podsycania wzajemnych wrogości narodowych, co wydaje się korzystne w chwilach spokoju, lecz w warunkach kryzysów jest nadzwyczaj niebezpieczne. Tymczasem nie ma innego wyjścia, jeśli rządzący aparat ma zachować minimalny choćby kontakt ze społeczeństwem.

Wśród historycznych zarcików Stalina zachowało się sławne powiedzenie: „A ile papież ma dywizji?”. Nędza tego pytania odśladania najdokładniej nędzę politycznego systemu, który utracił wszystko oprócz dywizji (zgoda, że nie jest to mało), nie umie wierzyć w nic poza dywizjami i chlubi się tym nawet jako ideologią zdrowego realizmu, niepomny tego, że sam powstał dzięki lutowej i październikowej rewolucji rosyjskiej, które wygrały nie mocą dywizji, lecz mocą moralnego rozkładu carskiego imperium i armii.

Paraliż ideologiczny biurokratycznego socjalizmu jest coraz rozleglejszy i nieodwracalny; kolejne kampanie i narady partyjnych instancji na temat „walki ideologicznej” mogą wypracowywać nowe środki represji i zastraszania, lecz nie są w stanie zaoferować społeczeństwu niczego, prócz tych samych mdlących frazesów. Wszystkie próby odwrócenia tej klęski idą w dwóch kierunkach — frazeologii nacjonalistycznej lub frazeologii porządku i wydajności; wokół tych haseł skupiają się luźne frakcje. Pierwsza frazeologia jest jednak nikłej wartości, skoro kwestia zasadnicza i ośrodkowa — rzeczywistej suwerenności narodu — stanowi dla niej z natury nieprzekraczalną barierę. Drugi typ frazeologii byłby skuteczny, gdyby mógł wykazać się wykonalnym programem opartym na „technokratycznych” założeniach. Lecz program „technokratyczny” oznacza prymat kryteriów sprawności produkcyjnej i potępy technologicznej nad wartościami politycznymi i jako taki jest wykonalny tylko za cenę kolejnych rezygnacji rządzącego aparatu z zakresu posiadanej władzy, czyli, znowu, za cenę zgody na stopniowe wywłaszczanie klasy panującej. Dotykamy tu kolejnej sprzeczności wewnętrznej systemu władzy: sprzeczności, wielokrotnie analizowanej, między technologicznym i produkcyjnym postępem, a systemem władzy politycznej, który ów postęp bezustannie hamuje. Ta sprzeczność podpada pod klasyczne definicje Marksa odnoszące się do produkcji kapitalistycznej, lecz nigdy nie ujawniła się tak silnie, jak w ustroju, który z założenia miał powstać głównie po to, aby ją usunąć. Wszystkie wymienione przedtem osobliwości socjalistycznego despotyzmu z oczywistych powodów są potężnymi hamulcami technologicznego i wytwórczego postępu i utrwalają stagnację ustroju. Lecz postęp technologiczny (nie tylko ograniczony do techniki wojskowej)

a nawet wzrost konsumpcji (na przekór pewnym korzyściom politycznym, jakie daje powszechne ubóstwo ludności i niedostatek dóbr elementarnych) są w interesie rządzącej klasy z różnych powodów; im wyższy ogólny poziom rozwoju, tym trudniej osiągnąć doskonałe wyniki w jednej dziedzinie produkcji, tj. militarnej, traktowanej jako dział izolowany; oczekiwania ludności zależą w znacznym stopniu od konfrontacji jej położenia z wysoko rozwiniętymi krajami, czego nie podobna uniknąć, gdyż kompletne przerwianie informacji jest już z wielu względów niepodobniństwem, stąd też przy stagnacyjnej a nawet nieznacznie poprawiającej się sytuacji konsumpcyjnej poziom subiektywnego niezaspokojenia i niezadowolenia może wzrastać, nigdy zaś nie można przewidzieć, w którym punkcie przekroczy on próg eksplozywny, w skojarzeniu z innymi okolicznościami; w ogólności, nie podobna już uniknąć sytuacji współzawodnictwa międzynarodowego, nawet jeśli narzuca ono niewygodne sytuacje, a warunki tego współzawodnictwa są coraz trudniejsze. Jakoż rządzący, kiedy zapewniają o swoim dążeniu do postępu technicznego i do poprawy sytuacji materialnej ludności, są na ogół w zgodzie z rzeczywistymi swymi intencjami. Intencje te są wszelako w sprzeczności z drugą grupą intencji, odnoszącą się do uwieczniania własnego monopolu niekontrolowanej władzy we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Jeśli jednak sprzeczność ta jest nieusuwalna, to nie znaczy to bynajmniej, jak Izaak Deutscher zdawał się spodziewać, że system socjalistyczny będzie się „demokratyzował” pod samoczynnym naporem technicznego postępu. Sprzeczność między rozwojem technologicznym a systemem rządzenia politycznego i zarządzania ekonomicznego może być źródłem rozwoju tylko wtedy, gdy dochoździ do głosu jako konflikt społeczny: konflikt między wszystkimi warstwami zainteresowanymi w utrzymaniu istniejącego mechanizmu wyzysku a klasą robotniczą oraz inteligencją, nade wszystko — lecz nie tylko — inteligencją techniczną i menadżerską.

Wymienione sprzeczności wzmocnione są o sprzeczność dodatkową, wynikającą z narodowego położenia krajów zależnych od sowieckiego imperium. Rządzący aparat jest zainteresowany w utrzymaniu tej zależności jako gwarancji własnej pozycji, lecz zarazem jest zainteresowany w jej osłabianiu na rzecz rozszerzenia swojej swobody decyzji. Sytuacja ta rodzi nieuchronne napięcia w maszynie politycznej i stwarza także punkt, w którym presja społeczna może być skuteczna. Suwerenność narodowa nie jest wystarczającym warunkiem społecznej emancypacji pracującej ludności, jest jednak jej oczywistym warunkiem niezbędnym. Lęk przed braterską lufą ze wschodu nie jest, rzecz jasna, nieuzasadniony, lecz jest celowo wyolbrzymiany jako patriotyczny sposób

tłumienia najskromniejszych rewindykacji oraz środków przekonywania narodu o absolutnej beznadziejności wszystkich wysiłków. W rzeczywistości celem Polski lub innych narodów sowieckiej strefy nie jest prowokowanie zbrojnego konfliktu, lecz nieustająca presja w kierunku osłabienia zależności, która tylko pod presją może być osłabiana. Również w tej dziedzinie myślenie wedle zasady „wszystko lub nic” jest zgubne i przyjęcie takiej zasady oznacza zgodę na „nic”. Nikt nie może być tak zaślepiiony, by twierdzić, że nie ma żadnej różnicy między sytuacją narodową Polski i Litwy, lub że zależność Polski nie zmieniła się całkiem między 1952 a 1957 rokiem. Zależność i nie-suwerenność są tedy stopniowalne, a różnice w stopniu zależności są niesłychanej wagi dla istnienia narodu. Funkcje inteligencji humanistycznej i w ogólności inteligencji nauczycielskiej są kluczowe w tej dziedzinie.

Jeśli naród polski oparł się wysiłkowi rusyfikacji i germanizacji w epoce rozbiorowej, zawdzięcza to głównie tej warstwie społecznej. Gdyby jej nie miał, pozostałby w sytuacji podobnej, jak naród łużycki, który wprawdzie utrzymał swój język, ale, ponieważ prawie nie wytwarza własnej oryginalnej kultury i własnej inteligencji, nie ma wielu szans na przetrwanie. Polska jako całość kulturalna ocalała dzięki tym, którzy stworzyli Komisję Edukacji Narodowej i tym którzy kontynuowali jej dzieło, dzięki dziewiętnastowiecznym nauczycielom, pisarzom, historykom, filologom, filozofom, którzy wbrew warunkom pracowali nad przyrostem dziedzictwa narodowej kultury. Naród czeski, który był już u progu kulturalnej germanizacji, ocalał dzięki podobnemu, świadomemu wysiłkowi swojej inteligencji dziewiętnastowiecznej. Ci, którzy dzisiaj tłumią swobodny rozwój narodowej kultury, są wrogami Polski.



Jeśli opowiadam się za ideą „reformistyczną”, to nie w tym sensie, bym uważał, że reformizm można zdefiniować jako środki „legalne” w odróżnieniu od „nielegalnych”. Odróżnienie takie jest po prostu niewykonalne w sytuacji, kiedy o tym, co jest lub nie jest legalne decyduje nie prawo, lecz dowolna interpretacja mglistych ustaw przez policję i władze partyjne. Tam, gdzie rządzący mogą, jeżeli zechcą, aresztować i skazywać obywateli za samo posiadanie nieprawomyślnej książki, za rozmowę w gronie parooosobowym na tematy polityczne, za opowiadanie dowcipów i za niewłaściwe opinie wyrażone w prywatnym liście, pojęcie legalności w odniesieniu do spraw politycznych jest pozbawione sensu. Przeciwnie, najlepszym środkiem przeciwdziałającym faktycznemu ściganiu tego rodzaju „przestępstw” jest ich masowość. Mówię o reformistycznej orientacji w znaczeniu wiary w możli-

wość skutecznych presji cząstkowych i stopniowych, czynionych w perspektywie rozległej, tj. w perspektywie społecznego i narodowego wyzwolenia. Despotyczny socjalizm nie może uchodzić za system absolutnie nieplastyczny, nie ma bowiem takich systemów. Jego zdolność do pewnej plastyczności ujawniła się w ciągu ostatnich lat choćby w dziedzinie tak podstawowej jak zakres rozstrzygnięć poddawanych pod władzę urzędowej ideologii. Zakres ideologicznego panowania zmniejszył się w sposób wcale znaczący: urzędnicy partyjni nie muszą już znać się lepiej na medycynie niż profesorowie medycyny i lepiej na filologii, niż filologowie. Nadal znają się lepiej na literaturze, niż pisarze, to prawda. Lecz w Polsce nawet w tej dziedzinie doszły do skutku pewne zmiany nieodwracalne. Zakres ingerencji ideologii urzędowej jest w dalszym ciągu nieznośny, lecz jest istotnie mniejszy, skoro przypomnimy sobie niedawne czasy, kiedy to państwowa doktryna określała szerokość spodni, kolor skarpetek i prawdy genetyki zarazem. Ktoś może powiedzieć, że mamy do czynienia z postępem od niewolnictwa do feudalizmu. Jednakże nie stoimy wobec wyboru między kompletnym gniciem i pełną doskonałością, a tylko wobec wyboru między zgodą na gnicie a nieprzerwanym wysiłkiem nad utrwalaniem w życiu narodowym wartości i standartów, które, raz utrwalone, nie dają się łatwo obalać. Pogrom kulturalny w 1968 pozostawił masę zniechęcenia, jednakże była to konfrontacja, nie do uniknięcia wprawdzie, lecz w warunkach wybranych i narzuconych przez aparat przemocy. Obserwujemy wszakże w jaki sposób na świecie łamią się sztywne ortodoksje, porzucając reguły, tabu, świętości i wierzenia, które niedawno wydawały się absolutnym warunkiem ich istnienia. Wydawać się może, że analogie z przemianami kościelnymi są bezprzedmiotowe, jako że kościoły nie mają do użytku policji i więzień. Jednakże kościoły same utraciły środki przymusu dzięki presji przemian kulturalnych, policje zaś systematycznie i od początku świata łudzą się same co do własnej wszechmocy i próbują łudzić innych, jako że utrzymują swą siłę tylko tak długo, jak długo inni wierzą w jej wszechmoc. W obliczu silnych presji społecznych policja okazuje się w końcu bezsilna a strach tych, którzy żyją z szerzenia strachu staje się większy, niż strach prześladowanych.

Biurokratyczny socjalizm utracił ideowe zaplecze. Mimo wszystkich monstrualności stalinizmu, aparat stalinowski, przynajmniej w krajach demokracji ludowej, był nieporównanie bardziej zależny w swoich działaniach od swojego ideowego związku z systemem, aniżeli aparaty obecne. Wydawać się może, że aparat cyniczny, którego członkowie mierzą osiągnięcia socjalizmu własnymi przywilejami i karierą, jest skuteczniejszy, bo pozbawiony obciążeń i zahamowań, nie narażony na wstrząsy ideowe, zdolny do do-

wolnych i błyskawicznych przemian i lepiej nadający się do manipulacji. Lecz jest to mniej, niż połowa prawdy. Aparat taki nie tylko jest zawodny w chwili kryzysu i nie jest w stanie przetrwać istotnej próby, nie tylko jest bardziej skłonny do samo-rozkładu przez klikowość, ale sam jest objawem historycznego obumierania systemu, któremu służy. System, którego nikt nie broni bezinteresownie, jest skazany — cytuję to zdanie z książki Victora Serge'a o carskiej Ochranie — zdanie, któremu nie uwierzy żaden policjant, dopóki nie utraci swojej posady. Despotyczny socjalizm obumiera śmiercią powolną opisaną przez Hegla; wydaje się nie naruszony, ale zatapia się w ociążającej nudzie i drętwości, którą urozmaica tylko powszechny strach wszystkich przed wszystkimi, strach wyładowywany w agresjach. Utrata idei jest dla tego systemu utratą racji istnienia. Zwróćmy uwagę na drobne przemiany frazeologiczne: Stalin miał pełną gębę słowa „wolność”, kiedy tortury i rzezie wypełniały jego imperium; dziś, gdy rzezie ustały, sam dźwięk słowa „wolność” stawia na nogi całą policję. Wszystkie staroświeckie słowa — „wolność”, „niepodległość”, „prawo”, „sprawiedliwość”, „prawda” — obracają się przeciwko biurokratycznej tyranii. Wszystko, co wartościowe i trwałe w dzisiejszej kulturze narodów, przez system ten opanowanych, powstaje wbrew niemu. Międzynarodowy ruch komunistyczny przestał istnieć. Przestała też istnieć idea komunizmu w sowieckiej wersji.

Prawdopodobnie w warunkach swobody wyboru znaczna większość polskiej klasy robotniczej i inteligencji opowiedziałaby się za socjalizmem, podobnie jak opowiada się za nim niżej podpisany. Za socjalizmem, to znaczy za suwerennym organizmem narodowym, który zakłada kontrolę społeczeństwa nad zastosowaniem i rozwojem środków produkcji i rozdziałem dochodu narodowego oraz nad administracyjno-politycznym aparatem, pracującym jako organ społeczeństwa, nie zaś pan mający społeczeństwo „do pomocy”; za organizmem więc, zakładającym swobodę informacji i komunikacji, pluralizm polityczny i wielość form społecznej własności, poszanowanie dla kryteriów prawdy, efektywności i interesu publicznego, swobodę zrzeszeń zawodowych oraz swobodę od samowoli policji politycznej, a także prawodawstwo karne, którego celem będzie ochrona społeczeństwa przed antyspołecznym zachowaniem, nie zaś czynienie przestępcami wszystkich obywateli, aby móc wszystkich szantażować.

Do jakiego stopnia ruch ku takiej formie społecznej jest możliwy, zależy w znacznej części, choć nie w całości, oczywiście, od tego, do jakiego stopnia społeczeństwo wierzy, że jest ono możliwe. Ponieważ to, czym jest jakiegokolwiek społeczeństwo zależy w części od tego, czym ono jest we własnym wyobrażeniu, nie ma w przemianach społecznych czystej możliwości utajonej w samych

rzeczowych stosunkach i niezależnej od tego, w jakim stopniu jest ona możliwością uświadomioną. Stąd też ci, którzy w krajach socjalistycznego despotyzmu mogą być inicjatorami nadziei, są zarazem inicjatorami ruchu, który tę nadzieję czyni realną — jako że w wiedzy społeczeństwa o sobie samym podmiot i przedmiot są częściowo zbieżne.

Myśl, że obecna forma socjalizmu jest bezwzględnie sztywna i może być tylko zgruchotana jednorazowym uderzeniem, że więc żadne zmiany cząstkowe nie są w istocie zmianami co do swego społecznego sensu, łatwo nadaje się na usprawiedliwienie oportunistów i zgoła świństwa. Jeśli bowiem tak jest, to żadne jednostkowe czy zbiorowe inicjatywy, które mają na celu przeciwdziałanie monstrualnościom biurokratyzmu neo-stalinowskiego, żadna walka o utrwalanie w tym społeczeństwie szacunku dla prawdy, dla kompetencji, dla rzetelności, dla sprawiedliwości i dla rozumu nie mają znaczenia; krótko mówiąc, przy tym założeniu każde jednostkowe świństwo może szukać dla siebie usprawiedliwienia, gdyż może być interpretowane po prostu jako składnik świństwa uniwersalnego, które „chwilowo” jest nieuchronne i nie jest dziełem jednostek, lecz wynikiem systemu. Zasada nieremowalności może przeto służyć jako rozgrzeszenie z góry udzielone wszelkiemu tchórzostwu, bierności i kooperacji ze złem. Okoliczność, że duża część polskiej inteligencji dała sobie wzmówić przekonanie o całkowitej nieplastyczności haniebnego systemu, w którym żyje, jest zapewne w znacznym stopniu odpowiedzialna za pożałowania godną bierność, jaką okazała ta warstwa w chwili dramatycznego natarcia, które podjęli robotnicy polscy w grudniu 1970 roku.

Najgorszą przysługą jaką można wyrządzić sprawie niepodległości i demokracji polskiej jest utrwalanie w społeczeństwie tradycyjnych nacjonalistycznych stereotypów anty-rosyjskich. Narod rosyjski, który przeszedł najstraszliwszą gehennę w nowoczesnej historii, nadal jest używany jako narzędzie imperialnej polityki swoich władców. Ale też sam jest ofiarą tej polityki bardziej, niż którykolwiek inny. Mimo pewnego ryzyka, jakie ciągnie za sobą podsycanie nacjonalizmów wewnątrz „strefy wpływów”, nacjonalizmy te, zwłaszcza w obliczu uwiadu realnej siły międzynarodowej ideologii, są nieodzownym narzędziem, stosowanym wedle najtradycyjniejszych metod dla utrzymania władzy. „Przyjaźń narodów” w urzędowej doktrynie oznacza wygłaszanie toaśtów na temat przyjaźni oraz odwiedziny zespołów tanecznych obstawionych gęsto policyjnym nadzorem. Rzeczywista przyjaźń i zrozumienie między narodami, których wzajemne nieufności i wrogości mają silne historyczne korzenie, może się utrwać tylko w niekontrolowanych kontaktach i wymianie — a tego właśnie

ządzące warstwy lękają się najbardziej. Polski nacjonalizm antyrosyjski mocą naturalnej reakcji przyczynia się do utrwalania nacjonalizmu wielkoruskiego i sprzyja przedłużaniu niewolnictwa obu narodów. Przykro jest powtarzać te prawdy, które za czasów Wiosny Ludów były już banałami wśród ówczesnej rewolucyjnej demokracji, lecz trzeba je powtarzać dopóty, dopóki nadal są w mocy. Ci, którzy miast przyczyniać się do znajomości i rozumienia prawdziwej kultury narodowej Rosji poprzestają na utrwalaniu antyrosyjskich stereotypów są w Polsce mimowolnymi rzecznikami władzy, która oba narody trzyma w niewoli.

Mimo wojskowej potęgi sowieckiego imperium i mimo inwazji w Czechosłowacji odśrodkowe tendencje wewnątrz „bloku” nie dają się powstrzymać i nacjonalistyczna korozja będzie zżerała coraz silniej organizm pozbawiony ideologicznego spoiwa. Nie jest w interesie żadnego z narodów, by paliwem tego rozkładu były narodowe nienawiści, które mogłyby się zakończyć jedynie apokaliptyczną rzezią. Możemy przeciwdziałać tej przerażającej perspektywie tylko przywracając wigor tradycyjnej i staroświeckiej idei braterstwa narodów przeciwko ciemierzcom.



Streśćmy. Wszystkie opisane sprzeczności wewnętrzne socjalistycznego despotyzmu mogą mieć zawsze rozwiązania w dwojakim kierunku zmierzające. Pozostawiony własnej inercji, wśród milczenia i strachu, system ten zawsze i nieuchronnie będzie zmierzał ku takim rozwiązaniom własnych sprzeczności, które mnożą ucisk, nie zaś łagodzą, zaciskają pętlę, nie zaś rozluźniają. *Rozrost policyjnych metod rządzenia nie jest wynikiem zwiększonego oporu, lecz, przeciwnie, wynikiem jego braku.* Plastyczność tej formacji społecznej — plastyczność, której granic nie potrafimy z góry określić — będzie objawiać się w jego re-stalinizacji, jeśli zabraknie sił zdolnych do sprzeciwu; może objawiać się w duchu zgodnym z potrzebami społeczeństwa wyłącznie pod tegoż społeczeństwa naciskiem; jest to lekcja narzucająca się nieodparcie w świetle naszych doświadczeń. Również ci, którzy sądzą, że płacą tylko nieznacznymi ustępstwami za swój spokój, przekonywać się będą, że cena tego spokoju będzie coraz wyższa; ci, co płacą tylko niewinnym na pozór lizusostwem, będą jutro zmuszeni płacić donosicielstwem za ten sam towar; ci, co liche swoje przywileje okupują tylko milczeniem w obliczu świństwa, na które mogą reagować, będą musieli za te same przywileje płacić rychło aktywnym udziałem w świństwie. Naturalnym prawem despotyzmu jest moralna inflacja, która sprawia, że rozdaw-

ca dóbr każe sobie płacić coraz drożej, jeśli presja społeczna nie zmusza go do obniżki.

Nie jest to może perspektywa rozweselająca, ale nie jest fantazyjna, w odróżnieniu od tych perspektyw, które każą liczyć na cud, na pomoc zewnętrzną lub na automatyczną samo-naprawę zgrzytającego mechanizmu, pozostawionego własnemu bezwładowi. Istotne jest, że środki presji znajdują się pod ręką, są w dyspozycji niemal każdego. Polegają tylko na wyciąganiu konsekwencji z najprostszych przykazań, które zakazują przemilczania świństw, czapkowania przed panem, wyłudzenia jałmużny za pokorę i innych, podobnych zachowań. Z własnej godności czerpiemy prawo, aby stare słowa „wolność”, „sprawiedliwość” i „Polska” móc wypowiedać pełnym głosem.

Leszek KOŁAKOWSKI

L'HERNE

NUMER SPECJALNY POŚWIĘCONY WITOLDOWI GOMBROWICZOWI

pod redakcją
Konstantego Jeleńskiego i Dominique'a de Roux

Inedita Gombrowicza :

KORESPONDENCJA z Brunonem Schulzem, Arturem Sandauerem, Józefem Czapskim, Jean Dubuffetem

WYWIADY z Gombrowiczem (Piero Sanavio, Michel Polac

ZARYS KURSU FILOZOFII podyktowany przez Gombrowicza w maju 1969

SZKICE, KRYTYKI, WSPOMNIENIA, LISTY, CYTATY: Arrabal, Marian Axel, Stanisław Baliński, Kazimierz Brandys, Tadeusz Breza, Paweł Beylin, Martin Buber, Józef Bujnowski, Albert Camus, Zofia Chądzyńska, Andrzej Chciuk, E. M. Cioran, Michel Foucault, Wojciech Gniatczyński, Jerzy Gombrowicz, Zbigniew Grabowski, Wacław Grubiński, Günter Grass, Gustaw Herling-Grudziński, Benjamin-Józef Jenne, Uwe Johnson, Andrzej Kijowski, Jerzy Kosiński, Jan Kott, Marian Kukiel, Jorge Lavelli, Leo Lip-ski, Jerzy Lisowski, Józef Mackiewicz, Czesław Miłosz, Sławomir Mrozek, Jerzy Peterkiewicz, Konstanty Puzyna, Jean-Paul Sartre, Józef Szalik, Juliusz Sakowski, Olga Scherer, Hanna Świdowska, Barbara Szubska, Wit Tarnawski, Leopold Tyrmand, Giuseppe Ungaretti, John Updike, Józef Wittlin, Wiesław Wohnout, Paweł Zdziechowski.

CENA: F. 59

STR. 480.

Redakcja i administracja:

41, rue de Verneuil, Paris 7^e

Dziennik pisany nocą

Neapol, 1 marca 1971

Kilka dni temu wyczytałem w jakiejś gazecie, że polską rewoltę robotniczą na Wybrzeżu należy stawiać obok Kronstadtu.

Deutscher, w swojej trzytomowej biografii Trockiego, zaczyna opis Kronstadtu od przypomnienia słów Lenina o „błyskawicy oświeclającej rzeczywistość”. Zbuntowani marynarze nawoływali do Trzeciej Rewolucji, do obalenia bolszewików i ugruntowania demokracji sowieckiej. Na wiecach dominował okrzyk: „Precz z bolszewicką tyranią!”. Trzecią Rewolucję rozumiano jako stopniowe przejście do ostatecznej emancypacji. Pierwszym krokiem w tym kierunku miały być wolne wybory do niezależnych Sowietów, oczywiście niezależnych od jakichkolwiek partii politycznych.

Bolszewicy wymyślili szybko etykietkę dla Kronstadtu: kontrrewolucja pod wodzą białych generałów, na żołądź burżuazji i Ententy; tak, poślinionym płwocinami ołówkiem, smarowano pierwsze bukiety w przygotowywanym już zawczasu elementarzu *Agit-propu* do walki z wszelką opozycją. Deutscher pisze o tym z pewnym zażenowaniem, daje nawet do zrozumienia że zażenowani byli sami bolszewicy. Zażenowani czy nie, w każdym razie zdecydowali się nie okazywać słabości w ewentualnych rokowaniach z *miateżnikami* i „załatwienie sprawy” powierzyli parze Trockij-Tuchaczewskij. 5 marca 1921 Trockij wydał „ostatnie ostrzeżenie”: natychmiastowa kapitulacja albo zdławienie rewolty *manu militari*. Deutscher wzdycha melancholijnie nad losem bohatera swego romansu: „Ze przypadko Trockiemu zwracać się w podobnych słowach do marynarzy, było jeszcze jedną ironią historii. To był jego Kronstadt, Kronstadt który lubił nazywać dumą i glorią rewolucji”. Z kolei następuje, jak zwykle u Deuts-

chera, bardziej „racjonalne” wytłumaczenie tej „ironii historii”. Zabrakło w Kronstadic „weteranów rewolucji”, załogi *Aurory*, *Pietropawłowska* i innych sławnych okrętów wojennych składały się obecnie z świeżych rekrutów, przeważnie młodych roczników z wsi ukraińskich. „Żądali oni tego, co Trockij obiecał był niegdyś ich starszym braciom, i czego teraz ani on ani partia nie mogli dać. Znowu gorzkie i wrogie echo jego własnego głosu wróciło doń z ust innych ludzi; i znowu musiał je stłumić”. Nacisk, rzecz jasna, trzeba położyć na „nie mogli dać” i „musiał”. Przypomina to trochę ulubiony dowcip Broniewskiego o pijaku, który każe swemu małemu synkowi wypić kieliszek wódki i na widok jego skrzywionej buzi mruczy pod nosem: „Widzisz szczeniaku, a tatuś musi”.

Ataki „weteranów rewolucji”, w mundurach owiniętych dla niepoznaki białymi prześcieradłami (Biała Armia?), załamywały się wciąż na pękającym lodzie zatoki. Obrońcom twierdzy, którzy z daleka widzieli jak kolumna za kolumną idą na dno oddziały Tuchaczewskiego, wydawało się że „wraz z nimi tonie skażona rewolucja bolszewicka i że zbliża się triumf czystej rewolucji pod znakiem Kronstadtu”. Złudzenie rozwiła się 17 marca. 3 kwietnia Trockij przyjął defiladę zwycięzców. W okolicznościowej oracji nazwał zwyciężonych „towarzyszami”, co według Deutschera dowodzi że „mimowoli uznał zwycięstwo za moralnie pyrrusowe”. Wyrokom Historii (i ich egzegezie) dzięki przynajmniej za to „mimowoli”.

We Włoszech wydano niedawno w tomiku gazetkę obrońców Kronstadtu *Izwiestia*, od pierwszego numeru z 3 marca do ostatniego z 16 marca. Pouczająca lektura. Pod nagłówkiem numeru z 7 marca krótki napis: „Cała władza Sowiетom, a nie partiom”. Pod nagłówkiem numeru z 9 marca nieco dłuższy napis: „Lenin powiedział że komunizm to władza Sowiетów plus elektryfikacja, lud pracujący zrozumiał że komunizm to biurokracja plus kule z karabinów”. Początek odezwy z 3 marca:

„Towarzysze i obywatele! Nasz kraj przeżywa ciężkie chwile. Od trzech lat jesteśmy miażdżeni, dziesiątkowani przez głód, przez chłód i przez chaos gospodarczy. Partia komunistyczna która rządzi krajem oderwała się od mas, nie jest w stanie wyprowadzić go z powszechnej ruiny. Tak, partia komunistyczna zlekceważyła całkowicie niezadowolenie jakie ostatnio wybuchło w Piotrogradzie i w Moskwie, dała niezbity dowód utraty zaufania do ludu pracującego. Nie wzięła nawet pod uwagę rewindykacji przedstawionych przez robotników. Partia komunistyczna uważa je za konszachty kontrrewolucyjne. Myli się głęboko”.

Urywki odezwy z 11 marca:

„Nie chcemy powrotu do przeszłości. Nie jesteśmy sługusami burżuazji, ani żołnierzami najemnymi Ententy. Jesteśmy za władzą robotniczą, ale prze-

ciw tyrańskiej i niepohamowanej władzy jednej partii. Nie Kołczak, nie Denikin i nie Judenicz rządzą w naszej fortecy: Kronstadt jest w rękach ludzi pracy... Dążyliśmy najpierw do pokojowego ułożenia rzeczy. Ale komuniści nie chcieli ustąpić. Bardziej jeszcze niż Mikołaj II trzymają się władzy, gotowi cały kraj utopić we krwi, byle tylko nie wypuścić z rąk rządów autokratycznych. I oto teraz zbrodniarz Trockij rzuca przeciw nam naszych braci. Trudno już zliczyć trupy. Od czterech dni bohaterzy Kronstadtu odpierają wroga. Trockij nie przestaje szturmować, Kronstadt nie przestaje się bronić. Lepsza śmierć, niż kapitulacja... Towarzysze robotnicy! Dopóki bolszewicy pozostaną przy władzy, trwać będzie nędza. Od trzech lat karmią was zmarzniętymi kartoflami, zgniłymi śledziami i obiecankami. Z każdym dniem ciężej żyć. I wy znosicie to wszystko! W imię czego? W imię tuczenia bolszewickich komisarzy? Nie wahajcie się, towarzysze! Rozkujcie kajdany nowej niewoli! Niech Kronstadt obudzi całą Rosję. Towarzysze, łączmy się w walce przeciw komunistycznemu absolutyzmowi!”.

Zapewne, jest w tym wszystkim jakieś pokrewieństwo z Polską 1970, ale nie tylko z Polską. Kiedyś napisałem „opowiadanie średniowieczne” o XIII stuleciu, oczekującym Końca Świata lub Drugiego Przyjścia. Czy to możliwe że w naszym Nowym Średniowieczu do tych dwóch millenarystycznych mitów, odżywających w różnych postaciach, przyłączy się — tam, na Wschodzie — wskrzeszone po półwieczu wołanie o Trzecią Rewolucję?

2 marca

Od bardzo dawna nie wychodzę prawie z domu; a był czas, gdy włóczęgi po Neapolu należały do moich największych przyjemności.

The Permissive Society dotarła także tutaj, naturalnie w ząbkującej chwilowo formie, w wydaniu dla ubogich. Urokiem (jednym z nielicznych) miasta była przedtem jego nagminna serdeczność, słynna *cordialità napoletana*. To prawda, dużo w niej było teatralności, wystarczy — jeśli się tu nie mieszka — czytać lub oglądać na scenie komedie Eduardo de Filippo, niezrównanego obserwatora życia neapolitańskiego, by zobaczyć skrawek bodaj rzeczywistości ukrytej za tą fasadą z kartonu. Ale nawet pamiętając o przepaści między pogodną inscenizacją Neapolu na pokaz i jego potajemnym uśmiechem goryczy królewskiego grodu za mienianego stopniowo w śmietnik historii, odczuwało się na każdym kroku pewną ludzką życzliwość, która jest zazwyczaj owocem długiego doświadczenia i zakorzenionego sceptycyzmu. Dziśszy Neapol ma coraz mniej wspólnego z wczorajszym. W tradycyjny lecz znośny dotąd kołowrotek miasta przeludnionego, cierpiącego na asfiksję, wdarło się nagle z całą swoją brutalną i wściekłą agresywnością „społeczeństwo w którym wszystko wolno”, stwarzając stan permanentnej wojny domowej: z jednej stro-

ny młodzi, z drugiej cała reszta. Nie trzeba chyba dodawać, że zasada „wszystko wolno” jest wyłącznym atrybutem młodych. Starym, osobom powyżej lat trzydziestu, pozostaje w tej wojnie domowej jedyna broń „tolerancji represyjnej” (według określenia Marcuse i Spółki), podstępnego reprimowania w młodych za pomocą tolerancji tego, co w nich jeszcze nie zdołało bądź nie zdążyło znaleźć pełnego i niczym nie skępowanego ujścia. Reprimujemy ich na przykład za pomocą tolerancji, starając się nie zwracać uwagi na motocykle bez tłumików, ujeżdżane w te i nazad po ulicach jak po stepie z szybkością stu kilometrów na godzinę. Reprimujemy ich za pomocą tolerancji kobiety, wzruszając ramionami po operacji zwanej *lo scippo*, czyli po zabiegu wyrwania w pędzie torebki przez któregoś z kudłatych jeźdźców zmotoryzowanej Apokalipsy. Gdy to piszę, grubo po północy, gang takich jeźdźców popisuje się na naszej opustoszałej już ulicy, z hukiem wprawiającym w drżenie szyby okienne. Nie tyle dla rozrywki, ile żeby wystawić na próbę naszą „tolerancję represyjną”.

Dzień jednak był dziś tak wiosennie słoneczny że wczesnym popołudniem, kiedy w Neapolu nawet młodych drapieżców obowiązuje siesta, wybrałem się na spacer. Miejscem do którego zawsze prowadzą tu moje spacerki jest *Santa Maria Donnaregina*, czternastowieczny kościół nie używany do nabożeństw odkąd biwakowali w nim żołnierze Garibaldiego, w latach trzydziestych oskrobany z baroku i przywrócony do swej pierwotnej świetności gotyku flamandzkiego. Za jego ozdobę — prócz trudnych do zobaczenia, bo ciągle restaurowanych fresków Cavalliniego — uważa się słusznie grobowiec Marii Węgierskiej, żony Karola II Andegawęńskiego, arcydzieło mistrza sienieńskiego Tino da Camaino z roku 1326. Zakochany w kościele i w tej rzeźbie dozorca lubi opowiadać turystom, że owalna twarz leżącej królowej, z małym wykrojem ust, natchnęła Modiglianiego podczas jego wizyty w Neapolu. Widziałem dużo rzeźbionych i malowanych Twarzy Umarłych, ale nigdy bardziej przejmującej w uchwyconym przez artystę sekrecie Snu i Śmierci. Raz tylko niewielki obraz Goyi *Martwa mniszka* poruszył we mnie na moment tę samą strunę.

5 marca

Niezwykłe jest odkrycie i opublikowanie (za granicą, w oparciu o tekst rozpowszechniany przez *samizdat*) powieści Wasyla Grossmana *Wszystko płynie*. Prominent literatury sowieckiej, predestynowany zdawałoby się od zarania swej kariery na wielokrotnego *ordienonosca*, usuwa się po atakach krytyki oficjalnej w cień i osiem lat (od 1955 do 1963) pracuje nad książką o niebwyale

gwałtownym ładunku oskarżycielskim. Kończy jej brulion — bo jest to przypuszczalnie brulion — na rok przed śmiercią. Naza jutrz po śmierci zjawiają się w jego mieszkaniu sowieccy „smutni panowie” i sekwestrują wszystkie papiery; wszystkie z wyjątkiem tego właśnie manuskryptu, który być może (podobnie jak w *Lubimowie* Siniawskiego) znajdował się w specjalnym schowku pod deską podłogi. Napełnia to nową nadzieją: kto wie, czy pod podłogą mieszkań Iwaszkiewiczów i Putramentów nie kryją się ich małowierne tytuły do przyszłej sławy i chwaly?

Rzecz jest niewykończona, ma wiele słabych i puszczonech fragmentów, ale zdumiewa swoją bezpardonową ostrością: bohater, wracający po trzydziestu latach więzień i łagrów na moskiewsko-leningradzką pustynię „wolności”; rozdział o śmierci Maszy Lubimowej za drutami obozu koncentracyjnego; wstrząsający opis krwawej kolektywizacji; traktat o donosicielach; i wreszcie całkowita desakralizacja ikony Lenina, odpowiedzialnego za „zabicie wolności”, za wymyślenie „syntezy socjalizmu i tysiącletniego niewolnictwa rosyjskiego” (z nadmienieniem, że Stalina trzeba uważać za prawowierne kontynuatora leninizmu i wzorowego wykonawcę woli Wodza Rewolucji).

Ostatecznie o tym wszystkim wiem wystarczająco dużo, co najwyżej w rozmowach ze znajomymi wciąż chorymi na „sentyment do Iljicza” (mam i takich) będę się odtąd mógł powoływać na świadectwo luminarza literatury sowieckiej. Inna więc rzecz uderzyła mnie w powieści Grossmana, pozornie drugorzędna. Opisuje on moskiewskiego biologa, człowieka raczej wrażliwego i z natury dość przyzwoitego, który w okresie stalinizmu głosił jak kazano i piętnował kogo kazano dla świętego spokoju, w imię „interesów państwa i nauki” (utożsamianych podświadomie z własnym arywizmem), z *navyku wiecznego postuszeństwa*. „Tajny raport” Chruszczowa wtrąca go w panikę. Nie, nie chodzi o mękę sumienia utyłanego w błocie pod „ołowianym niebem strachu”, w stylu sołżenicynowskiego Szużubina. Biolog z powieści Grossmana czuje się naraz *nagi*:

„I okaże się że nie wszechmocne, bezgrzeszne państwo bierze na siebie wszystko co zaszło, że odpowiadać wypada jemu, Nikołajowi Andrejewiczowi, a on przecież nie wątpił, on na wszystko głosował i wszystko podpisywał. Nauczył się tak dobrze, tak sprawnie udawać przed samym sobą, że nikt, nikt, nawet on sam nie zauważał tego udawania. Szczycił się szczerze swoją wiarą i swoją czystością. Udreka i wstręt do samego siebie były teraz chwilami tak ogromne, że odzywał się w nim gorzki, przesywający żal do państwa — czemu, czemu się przyznało! Lepiej było milczeć! Nie miało prawa się przyznać, niechby wszystko zostało po staremu”.

Grossman podpatrzył tu trafnie jedną z głównych cech totalizmu: powolne, dzień po dniu, krok za krokiem, gnojenie tzw.

przyzwoitych ludzi przez państwo, które ma zawsze rację, które się nigdy nie myli, a jeżeli już koniecznie musi się przyznać do jakichś grzechów, to bije się za nie w cudze piersi, w piersi Nikołajów Andrejewiczów, głosujących i potępiających przepisowo, włączających się żwawo w kolejne kampanie, maszerujących w karanych szeregach, nie zauważających w końcu rzeczywiście swego zakłamania. Zdarzało mi się widywać polskich Nikołajów Andrejewiczów, też rozgoryczonych na nutę: „I po co to było głośno mówić?”, lecz z odmiennych nieco pobudek: wstydu wobec „pół-analfabetów” czy „kołtunów”, którzy kiedyś po cichu mówili to samo. Przypisanie do państwa (w tym sensie w jakim istniało przypisanie do ziemi) jest w Rosji głębsze, co powoduje że periodyczne podrygi totalizmu wywołują u polskich Nikołajów Andrejewiczów reakcję bardziej prywatną.

6 marca

Za kilka lat *Wspomnienia* Nadzieży Mandelsztam wymieniać się będzie jednym tchem z *Doktorem Żiwago* i powieściami Sołżenicyna. Jest to piękna i mądra książka, nie przemilczająca niczego, nawet żalostnej i nieudanej próby Mandelsztama prześlą-gania oprawców *Odą na cześć Stalina*.

Można ocaleć pod rządami terroru? — pyta Nadzieja Jakowlewna. Nie, odpowiada stanowczo. „Kto oddychał tym powietrzem, przepadał, choćby przypadkiem udało mu się zachować życie. Martwi martwymi, lecz wszyscy pozostali — kaci, ideolodzy, pomagierzy, chwalczy zamykający oczy i umywający ręce, ci nawet co po nocach zgrzytali zębami — są także ofiarami terroru. Każda warstwa ludności, w zależności od tego jak skierowany był na nią cios, przechorowała na swój sposób straszną chorobę wywołaną terrorem, dotychczas jeszcze się z niej nie wygrzebała, jeszcze jest chora, jeszcze niezdolna do normalnego życia. Chorobę się dziedziczy, synowie rozliczają się za ojców, i tylko chyba wśród wnuków zaczyna się proces ozdrowienia, albo raczej choroba wybiera u nich inną formę”.

Przykładem gradacji terroru jest epizod opowiedziany w rozdziale *Ostatnia idylla*. Po krótkim pobycie w Czerdyniu (Osip Emiliewicz usiłował tam popełnić samobójstwo), po trzech latach zesłania spędzonych w Woroneżu Mandelsztamowie wracają do Moskwy z nadzieją *propiski*. Nadzieja okazuje się złudna. Para trędowatych skazana jest na bezustanne kołowanie, od miasta do miasta w promieniu stu kilometrów od stolicy. W Kalininie (Twer) znajduje przytułek w rodzinie robotnika-metalowca: to

właśnie jest „ostatnia idylla” przed powtórny aresztowaniem poety i jego śmiercią w władywostockim obozie tranzytowym.

„Jak zauważyłam, w rodzinach robotniczych rozmawiało się w ten czas surowy o wiele szczerzej i otwarciej, niż w inteligencjach. Po moskiewskich niedomówieniach i spazmatycznych usprawiedliwieniach terroru gubiliśmy się, słuchając bezlitosnych słów naszych gospodarzy. Nauczono nas przecież milczeć, i Tatiana Wasiliewna (żona robotnika), gdy raz Osip Emiliewicz odpowiedział wymijająco na jakieś pytanie, spojrzęła nań smętnie i wyszeptęła: *Niczewo nie podielajesz, wsie wy pugannyje*”.

Twerski metalowiec był robotnikiem z dziada pradziada. Jego żona nie bez dumy podkreślała: *my potomstwiennyje proletarii*, opowiadała o rewolucyjnych agitatorach ukrywanych w domu za czasów caratu, dodając: „Mówili jedno, a co wyszło!”. Toczące się procesy moskiewskie komentowali oboje: „Co się to wyrabia w naszym imieniu”, albo: „ich walka o władzę”. Gniew budziło w obojgu ustawiczne bębnienie prasy i radia o dyktaturze klasy robotniczej: „Zamroczyli wam głowy naszą klasą, plotą że władza w naszych rękach, a idź-no bracie i popatrz, pokażą ci twoją klasę”. Nadzieża Jakowlewna wyłożyła któregoś dnia gospodarzowi teorię, że klasami rządzą partie, a partiami wodzowie. „Wygodnie” — odmruknął. „W tej rodzinie ostro rysował się wieczny w Rosji problem ojców i dzieci. Sukces synów nie cieszył naszych gospodarzy, nie wierzyli w jego trwałość. Tatiana Wasiliewna powtarzała: *W dole nas dużo, łatwiej ocaleć, a na wierzch poleciesz, na łeb i szyję polecisz*”. Jej mąż dobierał się do korzeni rzeczy, nie dowierzał dzieciom, nie ośmielał się przy nich mówić co myśli: „Zaraz doniosą, wiadomo jakie teraz dzieci”.

Twer, dwadzieścia lat po zwycięstwie rewolucji. Sądząc z opowiadań mojego znajomego Rosjanina, który dobrze zna kilka moskiewskich rodzin robotniczych, niewiele się pod tym względem zmieniło trzydzieści lat później. Z tą jedynie różnicą, że otwarcie i szczerze rozmawia się obecnie i w rodzinach inteligentnych. Dramat polega na tym: rzadko, w ustroju idealnie niemal korporacyjnym, rozmawia się razem.

Sztokholm, 11 marca

Siedzący naprzeciw mnie młody człowiek, lat dwadzieścia dwa-trzy, jest studentem tutejszego uniwersytetu. Usunięto go z Uniwersytetu Warszawskiego po wydarzeniach marcowych. Wkrótce potem wyemigrował z rodziną w ramach „syjonistycznego” *Exodusu*, najpierw do Rzymu, a stamtąd do Szwecji.

Warunki życia i nauki znakomite, o czymś podobnym nie śniło się naszej powojennej emigracji w przeklętym Londyniszczu.

Ale też mój młody gość (przyszedł do mnie wieczorem, do hotelu Armii Zbawienia) bardzo niezręcznie czuje się w stroju „emigranta”: ilekroć pada to określenie, przez jego twarz przebiega szybki skurcz. Klub Trzeciego Miejsca, niezawodnie rojony przez każdą nową falę uchodźców politycznych? Nie, nie to, na dobrą sprawę sam jeszcze nie wie gdzie wylądował. *Kultura* jest mu bliska, w Warszawie czytywał ją „zachłannie”, tutaj jednak i *Kultura* jakby przybladła, „ot ciekawe pismo wśród wielu innych ciekawych pism zagranicznych”. Może w ogóle nie powinien był wyjechać, może po prostu należało „przeczekać”, jak jego koledzy którym „czystość rasowa” nie dawała podstaw do „spakowania maneli” i „wypięcia się na cały ten policyjny szlachtuz pod firmą socjalizmu”? Teraz na przykład, po grudniu, wszystko zaczyna znowu mieć jakiś sens. Rzecz w tym że do „rewizjonizmu” przyczepiono „syjonizm”, wyciągnięto nagle coś „przeciw czemu trudno się bronić”, co „jest dwuznaczne nawet w odczuciu sporego odłamu społeczeństwa”. Po chwili namysłu dorzuca: „Nasi ojcowie zaplanowali i pomagali budować ten szlachtuz, nie da się zaprzeczyć”. A ojcowie „aryjskich” kolegów nie? (Używam słówka „aryjski” z własnej inicjatywy; w Sztokholmie słyszy się najczęściej o „Polakach żydowskiego pochodzenia” i o „Polakach polskiego pochodzenia”, dowód że marcowa mowa Gomułki nie poszła na marne). Odpowiada: „Tak, tak, ma się rozumieć, to niby to samo; a przecież nie to samo”. Tak mówiąc, dotyka gdzieś głęboko rany, wobec której słowa są (przynajmniej chwilowo) śmieszonymi, różowymi plasterkami. Uśmiecha się natychmiast, przypominał mu się uwielbiany Gombrowicz: „Zrobiono nam Gębę”.

Mówi spokojnie, rzeczowo, wyraźnie dba o ścisłość sformułowań, jest na swój wiek nieprzeciętnie odczytany. Wtem wybucha, z nieoczekiwaną zajadłością: „Dlaczego *Kultura* drukuje autorów, którzy jeszcze do niedawna pisywali w Warszawie z identycznym fajerem w odwrotnym kierunku? Nie twierdzą że nie powinno się ich wcale drukować, ale czy nie łaska wprowadzić czytelników w tajniki tej akrobacji intelektualno-politycznej? Nie łaska opowiedzieć, jak się kiedyś hasało i na jaką melodię śpiewało? Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr? Szach prach, zaklęcie magiczne, było nie było, przywidziało się? Niech źli wychowawcy na nowo wychowują źle wychowanych? Niech oszukiwani wierzą odtąd na słowo honoru ex-oszukującym?”. Pytanie poganiane pytaniem, niczym seria z karabinu maszynowego. Nie pomagają perswazje i tłumaczenia, jest w tym coś z ataku długo hamowanej egzasperacji.

Odprowadziłem go, rozjątrzonego i gorączkującego się, do stacji kolejki podziemnej. I dopiero w drodze powrotnej do hotelu

przypomniała mi się książka Nadieжды Mandelsztam, przeglądana powtórnie przed wyjazdem z Neapolu. „Wieczny problem ojców i dzieci”, we wszystkich swoich zmiennych układach, nie jest monopolem Rosji. „Chorobę terroru się dziedziczy”, niesposób jedynie orzec czy w wypadku mojego młodego gościa „synowie rozliczają się za ojców”, czy też raczej „wśród wnuków proces ozdrowienia przybiera formę innej choroby”.

13 marca

Lat pięćdziesiąt kilka, komunista od najwcześniejszej młodości. Przelaziliśmy trzy bite godziny po pustawym Sztokholmie, o dziesiątej wdepnęliśmy do bezludnej kawiarenki w pobliżu mojego hotelu. Rozmowa? Nie, prawie milczałem słuchając. Jego monolog? Też właściwie nie. Bardziej niż monolog, było to coś w rodzaju pogmatwanego majaczenia, z zawieszeniem praw chronologii, z jakąś namiętną potrzebą powiedzenia wszystkiego naraz. Przychodził mi na myśl początek opowiadania Camusa *Renegat*, którego rzecz prosta dokładnie nie pamiętam. (Wpisane później: „Jaka płatanina, jaka płatanina! Trzeba przywrócić trochę ładu w tej głowie. Odkąd wycięto mi język, inny język, bo ja wiem, trajkocze mi bez przerwy w czasce, coś gada, albo może ktoś kto nagle milknie, potem wszystko zaczyna się od nowa, och czuję za dużo spraw o których nic nie mówię, jaka płatanina, ledwie otwieram usta jest tak jakby z chrzęstem obsuwał się żwir”). Więzienia w przedwojennej Polsce, praca partyjna, Bereza, wojna, Rosja, łagry, służba w Czerwonej Armii, *apiat'* łagry, powrót do kraju, poczucie przegranej, *niet komu ruki pozat' i niet komu prawdy skazat'*, ucieczka, *apiat'* powrót, teraz wyjazd, co ja tu robię na łaskawym chlebie króla szwedzkiego, ja komunista? „Nie chce się żyć, straciłem apetyt do życia”. Opowiadano mi o nim, że potrafi całymi dniami siedzieć bez ruchu, wpatrzony w ścianę. Oto jeden ze statystów „historii spuszczonej z łańcucha”, jak lubił mawiać Jerzy Stempowski. W *Doktorze Żiwago* występuje epizodyczna postać znachorki Kubarychy, bredzącej jak w malignie o wypadkach „dziejowych”. Chiaromonte słusznie zauważył w swoim eseju o Pasternaku, że ten tumult w kłębach kurzu bywa niekiedy naszą jedyną autentyczną wiedzą o „przyśpieszonym rytmie historii”.

14 marca

Widziałem dziś po południu przeróbkę filmową *Dnia Iwana Denisowicza*, zdaje się że angielsko-norweską. Lepsza niż można było przypuszczać, w każdym razie na szczęście powściągliwa i

skromna, bez tego co krytycy anglosascy nazywają *purple patches*. Zastanawiałem się przed pójściem do kina z pewną obawą, czy zniosę przyływ wspomnień. Zarosły błoną czasu, tylko pod koniec, gdy Iwan Denisowicz układa się na prycy do snu i przymyka oczy, poczułem w gardle jakby suchy gruzełek szloch.

W jednym z ostatnich numerów *Grani* (mam go tutaj) ukazało się sprawozdanie z wieczoru mandelsztamowskiego na Uniwersytecie Moskiewskim w maju 1965 roku. Przewodniczył Erenburg, w pierwszym rzędzie siedziała Nadieżda Jakowlewna. Aula nabita po brzegi, na podium zmieniają się prelegenci i studenci deklamujący wiersze Mandelsztama. Przychodzi kolej na prelegenta, którego anonimowy sprawozdawca z wieczoru opisuje w ten sposób: „Blady, z płonącymi oczami, przypomina protopopa Awwakuma, ruchy rąk konwulsyjne i nie skoordynowane, mówi wspólnie i swobodnie, ale wydaje się że jeszcze sekunda a szarpnie się i zwali na ziemię”. Czyta swoje króciutkie opowiadanie o śmierci poety w łądze. Dogorywający poeta leży bez ruchu na prycy, komponuje w myślach swoje ostatnie wiersze, tak piękne i czyste, że życie wsącza się wraz z nimi do wyciężonego ciała. Z zapadnięciem nocy umiera. Przez dwa dni współwięźniowie w baraku ukrywają jego zgon, by pobierać należny mu *pajok*. „Umarły leżał z podniesioną do góry ręką, podobny do kukły. Umarł przed datą swej śmierci, szczegół nie błahy dla biografów”.

Blady i napięty prelegent z płonącymi oczami to Warłam Szalamow, autor mistrzowskich w swej okrutnej lapidarności *Opowiadań kołymskich*. Przeżył cudem na Kołymie siedemnaście lat, wrócił do Moskwy chory i zupełnie głuchy. Ma rację M. H., zestawiając go z Tadeuszem Borowskim. „Kamienny świat” Oświęcimia i Kołymy.

Kopenhaga, 18 marca

Nazajutrz po przyjeździe do Kopenhagi ciekawość popchnęła mnie rano do dzielnicy *porno*. Zwiedzanie trwało krótko, wyznał mi stamtąd atak ziewania. Szkoda mi było pieniędzy na *pornoshows non-stop day and night*, zajrzałem jedynie do kilku *pornoshops*. Na półkach masa zadrukowanego świństwami papieru, plus minus to samo co w londyńskiej dzielnicy Soho sprzedaje się spod lady (oczywiście w znaczeniu kontuaru, a nie *my good lady*). Na wystawach rozmaite elektryczne i nie elektryczne przybory do uprawiania miłości „samotrzc”, knuty flagellacyjne z solidnych postronków i rzemieni (wzbudziły we mnie najwięcej uznania), oraz tym podobne artykuły conocnego domowego użytku. Nie brak również dyskretnych afiliacji mistycznych: na jednej

z wystaw siedzący Budda, który — o dziwo! — kontempluje tradycyjnie własny pępek, a nie (jakby się należało spodziewać) własne genitalia (inna rzecz, że przeszkadzałyby mu w tym brzuch). Dzieci, dla których chyba głównie przeznaczone jest to bogactwo edukacji seksualnej, przechodziły obok nawet nie patrząc. Wśród starszych przechodniów byliśmy z moim towarzyszem jedynymi poważnymi gapiami, niestety mało skorymi do nieprzewidzianych w budżecie samokształceniowym wydatków.

Dziś wieczorem jednak, w przeddzień odlotu do Paryża, postanowiłem uzupełnić za dziesięć koron luki w moim wykształceniu i stanąłem w ogonku do kasy wielkiego kina Palladium. Wyświetlają tam film *Dlaczego Pan(i) to robi?*, długometrażowy, właśnie pedagogiczny, nakręcony przez amerykańsko-duńską parę apostołów „bezgranicznej swobody erotycznej” (która jest, jak wiadomo, perłą w diademie *The Permissive Society*). Film składa się z trzech części, każda mniej więcej po pół godziny. W pierwszej młoda Dunka, dość przystojna i o obfitych kształtach, deklaruje swą reprimowaną dotychczas miłość do zwierząt, po czym z wyzywającym błyskiem w oczach prezentuje się nago publiczności jako całkowicie już wyzwolona, aby kolejno z ogromnym nakładem-podkładem wysiłków uwieść byka, kozła i psa (podobno cenzura duńska — bo i w Danii istnieje cenzura obyczajowa! — wycięła numer kopolacyjny z ogierem). Młoda duńska zomitka jest „robiąc to” w ekstazie, z trzech wymienionych zwierzątek najbardziej znudzoną minę ma byk. (*A propos*, sugestia dla eksporterów wybornego mięsa duńskiego: czy w Ameryce, wzięwszy pod uwagę nowelę Evelyn Waugh, nie sprzedawałyby się lepiej konserwy mięsne w puszkach z napisem *The Loved One?*). W drugiej części filmu występują dwie ładne lesbijki, Dunka i Murzynka. Ponieważ miłość lesbijska wymaga jednak sporego udziału czułości, nie jest aktem mechanicznym, ten rozdźwięk wypada wcale wcale, przynajmniej obie panienki starają się być dla siebie miłe. W trzeciej części mamy do czynienia z dwiema szczęśliwie poślubionymi parami duńskimi, również w stroju adamowym, które pokazują cały szereg wariantów spełniania obowiązku małżeńskiego. Zważywszy że to co poczytywał Proust nazywał *le geste solennel de l'Amour* przybiera tu charakter ceremonialnych zapasów atletycznych, ta nowoczesna lekcja alkwiana odbywa się na materacu-ringu, z którego po każdorazowym akcie cała czwórka zbiega zarzucając sobie wzorem bokserów ręczniki na ramię. Ring, jak w sali anatomicznej, otoczony jest na ekranie przez młodocianą widownię uczniów, śledzących bezgłośnie wykład z ilustracjami w takim naprężeniu, jakby z obłoków zstąpił tu sam Mistrz Marcuse we własnej nagiej osobie. Po skończonym spektaklu nie widać podobnego naprężenia na twarzach publicz-

ności w kinie. Przeciwnie, wszyscy wychodzą osowiali i skapcanieni, z minami byka z pierwszej części.

Nie jest wykluczone, że w tymże kopenhaskim kinie Palladium wyświetlana będzie niebawem z tzw. „oszałamiającym powodzeniem” *Love Story*, wersja filmowa *best-sellera* powieściowego Ericha Segala. „Neoromantyczna” tubka pasty do zębów świeżej amerykańskiej produkcji spełni wtedy zadanie, którego sobie może i nie stawiała: wydezynfekowania na jakiś czas ust zamulonych mdłą papką *porno*.

Maisons-Laffitte, 21 marca

Umówiliśmy się w kawiarni na Nation. „Mieszkam w okolicy u przyjaciół — powiedział przez telefon. — Tak będzie lepiej, z dala od ludzkich oczu”. „Ludzkich” znaczący „polskich”. W rozmowie telefonicznej wydał mi się lekko zawiany, na spotkanie przyszedł wyraźnie wstawiony. Zaczęło się naturalnie od tradycyjnej „bużki” i błyskawicznej serii „kalwadosików”.

Przyjechał z Warszawy przedwczoraj, w stanie jeśli nie euforii to podekscytowanego samozadowolenia. Zwolniono mu z cenzury książkę, co prawda po pewnych retuszach, ale nie takich znowu ważnych. „Nasz czytelnik nauczył się czytać między wierszami” — uśmiechnął się do siebie rzewnie. „Czego nie można powiedzieć o was” — dodał, patrząc na mnie surowo. Westchnął pojednawczo: „Ach Paryż, Paryż, dobrze wam tu, chciałaby dusza do raj”, natychmiast jednak wziął się w garść stentorowym „w kraju, co byście wy tutaj nie pisali, idzie nowe” i odtąd, choć od wieków jesteśmy na ty, zwracał się do mnie w liczbie mnogiej. „Nie potraficie zrozumieć”, „nie dostrzegacie takich prostych rzeczy”, „kosmopolitykujecie gdy w grze jest przyszłość żyjącego tam (z dramatycznym naciskiem) narodu”, „straciliście poczucie rzeczywistości”. Na przykład: co wam u diabła strzeliło do głowy, że *my* powinniśmy byli poprzeć w grudniu robotników? Żeby wywołać ruskiego wilka z lasu? Żeby odżył upiór Czechosłowacji? Trzeba się właśnie cieszyć że robotnicy zaawanturowali się sami, bez naszych trzech groszy, musimy ruskim łopatami kłaść do zakutych łbów: nie ma i nie będzie w Polsce „praskiej zarazy” (z przymrużeniem oka). Jeśli chcecie wiedzieć, to inteligencja właśnie w grudniu zdała egzamin z umiejętności myślenia politycznego. Co robić? Jak powiada Kisiel, łapać okazję za ogon. Sprawdzać Gierka, kroczyć po kroczeniu, łypiąc zezikiem w jego karty, mały kredycik na raty w zamian za. Naród, liczy tylko naród. Bawić się w robienie rewolucji? W smażenie deklaracji, które wywołują jednodniowy raban na Zachodzie?

No i jak na tym wyszli Czesi? Jak Zabłocki na mydle. Robotnicy niech sami pilnują swoich interesów, pokazali że potrafią, a rewolucję, prawdziwą rewolucję, robią takie książki jak moja. Ale, ale, nie wychwalajcie jej tu zanadto kiedy się ukaze, mogłoby *nam* to pokrzyżować plany.

Może z winy „kalwadosików”, ogarnęło mnie nagle straszne znużenie. I dalszego ciągu słuchałem jak przez grubą taflę ze szkła. Powtarzało się często „ka” „ka”, szło prawdopodobnie o Kardara i o Kardynała. Była też mowa o Zamku, w tak zawieszonym sosie filozoficzno-metafizycznym, że na ułamek sekundy przemknęła mi przez głowę szalona myśl: czyżby zmienił temat i wtajemniczył mnie w swój komentarz do powieści Kafki? Okazało się naturalnie że nie zmienił tematu, że galopował dalej na narodowym kucyku, ale myśl o Kafce nie dawała mi już spokoju, podsunąłem mu więc projekt następnej książki: tłum polskich Józefów K., krajowych i emigracyjnych, rozkłada się obozowiskiem pod Zamkiem Królewskim w Warszawie i czeka. „Na co?” — wyrwało mu się. „A bo ja wiem na co” — odpowiedziałem. „Głupie kawały” — burknął i to definitywnie zwarzyło nasze spotkanie. Wypiliśmy jeszcze kolejkę, nie obeszło się bez obowiązkowej „bużki”, było jednak jasne że spotkamy się znów nie prędko.

Jadąc w pośpiechu po obiedzie do Paryża, zapomniałem że J. G. dał mi na drogę do przeczytania list C. M. Przeczytałem go teraz, w pociągu do Laffitte. M. pisze w nim o świetnej książeczce Burby-Kochańskiego i o mojej wymianie listów z Korespondentem krajowym. Ciężkie słowa o inteligencji polskiej: próchnica, pétainizm. Uderzające jest zdanie: „Uświadomiłem sobie jak silnie jestem anty-zachodni i jak bardzo dzisiejsze zadanie przypomina walkę Obozu Reform w XVIII wieku na dwa fronty — przeciwko sarmatyzmowi i przeciwko małpowaniu paryskich wykwintów”.

23 marca

W szufladzie biurka któryś z moich poprzedników zostawił kartkę z okrzykiem Apollinaire’a: „Nasze stopy na próżno usiłują oderwać się od ziemi kryjącej zmarłych!”. Jest dokładnie na odwrót: nasze stopy kurczowo lgną do ziemi kryjącej zmarłych.

27 marca

W marcowym numerze *Miesięcznika Literackiego* kawałek

wspomnień Putramenta, zatytułowany *Heca z Pasternakiem*. Rozdzinek:

„Właśnie dałem spokój kolejnej próbie ciągnięcia *Puszczy*, gdy wiadomość o przyznaniu nagrody Nobla dla Pasternaka, Borysa oczywiście. Oczywiście, cała historia zmontowana była wyłącznie jako heca polityczna. Wspomniałem, że przed rokiem rękopis gościł w Polsce, miał go bardzo przychylny autorowi człowiek. Mógł wydać całość, nie wydał, bo uznał że nudna, i nawet autorowi coś w tym rodzaju powiedział. Wydrukował tylko fragment”.

Mniejsza o tę „hecę polityczną”, zrozumiałą pod piórem żuła, dla którego cała historia literatury jest przypuszczalnie jednym nieprzerwanym pasmem „hec politycznych”. Reszta informacji odpowiada prawdzie. „Przychylny Pasternakowi człowiek” to Z. F. Znam go, sam z *dumą* opowiadał mi swój wiekopomny „wyczyn” przed wielu laty w Neapolu.

Był w okresie wykańczania *Doktora Żiwago* urzędnikiem ambasady PRL w Moskwie, jako tłumacz poezji rosyjskiej przyjaźnił się z Pasternakiem, mieszkał u niego na dacy w Pieriedielkinie. Pasternak upatrzył go sobie na pierwszego czytelnika gotowego manuskryptu powieści. Nasz warszawski rafinat przeczytał, wrzucił ramionami i zawyrokował że to „chała”. Pasternakowi było przykro, trudno się temu dziwić, uznał jednak prawo swego gościa do własnych gustów i poprosił go tylko o przedłożenie książki któremuś z wydawnictw polskich. Nasz rafinat spełnił tę prośbę, ale wręczając manuskrypt dyrektorowi wydawnictwa w Warszawie, ostrzegł: „chała”. Dyrektor zaakceptował bez słowa lakoniczną i dosadną „ekspertyzę”, podziękował młodemu lecz tak stanowczemu już i wytrawnemu „ekspertowi”, i kłopotliwą „chałę” zamknął na klucz w szafie. Przeleżała tam rok, jedynie „na odczepne” i „dla otarcia łez” autorowi wydrukowano jej okruczeństwa w miesięczniku „przyjaźni polsko-radzieckiej”. Kiedy „chałę” wydał po włosku Feltrinelli, było już za późno: po pierwsze, rzecz nabrała natychmiast posmaku skandalu; po drugie, w Polsce zaczął się generalny odwrót od sezonu „październikowych wolności”. Jest więcej niż prawdopodobne, że Pasternak chciał najpierw wydać *Doktora Żiwago* w Warszawie (co było wówczas zupełnie możliwe), by z punktu nadać losom swej powieści bardziej utarty czy w każdym razie mniej drażliwy bieg. Numer nie przeszedł, nie przeszedł dzięki naszemu polskiemu rafinатовi. Pamiętam go, jak w Neapolu powtarzał ze szczerym zdumieniem: „I panu się ta chała podoba? Nie do wiary, nie do wiary”.

Jego działalność w roli „eksperta” nie skończyła się na tym. Przed kilku laty, w prowadzonym regularnie w *Twórczości* przeglądzie prasy sowieckiej, wybrzydzał się z okazji wydania oryginału (nawiasem mówiąc, pokiereszowanego przez cenzurę) *Mistrza*

i *Małgorzaty*. Opowiadano mi potem, że groziło to utraceniem polskiego przekładu arcydzieła Bułgakowa, który na szczęście ukażał się w końcu z opóźnieniem. I choć w wypadku Solżenicyna problem ma charakter czysto akademicki, jestem prawie pewien że Z. F. uważa również za „chały” obie jego wielkie powieści.

Prócz zwykłej stupajkowskiej cenzury ciemniaków, istnieje więc w Warszawie cenzura wpływowych „kiperów”. Niesposób się połapać w ich kryteriach. Jednym tchem pięją z zachwytem nad *Ulissem* Joyce'a (w kongenialnym zresztą tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego) i rekomendują do druku najgorsze socrealistyczne ramoty sowieckie. Może kiedyś wyjaśnią nam, że w tym szaleństwie była chytra „narodowa” metoda: obrzydzenia rodakom literatury rosyjskiej.

2 kwietnia

W dwumiesięczniku włoskim *Pianeta* ogłoszono w zeszłym roku artykuł *Perseusz-Lebenstein w grocie Medusy*. Artykuł wcale nie głupi, wychodzący z założenia że żyjemy w epoce nowych mitologii, które usiłują tajemnicę przyrody i kosmosu interpretować, gdy dawne pragnęły ją raczej zrozumieć.

„Lebensteinowski Perseusz jest bohaterem pokonanym, duszą pełną cieni, zdolną do tych samych niegodziwości co jego wrogowie, Perseuszem który czytał Freuda i Junga, który we własnym zablakaniu, w rozszerzeniu własnego Ja, odkrywa istnienie bólu, sadystyczną świadomość cierpienia. Ten Perseusz znika więc w ciemnych zakamarkach własnej duszy, pochłonięty przez mrok”.

Sporo w tym zapewne celnych intuicji, ale ilekroć oglądam płótna Lebensteina, przychodzi mi na myśl inne, mniej mitologiczne, skojarzenia i refleksje. Kiedyś Russell, po odczycie o planetarnym niebezpieczeństwie zagłady atomowej, został zapytany z całkowitym spokojem przez jednego ze słuchaczy, czemu przetrwanie rodzaju ludzkiego wydaje mu się tak ważne. Russell przytacza ten incydent jako przykład pesymizmu zżerającego już kośćmi życia, sam jednak zauważa gniewnie w mowie „noblowskiej”: „Jeśli gatunek ludzki ma przeżyć, czego być może nie należy sobie życzyć”, a w *Szkicach niepopularnych* podwaja dozę: „Gdybym był pewien że jelenie, wiewiórki, słowiki i skowronki przeżyją, mógłbym z niejaką pogodą brać w rachubę hipotezę zagłady rodzaju ludzkiego, ponieważ człowiek nie okazał się nigdy godny roli pana stworzenia”. Samotny, unikający jak ognia wszelkich „szkół” i „kierunków”, malarz polski na St. Paul należy w sztuce do pokrewnej rodziny nienawistników z nadmiaru miłości.

Zgadało się dziś u Lebensteina o Potworowskim. Przyjaźniliśmy się z nim w Londynie, parę razy spędziliśmy wakacje w jego domku w Kornwalii. W tym co malował (z każdym miesiącem piękniej i dojrzalej) i w tym co mówił (zacinając się lekko, z rumieńczykiem wstydliwego podniecenia na twarzy) była absolutna bezkompromisowość artysty i człowieka. Potem nasze drogi się rozeszły, ja wyjechałem z Londynu, on w kilka lat później przeniósł się do Polski. Spotkaliśmy się przypadkowo na Biennale w Wenecji. Był niby „rad i kontent”, rozwodził się z przejęciem o swoich pracowniach i uczniach w kraju, a przecież wzrok miał jakby spłoszony. Kiedy zbliżyła się do nas grupa jego kolegów z Warszawy, pilotowana przez jakiegoś włoskiego fagasa mówiącego po polsku, szybko się pożegnał i zdążył mi jedynie szeptem zaproponować wieczorną „randkę” u Floriana. Upokorzyło mnie jego upokorzenie, nie poszedłem wieczorem do Floriana. I więcej go nie widziałem i nie zobaczę.

Neapol, 8 kwietnia

Lo struscio jest obyczajem hiszpańskim, zachowanym i pilnie przestrzegany w Neapolu. Pochodzi od czasownika *strusciare* — powłóczyć nogami. W Wielki Czwartek pryncypialna ulica miasta, dawna Via Toledo, zastaje po zmierzchu na trzy godziny zamknięta dla ruchu kołowego. Można wtedy po niej do woli spacerować, łącznie z jezdnią, *strusciano* czyli właśnie powłócząc nogami. Obyczaj ma umożliwić spokojne odwiedzanie kościołów, gdzie w Wielki Czwartek ustawia się symboliczne Groby Pańskie z białych kwiatów i jarzących się świec.

Spóźniłem się na tegoroczne *struscio*, ledwie z największego kościoła dobiegły dźwięki pieśni *Signore tu sei il mio pastore* śpiewanej przez chór dziecięcy, pieszce owieczki na Toledo musiały pierzchać przed najazdem zniecierpliwionego długim czekaniem ruchu kołowego, wśród infernalnego ryku klaksonów. Cóż pozostawało? Schronić się w kinie. Nie daleko dawano *Smierć w Wenecji*.

Wyjawszy wspaniałych *Buddenbrooków*, nie odnosiłem się nigdy do Tomasza Manna z tym szczególnym nabożeństwem, które moim rówieśnikom gimnazjalnym i uniwersyteckim kazało czytać *Czarodziejską górę* z czerwonymi uszami i zasnutymi mgiełką oczami. Była to rezerwa instynktowna, ale potwierdziły ją ponowne lektury w wieku mniej zielonym. Odpychał mnie u Manna swoisty, estetyzujący mandarynat „arcykapłana sztuki”, którego nie spotyka się u pisarzy naprawdę wielkich i mądrych. Niby drobiazg, lecz bardzo znamienne jest to, co Silone opowiada

o swojej rozmowie z Mannem na emigracji w Szwajcarii. Zastanawiali się czy istnieje kamień probierczy, pozwalający oceniać różne ustroje polityczne. Silone: „Bez wątplenia; wystarczy ustalić jakie miejsce zarezerwowano w nich dla opozycji”. Mann: „Nie, sprawdzianem bardziej wzniosłym jest miejsce, jakie zarezerwowano w nich dla sztuki i artystów”. Silone komentuje: „Jego życzliwy bądź tolerancyjny stosunek do totalizmu sowieckiego pochodził stąd, że astronomiczne cyfry nakładów Goethego w ZSSR przesłaniały mu cień łagrów. Rozumował jak członek kasty wybranych”. Nic dziwnego, że bez liku mieliśmy i mamy „mannistów” w „kołach intelektualnych” Zachodu i Wschodu.

Estetyzujący mandaryn Mann znalazł idealnego tłumacza filmowego w Viscontim. Powiedzieć że *Smierć w Wenecji* na ekranie jest kiczem, mało znaczy; ostatecznie wiele wybitnych utworów literatury źle kończyło w uścisku Dziesiątej Muzy. Rzecz w tym że Visconti wydobyl wiernie, wyszlifował i wypolerował, kiczowatość której się dotychczas w dość ładnym na pozór opowiadaniu Manna nie dostrzegało. Ten zdolny niegdyś reżyser, zasługujący na karę chłosty za dezynwolturę z jaką świeżo „przetransplantował” spowiedź Stawrogina do filmidła o rodzinie Kruppów, przygotowuje się obecnie do swego łabędziego śpiewu; do nakręcenia *Recherche* Prousta...

Albory, 11 kwietnia

Miejscowość nazywa się Albory — Świty, — znajduje się wysoko nad Vietri, z domków zwróconych ku morzu widać całą niemal Zatokę Salernitańską.

Wiosna ociąga się w tym roku, noce są chłodne, dni często pochmurne. Tuż przed świtem przeszła tędy szybka i gwałtowna burza. Obudzony piorunem który strzelił gdzieś w pobliżu, zapaliłem światło i sięgnąłem po książkę. Siekl ulewny, pośpieszny deszcz, urwał się nagle, wróciła cisza. Pojaśniały szpary w żaluzjach, pchnięte ręką okno otworzyło się na świt. Na odległym styku nieba z morzem był brudno-różowy, wąski jak przepaska, lecz zaraz rozmazał się ciemną sangwiną i taki pozostał na dłużej. Obłoki toczyły się jeszcze wolno, potem pognały za uciekającą burzą. Wypogadzało się, jak tylko w tych stronach zwykło się wypogadzać: z błyskawiczością dekoracji obrotowej. Zielone płaty morza, ślady po zmąceniu wody, zlewały się w czysty i gładki błękit. Wciąż paliła się na nocnym stoliku zapomniana lampka, a za oknami wstawał, biały i płonący, śródziemnomorski dzień Wielkanocny.

Postępująca stale naprzód komercjalizacja rynku książkowego

nie cofa się przed żadną przynętą reklamową. Dwa tomiki które tu ze sobą przywiozłem, *Życie Jezusa Hegla* i *List do duchownego Simone Weil*, łączył na wystawie księgarni napis *Letture per la Pasqua*. Niechaj i tak będzie. Przyszłość że nie wiedziałem w ogóle o istnieniu książeczki Hegla, a i słynny list Simone Weil zawsze jakoś mi się wymykał.

Właściwie powinien mi się podobać Chrystus odmalowany przez Hegla, kantowski aż do przesady. „Postępujcie według takiej maksymy byście mogli pragnąć, ażeby obowiązywała ona jako prawo uniwersalne między ludźmi, również w stosunku do was. To jest prawo fundamentalne etyczności, osnowa wszystkich prawodawstw i świętych ksiąg wszystkich narodów. Wejdźcie tą bramą prawa do świątyni cnoty”. Albo: „Prawdziwy duch religii, duch w którym panuje jedynie rozum i jego kwiat, prawo moralne; wyłącznie prawo moralne jest podstawą autentycznej czci oddawanej Bogu”. Zapowiedź hieratycznego Zmartwychwstania w blasku Prawa góruje tu nad wpisaną w los Męką. W *Portrecie Kanta* Bolesław Miciński wytropił „żądze władzy, która chciałaby regulować obroty ciał niebieskich i wykreślać linie lotu jaskółkom”. I to budzi podejrzliwość.

Przeciwnie u Simone Weil, Męka góruje nad Zmartwychwstaniem:

„Hitler mógłby umrzeć i zmartwychwstać pięćdziesiąt razy, a nie uważałabym go za syna Bożego. Gdyby zaś Ewangelia pominęła jakąkolwiek wzmiankę o Zmartwychwstaniu Chrystusa, wiara byłaby dla mnie łatwiejsza. Sam Krzyż mi wystarcza. Dowodem dla mnie, rzeczą naprawdę cudowną, jest doskonałe piękno opowiadań o Męce... Obojętność wobec cudów nie stanęłaby mi na przeszkodzie, gdyż Krzyż wywołuje u mnie ten sam efekt co Zmartwychwstanie u innych”.

To jest nic odmiennej, bliższej mi w gruncie rzeczy tradycji, która Kafce podyktowała w *Dzienniku* słowa: „Dziś rano, po raz pierwszy od długiego czasu, znowu radość wyobrażania sobie noża obracanego w moim sercu”.

Neapol, 24 kwietnia

W *La Stampa* „okrągły stół” na temat XXIV Zjazdu, z udziałem (między innymi) Tatu, Schapiro, Łabędzia, Löwenthala, Franca Barbieri (redaktora tygodnika belgradzkiego *Nin*). Przed tygodniem podobny „okrągły stół” w *Corriere della Sera*, w ciekawszym troche zespole: Bettiza, Garaudy, Fischer, Barbieri, Fontaine, Nove, Bettelheim, Zorza. Zorkiestrowane diagnozy pracowników na niwie „sowieologii” są ostatnio w modzie, rzadko jednak przynoszą coś rewelacyjnego, przeważnie ograniczają się do zbioro-

wego przeżywania rzeczy już poprzednio znanych. Z obu włoskich „okrągłych stołów” zdaje się wynikać, że moskiewski zjazd oznacza triumf dużej Małej Stabilizacji. Byłoby to ćwierć prawdy, gdyby nie inteligentna uwaga Tatu, że taka wyżyłowana „doskonałość systemu” pcha go w ślepy zaułek dwóch niebezpieczeństw: nie może się już poprawić, może się tylko pogorszyć; usunięcie jednej cegły grozi zawaleniem całem gmachowi. Widzę że Zorza coraz śmieje się aspiruje do opróżnionego w Anglii przez Deutschera tronu, czyli do mandatu zapewniania czytelników że wszystko idzie ku lepszemu na tym najgorszym ze światów: zjazd obył się bez spektakularnych likwidacji, defenestracji i nawet dymisji, stanowiąc zatem pierwszy krok w kierunku wdrożenia członkom Politbiura i KC „zwyczaju cywilizowanej dyskusji politycznej”. Warto wyłuskać jeden szczegół z wypowiedzi Garaudy:

„W styczniu, po grudniowej rewolcie robotników polskich na Wybrzeżu, przeprowadzono ankietę w armii czechosłowackiej by stwierdzić czy jest gotowa do ewentualnej interwencji zbrojnej w Polsce; a ponieważ sześćdziesiąt procent odpowiedzi zadeklarowało się przeciw, postanowiono przyspieszyć czystkę w wojsku”.

Jakie wyniki dałaby analogiczna ankietą w wojsku polskim przed inwazją Czechosłowacji w roku 1968?

27 kwietnia

Złośliwość martwych przedmiotów. Pod koniec grudnia zeszłego roku, po powrocie z Paryża, szukałem parę godzin na darmo książki Kazimierza Wyki *Życie na niby*; znalazłem ją podczas dzisiejszego porządkowania biblioteki, wypchniętą z rzędu i przyduszoną do ściany, pokrytą grubą warstwą kurzą. Na odkurzonej białej obwolucie duży czarny żółw, w lewym rogu u dołu mniejszy żółty emblemat Trzeciej Rzeszy. Dedykacja: „Panu G. H.-G. z dalekim pozdrowieniem i nadzieją, że moja książeczka niniejsza będzie mu pomocną w zrozumieniu Kraju i jego obecnych ludzi. K. W. Kraków, 1 lipca 1957”. W najlepszym w książce, rzeczywistym świetnym, szkicu o „gospodarce wyłączonej” (1945) zakreślony przez mnie ołówkiem ustęp:

„Pod okupacją zerwany został stosunek moralny pomiędzy robotnikiem a jego pracą. Robotnik pracujący dla zniechęconego systemu pracował jak najmniej i jak najgorzej... Robotniczym herbem okupacji pozostanie żółw powolności. Rysowano go na murach fabryk... Z takimi dyspozycjami z czasów okupacji wchodzi robotnik w trzecią niepodległość. Mimo to nie patrzmy w przyszłość pesymistycznie”.

Przedziwnie brzmią te słowa teraz. Sądząc z zakreslenia, brzmiały nie inaczej w roku 1957.

30 kwietnia

W kwietniowym numerze *Miesięcznika Literackiego* wariacje na różne tematy Iwaszkiewicza, a w nich taki klejnocik:

„Znam twórczość Sołżenicyna, bardzo niejednakowo ją oceniam. Pierwsze jego utwory są na bardzo wysokim poziomie, takie jak *Matrionin Dom* (dla ścisłości *Dwor* — G.H.G.). Ostatnie utwory są o wiele słabsze, przede wszystkim są bardzo rozgadane i pisane z wyraźną manią prześladowczą. Zresztą nic dziwnego. Historia obozów jest jego manią. Ale taki *Pierwyj Krug* jest słaby. Daje niesłychanie ciekawy materiał faktograficzny o rzeczach nieznanym społeczeństwu naszemu (i społeczeństwu rosyjskiemu też), ale forma artystyczna jest wyraźnie słabsza. No cóż, a przyznanie mu nagrody Nobla jest demonstracją polityczną. Jest to fakt bardzo szkodliwy. Mamy jeszcze inny powód do zmartwienia, że dostał nagrodę Sołżenicyn, bo teraz trzeba będzie dać Fiedinowi albo komuś takiemu, tak jak dostał Szołochow po Pasternaku, i znów nas odetną od nagrody Nobla na dłuższy czas”.

Wypada zacząć od końca, czyli od „jeszcze innego powodu do zmartwienia”, skoro nawet głuchy dosłyszy stęknienie osobiste Iwaszkiewicza w melancholijnej uwadze że „znów nas odetną od nagrody Nobla na dłuższy czas”.

Nagroda Nobla jest od pewnego czasu (żeby użyć zwrotu Iwaszkiewicza o Sołżenicynie) „wyraźną manią prześladowczą” pisarzy polskich. Zrozumiały to londyńskie *Wiadomości*, które z myślą o terapii szokowej (jak sądzę) rozpięły ostatnio tak sformułowaną ankietę: „Gdyby nagroda literacka Nobla miała obecnie przypaść pisarzowi polskiemu (krajowemu lub emigracyjnemu), kto powinien ją otrzymać?”. Trudno naturalnie orzec z góry, czy ten chwalebny zabieg kuracyjny otrzeźwi choć odrobinę kandydatów, przebiegających coraz niecierpliwiej nóżkami w wydłużającym się bez przerwy ogonku. Sytuacja realna natomiast wygląda tak, że mieliśmy tylko dwóch poważnych kandydatów do lauru Akademii Szwedzkiej: Dąbrowską, którą tuż przed metą wyprzedził Iwo Andrić; i Gombrowicza, który zostałby prawdopodobnie w końcu przez sztokholmskich jurorów uhonorowany, gdyby nie jego przedwczesna śmierć. Reszta jest tym co Włosi ślicznie nazywają *la vendita del fumo*, sprzedają dymu. Tak czy owak, „dobrze poinformowani” w Sztokholmie wymieniają trzech „zapasowych” i „warunkowych” kandydatów polskich: nie ma między nimi Iwaszkiewicza. Przed przyznaniem zeszłorocznej nagrody Nobla *Corriere della Sera* przeprowadził coś w rodzaju referendum wśród krytyków literackich największych dzienników

w iluś tam krajach na wszystkich pięciu kontynentach: na pierwszym miejscu znalazł się Borges, na drugim Sołżenicyn; na Iwaszkiewicza padł jeden głos, oddała go jakaś pani z *Trybuny Ludu*.

Załatwiwszy wawrzynową „manię prześladowczą” Iwaszkiewicza, można by się zająć obozową „manią prześladowczą” Sołżenicyna. Ale po co, jeśli Iwaszkiewicza da się jeszcze jakoś wyleczyć, a Sołżenicyna już nie? Ach te „rzeczy nieznanne społeczeństwu naszemu (i społeczeństwu rosyjskiemu też)”. ... Ach ten Iwaszkiewicz, Iwaszkiewicz...

Wiele lat temu w szkicu *Kłęska i bunt dworzani* zestawilem go z Aleksiejem Tołstojem. Niedawno przybył nowy przybytek do trafności tego porównania. Słyszę, że na jakimś uroczystym spędzie Iwaszkiewicz zwrócił się do Gierka per „Drogi Panie Edwardzie”. W okresie miodowych miesięcy paktu Sikorski-Majski córka Feliksa Kona, Helena Ujsijewicz, opowiedziała W. W. o takim zdarzeniu, którego była świadkiem podczas jednego z bankietów kremłowskich. Aleksiej Tołstoj, zalany w sztok i podochocony tzw. serdeczną atmosferą, pomaszerował chwiejnie z kielichem w łapie na drugi koniec stołu i pijącemu spokojnie Stalinowi zaferował bruderszaft. Stalin (nie pozbawiony, jak twierdzą cudzoziemcy którzy z nim rozmawiali, cierpkiego poczucia humoru) odparł z uśmiechem: *Wy kanieczno szutitie, graj*. Nie wiem, czy Gierek odpowiedział naszemu Aleksiejowi Tołstojowi: „Pan chyba żartuje, Panie Prezesie”.

Jeszcze à propos autora *Piotra Pierwszego*. Pamiętnik Nadieży Mandelsztam zaczyna się od zdania: „Spoliczkowawszy Aleksieja Tołstoja, Osip Emiliewicz natychmiast wrócił do Moskwy”. Sprawdzić, koniecznie sprawdzić u wszechwiedzącego M.H., za co Mandelsztam spoliczkował Tołstoja*.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

* M.H. informuje: incydent nie miał charakteru politycznego — Mandelsztam myślał, że Tołstoj obraził jego żonę (Red.).

Zapisane wczesnym rankiem

★★

Tak mało powiedziałem.
Krótkie dni.

Krótkie dni,
krótkie noce,
krótkie lata.

Tak mało powiedziałem,
nie zdążyłem.

Serce moje zmęczyło się
zachwytem,
rozpaczą,
alkoholem,
nadzieją.

Paszczą lewiatana
zamykała się na mnie.

Nagi leżałem na brzegach
bezludnych wysp.

Porwał mnie w otchłań ze sobą
biały wieloryb świata.

I teraz nie wiem
co było prawdziwe.

Czesław MIŁOSZ

Czarna lewica w Stanach Zjednoczonych

1. Wzrost popularności i kryzys partii Czarnych Panter

Trudno w tej chwili potwierdzić lub zdecydowanie zaprzeczyć opinii Federalnego Biura Śledczego w USA stwierdzającego, iż Partia Czarnych Panter (*Black Panthers Party*) — skrajnie lewicowa organizacja Murzynów amerykańskich — stanowi najpoważniejsze zagrożenie porządku społecznego i norm prawnych w Ameryce. Opinia ta wydana została przez Edgara Hoovera, kierownika FBI, około dwa lata temu w momencie, gdy Czarne Pantery przeżywały, jeśli nie żywiołowy rozkwit swych sił, to w każdym razie — rozgłosu. Rozgłos ten był częściowo wynikiem powtarzających się aktów terroru, których ofiarą padali amerykańscy policjanci, oraz bogatej retoryki rewolucyjnej Panter wraz z imponującymi młodzieży bojowymi akcesoriami ruchu w postaci licznych znaczków, insygniów i symboli. Poważny wkład do popularności Panter wniosła biała Nowa Lewica, której najczynniejszym reprezentantem na uniwersytetach amerykańskich była skrajnie radykalna grupa SDS (*Students for Democratic Society*).

To, co się dzieje na wyższych uczelniach, jest zawsze rzeczą bardzo ważną dla każdego rozwiniętego kraju, bez względu na jego ustrój. W swych wystąpieniach na uniwersytetach amerykańskich SDS i pokrewne jej organizacje uczyniły z dyskryminacji rasowej nie tyle problem, który ma być rozwiązany w ramach istniejącego systemu, ale instrument, który system ten miał rozsądzić. W konsekwencji, biała Nowa Lewica, prowadząca agitację na wyższych uczelniach, występowała zarówno przeciwko rzeczywiste istniejącej w szeregu stanów dyskryminacji mniejszości etnicznych, jak również przeciwko tej — która należała już do przeszłości, pozostawiając po sobie jedynie gorycz doznanych

krzywd i chęć odwetu. Strategia polityczna Nowej Lewicy i jej rewolucyjnych celów pociągała za sobą konieczność wspierania, wbrew głoszonemu internacjonalizmowi, najbardziej nacjonalistycznych tendencji wśród ludności kolorowej Stanów, ponieważ rozwijające się na tym tle antagonizmy stanowiły i stanowią materiał palny, przy pomocy którego zniszczyć można zniechęcony system. Nowa Lewica uczyniła więc z zaaresztowanych pod zarzutem dokonania rozmaitych przestępstw przywódców Czarnych Panter — głównych heroldów Rewolucji i Wyzwolenia Człowieka. Gloryfikacja ich postaci w czasie politycznych zebrań studenckich, na których domagano się ich zwolnienia, przy nikłym zresztą udziale czarnych studentów, konsekwentnie unikających uczestnictwa we wspólnych demonstracjach z białymi, wpłynęła wybitnie na umocnienie się prestiżu Czarnych Panter.

Popularność Czarnych Panter, która osiągnęła swe apogeum w roku 1969, miała wiele słabych stron, które w okresie ostrego kryzysu drażącego organizację wychodzą obecnie na światło dzienne. Najślabszą stroną jej popularności było to, że nie wyrastała ona z mocnego gruntu społecznego i że w dużej mierze jej rozgłos uzależniony był od masowych środków informacji, które w Ameryce mogą w ciągu kilku dni wyprowadzić człowieka lub grupę ludzi z nicości i ponownie — w nią wtrącić. Telewizja amerykańska uczyniła wielu z tych ludzi sławnymi, a codzienne sprawozdania sądowe z procesu działaczy Panter i ich zwolenników były przypieczętowaniem akcji popularyzacyjnej. Centralny organ prasowy Partii „Czarne Pantery” kolportowany w cenie ćwierć dolara za egzemplarz w najruchliwszych punktach New Yorku, czytany przez niewiele ludzi. Za to TV ogląda 90 % ludności wielkich miast. Obecnie, co najmniej od przeszło pół roku, Partia Panter przeżywa wyraźny kryzys. Spadkowi aktywności i liczebności Partii towarzyszy wewnętrzne rozdarcie i konflikty w kierownictwie. Ostatnio Minister Obrony i Dowódca Sił Zbrojnych Partii — wypuszczony na wolność Huey Newton — usunął swego szefa sztabu Davida Hilliarda. Decyzji tej nie uznał przebywający na wygnaniu politycznym w Algierze Minister Informacji i Pierwszy Ambasador Partii za granicą, Eldridge Cleaver, doprowadzając do ostrego konfliktu. W rezultacie Cleaver został wykluczony z Partii przez Ministra Obrony Newtona, ten zaś z kolei został usunięty — przez nieuznającego jego decyzję — Cleavera. Oczywiście te groteskowo wyglądające spory jak również niepoważnie brzmiące tytuły ministrów, ambasadorów, premierów u aktywistów Partii, która mieni się być rewolucyjną, a na którą trochę inaczej patrzy biały polityk, a inaczej — mieszkańiec czarnego getta, nie oznaczają jeszcze ostatecznego upadku Partii. Przeciwnie, sądzę, że mimo spadku kadr,

który nie zawsze jest probierzem wpływów, Pantery zachowały w dalszym ciągu kapitał prestiżu, zwłaszcza wśród czarnej, na wprost lumpenproletariackiej młodzieży gett¹. Innymi słowy Partia Czarnych Panter, która przeżywa osłabienie wraz z odpływem fali lewicowego ekstremizmu w skali ogólnoamerykańskiej, jest dalej potencjalnie poważną siłą polityczną. Jeśli nawet organizacja się rozpadnie, to na jej miejsce powstanie przypuszczalnie jej ekwiwalent pod inną nazwą, być może częściowo z innymi przywódcami, ale z podobnymi hasłami politycznymi. Przesłanki socjalne do rozwoju ekstremizmu nacjonalistyczno-społecznego istnieją bowiem nadal wśród czarnej ludności Ameryki i istnieć będą tak długo póki w trybie częściowo naturalnych, a częściowo sztucznie kierowanych procesów nie ukształtuje się w jej łonie silna warstwa średnia — w tym wypadku drobnych czarnych kupców, inteligencji i robotników. Przyszłe wydarzenia i kierunki rozwoju Stanów Zjednoczonych mogą Partię Panter bądź ostatecznie pogrzebać, bądź uwielokrotnić jej siłę. Wiele zależy od tego czy w amerykańskim areopagu władzy znajdzie się 10-ciu — nie biblijnych sprawiedliwych, ale 10-ciu mędrców, którzy znajdą klucz do wyprowadzenia Ameryki z jej kryzysu, który ma wiele aspektów. Jeden z nich — i to przypuszczalnie nie najważniejszy — ma w każdym razie odcień afrykańskiej czerni.

2. Od walki o pełnię praw — do szowinizmu rasowego

Mniej więcej we wczesnych latach sześćdziesiątych rozpoczęła się wyraźna aktywizacja czarnej ludności Ameryki w dziedzinie przywrócenia jej pełnych praw społecznych i politycznych. Ruch rozwijał się rozmaitymi nurtami przy większej radykalizacji Czarnych z Północy i Zachodu i bardziej pokojowym charakterze na Południu, które wydało imponującą postać dr. Martina Lutera Kinga. Czarna ludność Ameryki, która w stratyfikacji społecznej i ekonomicznej zajmowała pozycję kopcieszka, zaczęła po raz pierwszy intensywnie walczyć o pełnoprawne miejsce w kapitalistycznym społeczeństwie Ameryki. Z biegiem czasu, zwykłą koleją losu te ograniczone cele okazały się zbyt skromne dla niektórych ideologów ruchu. Wraz ze wzrostem radykalizmu społecznego, świadomość odrębności etnicznej przerosła w szowinizm pewnych odłamów czarnej ludności, podsycany przez wielu ambitnych czar-

1. Przez lumpenproletariat gett rozumiem nie ludzi wyrzuconych poza nawias społeczny, jak to bywało w minionych latach chronicznego i powtarzającego się bezrobocia, ale żyjących w bardzo wyraźnym nawiasie społecznym. Tym nawiasem jest opieka społeczna — *welfare*, z której poważny procent ludności gett korzysta.

nych polityków. Radykalizacja i rosnący nacjonalizm wymagały oczywiście bardziej rozbudowanego arsenału ideologicznego. Dlatego w drugiej fazie ruchu nastąpiło to co w alegorycznym języku politycznych misjonarzy nazwane zostało „wielkim rozbudzeniem świadomości narodo-wyzwoleńczej Czarnej Rasy”.

Niektórzy działacze zaczęli walczyć nie tylko o pełnię praw w społeczeństwie białych, ale i o rozbicie „kapitalistycznego systemu”, który koniec końcem jest w Ameryce przede wszystkim strukturą społeczną białych. W ten sposób nacjonalistyczne uczucia niektórych odłamów czarnej ludności znalazły okazję do łatwego, choć nieco wynaturzonego mariażu z marksistowsko-leninowską negacją kapitalizmu. Do tego celu okazał się wysoce przydatny rezerwuwar sformułowań maoistowskich z jego zgoda nieklasowo brzmiącą tezą o narodach przemysłowych, które dominują nad resztą „chłopskiego, biednego świata”. Choć postać Przewodniczącego nabiera w pewnych środowiskach kolorowej Lewicy cech Mojżesza, awans czarnych i degradacja białych ludów, którą miała przynieść przyszłość, nie stanowiły bynajmniej kresu ambicji. Aspiracje niektórych czarnych² polityków szły dalej. Żądali oni podniesienia rangi czarnej rasy nie tylko obecnie, w przyszłości, ale i w przeszłości. W ten sposób zrodził się prąd postulujący wydobycie i uznanie doniosłej roli Murzynów w historii, a przede wszystkim w tworzeniu ogólnoludzkiej kultury. Szermierze tego kierunku wysuwają tezę, że dziedzictwo kulturowe czarnych Afrykanów w niczym nie ustępuje tradycjom kulturowym starożytnego Rzymu, Grecji, Egiptu, Chin, nie mówiąc już o późniejszej kulturze Arabów czy Latynów. Tak zwolna zaczęła rodzić się legenda. Legenda ta nie jest zresztą całkowicie nową, jeśli chodzi o jej aspekty kulturowe. Jeszcze we wczesnych latach dwudziestych amerykański Murzyn, Marcus Garvey, skupił wokół hasła powrotu do Afryki ponad milion wyznawców. Wprowadził plany wielkiego exodusu czarnych skończyły się na opuszczeniu Ameryki zaledwie przez kilkunastu jego zwolenników, ale już wówczas Garvey, rzecznik czarnego nacjonalizmu, twierdził że w okresie kiedy Europa przeżywała epokę jaskiniową,

2. W niniejszym artykule używam w pewnych zdaniach słowa „Czarny” lub „Czarni”, które normalnie w języku polskim są przymiotnikami — jako rzeczowników. W tym wypadku przenoszę obyczaj językowy praktykowany w Ameryce, gdzie „Czarny” — „Black” lub „Czarni” — „Blacks”, stosowane są jako rzeczowniki. Należy przy tym zaznaczyć, że słowo „Black” nie ma w sobie nic lekceważącego ani tym mniej obraźliwego. Termin ten wprowadzony został do języka, przez samą ludność murzyńską, która w ten sposób określa samą siebie. W deklaracjach, w wystąpieniach publicznych niektórzy działacze posługują się w zastosowaniu do czarnej ludności Stanów terminem „Afro-Amerykanie”. Zwrot ten jednak nie przyjął się w użyciu codziennym.

a biali ludzie, uzbrojeni w jedyną broń — maczugę, rozrywali surowe mięso upolowanych zwierząt zębami, na Czarnym Łądzie rozwijała się kultura, kwitła nauka i sztuka. W owym czasie mit o wspaniałej, choć zapomnianej kulturze Czarnej Rasy nie znalazł odzwierciedlenia. Powrócił on kilkadziesiąt lat później wraz z nową falą emancypacji czarnych w Ameryce i powstaniem niepodległych państw Afryki.

Ze ruchom wyzwoleńczym towarzyszą legendy, z których rodzą się ambicje przerastające nieraz daleko rzeczywistość i możliwości uciskanych lub dyskryminowanych narodów, nie jest ani rzeczą nową, ani szczególnie charakterystyczną dla Murzynów amerykańskich. Można je znaleźć u wielu ludów, które były obiektem niewoli lub obcych prześladowań, w tej liczbie u Polaków, Żydów, Chińczyków lub Arabów. Megalomania narodowa jest psychologicznie łatwą do zrozumienia reakcją na doznane poniżenia, będąc zarazem próbą przewyciężenia własnego kompleksu niższości. Dlatego przy wszelkich rozważaniach nad przejawami ruchu wyzwoleńczego Murzynów w Ameryce oraz implikacji społecznych, które nadały mu tak dynamiczny charakter, trzeba odzielić realia od mitów. Mitem szeroko rozpowszechnionym przez działaczy Czarnej Lewicy jest twierdzenie, że gwałtowna erupcja ruchu wyzwoleńczego Czarnych w Stanach Zjednoczonych, która nastąpiła w latach sześćdziesiątych, była końcowym efektem wiele dziesiątków lat trwającego dojrzewania świadomości narodowej Murzynów i że obecny nurt jest wyłącznym owocem ich własnych wysiłków. Choć prądowi temu towarzyszyła sympatia i poparcie postępowych i oświeconych kół białego społeczeństwa, źródła „narodowego rozbudzenia” upatrują aktywiści Lewicy wyłącznie w świadomej woli walki czarnych mas. Innymi słowy, przeczą oni temu, by radykalizacja Czarnych była częścią i konsekwencją ogólnego nurtu jaki objął w ostatnim dziesięcioleciu świat intelektualny, studentów, duchowieństwo Ameryki, przy słabym odzwieku warstw średnich, a w szczególności tzw. „klasy robotniczej”. Teza, że ruch czarnej ludności jest nie tylko emancypacyjny w swych celach, ale sam przez się jest zjawiskiem niezależnym, czerpiącym swą siłę z dynamiki rewolucyjnej czarnych mas, jest bardzo mocno podkreślona. Stanowi to dla pewnych ideologów ruchu punkt honoru. Tak to przynajmniej rozumieją i odczuwają czarni działacze „nacjonalistycznej lewicy”.

Jeśli chodzi o pierwszą wymienioną przeze mnie legendę o zapomnianej lub celowo ukrywanej przez białych wspaniałej kulturze Czarnej Rasy, to ma ona być nie tylko uzasadnieniem *ex-post* pozycji już zdobytych, ale racją i historyczną podbudową wzmagającego się szowinizmu, któremu wprowadzie czarna ludność Ameryki nadmiernie się nie poddaje, ale który jest ustawicz-

nie podsycany przez ambitnych murzyńskich polityków w Stanach — w tej liczbie przez przywódców Czarnych Panter.

3. Legendy i rzeczywistość

Położenie Czarnych w Stanach Zjednoczonych różni się całkowicie od sytuacji sprzed lat dziesięciu, z wyjątkiem najwyższej pięciu południowych stanów: Alabamy, Mississippi, Tennessee, Caroliny Płd. i Płn., oraz rozsianych po pozostałych stanach Południa kilkunastu powiatów, gdzie dalej istnieje rasistowska moralność i rasistowskie obyczaje. Mówię o całkowitej zmianie sytuacji, ponieważ w pozostałych 45³ stanach przywrócono Murzynom nie tylko pełnię praw obywatelskich i politycznych, ale w wielu wypadkach uczyniono znacznie więcej. W ramach ułatwienia startu życiowego ludności kolorowej istnieje w szeregu wielkich miast Północy, a zwłaszcza w Nowym Jorku, obowiązek przyjmowania kwot Murzynów na wyższe uczelnie i na rozmaite stanowiska w handlu, finansach, przemyśle i usługach, z taryfą ulgową dla ich osobistych kwalifikacji. Ten awans społeczny, oparty na klasyfikacji etnicznej, przypomina trochę kryteria awansu w PRL. Nawet więcej niż trochę, ponieważ chodzi w ograniczonym zakresie o osiągnięcie zbliżonych celów. W Polsce celem tym była zmiana struktury społecznej warstw oświeconych i rządzących, w których element robotniczo-chłopski był niedostatecznie reprezentowany. W Stanach, polityka promowania Czarnych służy zmianie struktury socjalnej ludności murzyńskiej. Nie wiem jak dalece to ostatnie jest świadomie zaplanowane, faktem jest jednak, że utrzymywanie w systemie kapitalistycznym jednolitej grupy etnicznej, która w całości należy do warstwy gorzej uposażonej, gorzej wykształconej i zajmującej w stratyfikacji społecznej niskie szczeble hierarchiczne, stanowi poważne niebezpieczeństwo. Wszelka socjalno-etniczna identyfikacja jednej grupy, zwłaszcza, jeśli liczy ona 22 miliony ludności, w obecnym systemie kapitalistycznym działać może jak ładunek wybuchowy. Dla tego grupę taką trzeba społecznie rozładować poprzez jej rozwarstwienie i przede wszystkim zaś poprzez sformułowanie w jej masie warstwy średniej, która zawsze jest czynnikiem stabilizującym. Z tego powodu wydaje mi się, że założony cel wintegrowania Murzynów w *establishment* na drodze nadania im odpowiedzialnych funkcji w ekonomice amerykańskiej, proporcjonalnych

3. Nie mam pewności czy problem ludności czarnej istniał kiedykolwiek na Hawajach, natomiast nie było go z pewnością nigdy na Alasce, którą trzeba wyliczyć jako ten stan USA, którego tematyka niniejszego artykułu zupełnie nie dotyczy.

do ich potencjału demograficznego, jest celem rozsądnym z punktu widzenia zachowania istniejącego ustroju. Czy metoda ta okaże się w ostateczności skuteczna — nie wiadomo. Zależy to w dużej mierze od losów obecnej amerykańskiej demokracji kapitalistycznej, zagrożonej wieloma niebezpieczeństwami.

Paradoksem obecnej sytuacji w Stanach jest współistnienie dwóch zjawisk: rasizmu, który tkwi wciąż jeszcze w świadomości sporej liczby nie-kolorowych, stanowiąc niewątpliwie jednak zanikający relikwyt stosowanej „taryfy ulgowej” wobec czarnych i który działa retroaktywnie wobec poważnej liczby białych, wywołując w nich niezadowolenie z polityki protekcyjizmu, a pośrednio i niechęć do czarnych współobywateli. Można oczywiście powątpiewać czy metoda protekcyjizmu da korzyści samym Murzynom, ponieważ sztucznie forsowane awanse społeczne nie przynoszą na dłuższą metę korzyści faworyzowanym, natomiast sądzić należy, że może się ona przyczynić do rozładowania antagonizmów etnicznych, pośrednio więc do wzmocnienia istniejącego ustroju.

Sprawa wspomnianych przeze mnie pseudo-historycznych mitów wiąże się ściśle ze świeżym zapotrzebowaniem w Ameryce na tzw. „Black Studies” czyli programy nauczania w *college*'ach i uniwersytetach historii czarnych ludów, ich walki wyzwolenczej, a przede wszystkim o spadku kulturalnym czarnej rasy⁴. Te „Black Studies” stanowią w istocie najczulszą część pięty achillesowej ręki nacjonalistycznego Czarnych. Gdyby bowiem trudność polegała na braku nauczycieli, rzecz byłaby z czasem do przełamania. Rzeczywisty problem polega jednak nie na tym, kto ma uczyć, ale na tym, czego ma uczyć i czym wypełnić program czarnych studiów. Ze wielka kultura Afryki jest mitem, przyzna z czasem każdy kto pokusi się rozgryźć ten orzech. Natomiast walka wyzwolencza Czarnych w Afryce w XVIII, XIX i początkach XX wieku nie jest legendą. Jest faktem ilustrowanym licznymi powstaniem plemion przeciwko kolonizatorom niemieckim, hiszpańskim, angielskim, arabskim i portugalskim. Ale to jest sprawa dla Afro-Amerykanów o tyle mało ważna, że od okresu rozpowszechnienia niewolnictwa w Ameryce aż do roku 1865 minęło około 150 lat, zaś przedstawiciele afro-amerykańskiej „Nacjonalistycznej Lewicy” chcieliby przede wszystkim ukazać opór i walkę powstańczą czarnych niewolników Ameryki. Tymczasem niezagojoną blizną na honorze narodowym Afro-Amerykanów jest

4. Kilku Afrykanistów, głównie angielskich, należy do tej kategorii historyków, do których idea pra-kultury afrykańskiej przemówiła tak mocno, że właściwie przyjęli ją na podstawie tak słabych materialnych dowodów, że porównanie z Atlantydą uważam za zupełnie uzasadnione. Należy do nich m.in. najpopularniejszy w Polsce, Basil Davidson, którego książka „Stara Afryka na nowo odkryta” ukazała się w przekładzie polskim w roku 1961.

to, że poza słynną, choć krótkotrwałą rebelią Nata Turnera z lat trzydziestych XIX wieku, powstań takich nie było⁵. Owszem, była druga próba rebelii, niemniej słynna i jeszcze krótsza od turnerowskiej epepei. Niestety, jej inspiratorem i organizatorem był biały abolicjonista, John Brown, który wraz ze swymi synami zapłacił za nią głowę, zaś wojna secesyjna, w czasie której w szeregach armii Północy znaleźli się wprawdzie czarni żołnierze, była znów imprezą inspirowaną przez białych — przeciwko innym białym i doprowadzoną przez nich do końca.

Jest niezmiernie trudno utrzymać jednocześnie mit o heroizmie Afro-Amerykanów i wytłumaczyć dzieje stu pięćdziesięciu lat niewolnictwa do czasów Lincolna. W ciągu tego okresu, podczas gdy kilka milionów czarnych niewolników zносиło niemal bez oporu swój los, Indianie amerykańscy, których nigdy nie udało się uczynić niewolnikami, toczyli z napływającymi białymi osadnikami, a później z Aribą Stanów Zjednoczonych ustawicznie wojny, które w praktyce doprowadziły do ich prawie całkowitej eksterminacji. Czyż można się wobec tego dziwić, że wszystkie te bolesne sprawy zaogniają do białości istniejące kompleksy, że sycą poczucie doznanych krzywd do granic absurdałnej nienawiści przeciwko potomkom (i nie potomkom) białych przesładowców? Żaden zniewolony w przeszłości naród nie przyjmuje swej historii taką jaką ona jest. Musi tworzyć legendy.

Jedną z najtrudniejszych spraw w stosunkach międzyludzkich, która powraca regularnie do historii — to kwestia szkód zadanych jednemu narodowi przez drugi. Wiadomo powszechnie, że są szkody, które można w historii naprawić, a są i takie, które są nie do wyrównania. Antagonizm wobec białych ma u niektórych czarnych ekstremistów dwa źródła: jedno — to nieukrywane poczucie krzywdy, wynikające z niewolniczej eksploatacji czarnej rasy co najmniej przez półtora wieku i utrzymywanie jej dyskryminacji społecznej przez następne 100 lat. Drugie — które narzmięwa do rozmiarów niebezpiecznego kompleksu — jest wynikiem świadomości tego, że Afro-Amerykanie byli właściwie bierną ofiarą prześladowań. Obecnie muszą to nadrobić. Nie mając w historii czegoś na kształt Termopilów lub tego, co byłoby ważnym wkładem do ogólnoludzkiej kultury, tym bardziej płoną ambicją ukazania świata czym byli i czym potrafią być. I to jest źródło wzrostu szowinizmu rasowego, który z czasem wyzwolić może nieobliczalną w skutkach reakcję. Dlatego w interesie nie tylko Stanów, ale jej czarnej ludności Ameryki leży nałożenie pęt szowinizmowi. Niestety, jest to dokładnie to, czego biała Nowa

5. Powstania czarnych niewolników, które wybuchały sporadycznie w wieku XVIII i XIX miały miejsce w Indiach Zachodnich i w Ameryce Południowej, nie należą one zatem do spuścizny Afro-Amerykanów.

Lewica nie czyni i czemu dziwić się nie należy, uwzględniając fakt, że celem jej jest rozbicie obecnego systemu zarówno kosztem Białych jak i kosztem Czarnych. Skądinąd dziwić się jednak należy, że niebezpieczeństw związanych z tak zwanym „rozbudzeniem się Czarnej Rasy” nie rozumieją jej liberalni i oświeceni przyjaciele, do których przedstawiciele Nowej Lewicy żadną miarą zaliczyć nie można.

Kompleksowi niższości Afro-Amerykanów, manifestującemu się zjawiskami, które po krótkce scharakteryzowałem, towarzyszy po przeciwnej stronie inny kompleks: zadanej krzywdy, którą spadkobiercy dawnych białych Panów (jak również i ci, których amerykańska genealogia jest tak świeża, że nie mogą się za tych spadkobierców uważać), chcą za wszelką cenę wyrównać. Polega to na pobłażaniu lub wręcz schlebaniu czarnemu szowinizmowi, co w rezultacie komplikuje jeszcze bardziej międzyrasowe stosunki. Ogólnie mówiąc, są biali, którzy albo tłumią w sobie rosnący w formie powrotnej reakcji rasizm (w tym wypadku są to przeważnie ludzie prości i niewykształceni lub starzy, pamiętający „inne dobre czasy”) albo, jeśli są intelektualistami, to uważają często, że tak trzeba; że wszystko to jest w ramach rehabilitacji za zadane czarnej rasie wiekowe krzywdy i że krytyka czarnego szowinizmu i całej jego nadbudowy bzdur byłaby kryptorasizmem, niegodnym człowieka postępowego. To ostatnie stanowisko wynika z milcząco przyjmowanego prawa, w którym się uznaje, że „rewolucyjne” kłamstwo jest zawsze lepsze od „reakcyjnej” prawdy. Ten utylitarny stosunek do prawdy otwiera również nieograniczone możliwości dla wszelkiego typu spryciarzy, szukających na fali kokietowania czarnej ludności Stanów Zjednoczonych łatwych karier politycznych. Tezy o utylitarnej wartości prawdy nikt wprawdzie z polityków nie głosi. Zasadę tę, jak wiadomo, tylko się stosuje. W oparciu o tę zasadę rozciąga się między innymi banicję na krytykę wszystkiego tego czego podejmują się tzw. „postępowe” organizacje czarnych. Stopniowo czarny człowiek, z tej racji, że w ciągu wieków był ofiarą ucisku, stał się w pewnych środowiskach, w wyniku najzupełniej patologicznej reakcji, przedmiotem adoracji. Przypomina to nieco kult małorolnego uprawiany przez sfery partyjno-dziennikarskie w Polsce w latach pięćdziesiątych, uwieczniony w opowiadaniu „Peer Gynt” ze zbioru „Słoń” Mrożka. Oczywiście wszystko to może skończyć się bardzo źle, tak jak każde banicję na głoszenie rzekomo społecznie szkodliwych prawd, bez względu na to czy forsowane są administracyjnie czy też moralnym terrorem intelektualnej elity.

Drugim mitem, który z kolei należy omówić, jest teza, że ruch emancypacyjny czarnych, któremu rewolucyjny kształt nadała ostatnio Partia Czarnych Panter, był wyłączną inicjatywą i zasługą Murzynów. Sympatia i poparcie kół liberalnych, w przekonaniu tych polityków, nie miały tu w istocie żadnego znaczenia. To zaś, co zdołał uczynić Rząd Federalny, nieraz wbrew rasistowsko usposobionej białej ludności Południa — było uczynione pod przymusem i groźbą rewolty czarnych mas. Twierdzenie to jest oczywistym fałszem. Nie jest bowiem prawdą, że to czarni wywalczyli zrównanie swych praw samodzielnie. Walczyli — to fakt, ale nie wywalczyliby niczego, gdyby nie to, że Stany Zjednoczone stały się w szóstej dekadzie naszego stulecia widownią potężnego ruchu radykalno-społecznego, który wyrósł z negacji systemu kapitalistycznego, po rewolucji cybernetycznej, która doprowadziła rozwój cywilizacji do punktu krytycznego. Fala ta musiała przynieść szybki kres rasizmowi. Nasuwa to z kolei znów pewną analogię z wojną secesyjną i jej implikacjami ekonomiczno-społecznymi. Zmiany podstawowych zasad ówczesnej moralności, jeśli chodzi o ocenę instytucji niewolnictwa, pozostawały w widocznym związku z szybkim rozwojem kapitalizmu i potrzebą wolnej pracy najmniejszej.

4. Mity i rewolucyjna strategia Czarnej Lewicy w USA

Ośrodki rewolucyjne w początkach lat sześćdziesiątych powstały początkowo głównie wśród młodzieży niekolorowej. Promieniując swoją antykapitalistyczną ideologią na inne kręgi społeczeństwa, starały się one uczynić z ludności kolorowej, najbardziej upośledzonej warstwy etnicznej w kapitalizmie, główną siłę napędową. Siła ta była tym bardziej nowemu pokoleniu rewolucjonistów potrzebna, że brak im było rzeczywistego masowego poparcia wśród białych. Właśnie jednak dlatego, że brak było tych elementów napędowych wśród ludności niekolorowej, czarni przywódcy doskonale pojęli atuty, które znalazły się w ich rękach. Nie godząc się na wyznaczoną im rolę sojusznika, sami przejęli inicjatywę „awangardy”. Odwrotnie — biała Lewica, a ściślej biorąc, biali studenci i intelektualiści musieli zgodzić się z rolą sprzymierzeńca, do których, nawiasem mówiąc, czarni aktywiści nie mają nadmiernego zaufania z uwagi na ich związki genealogiczno-rasowe z białym *establishment*. Z punktu widzenia strategii rewolucyjnej nie było w tym nic nieprawidłowego, ponieważ ludność kolorowa, tzn. Murzyni z dodatkiem Porto Rican w New Yorku i Meksykanów na Zachodnim Wybrzeżu, stanowią w istocie główny rezerwuwar społecznego niezadowolenia, mo-

gący zasilić rebelię. Do tego dochodzi jeszcze i to, że obecny ruch antykapitalistyczny jako wybitnie „odteoretyzowany” jest rzemieślniczym uprawianym ze znacznie większą umiejętnością i rutyną przez czarnych przywódców — ludzi o bardzo skromnym wykształceniu niż przez ich białych sojuszników — inteligentów, u których nadmiar refleksji działa nieraz na dynamikę rewolucyjną hamująco. Tych przeszkód większość czarnych aktywistów z Lewicy nie zna z tego względu, że czarni intelektualiści — których kadra w Ameryce jest zresztą bardzo liczna i którzy reprezentują nieraz wysoki poziom kwalifikacji naukowych — będąc wprawdzie z oczywistych powodów rzecznikami całkowitej emancypacji Murzynów, są znacznie mniej podatni na hasła ekstremizmu niż ich biali koledzy. Na ogół trzymają się oni z daleka od grup militanckich. Psychologicznie jest to zrozumiałe. Ich współplemieńcy nie są dla nich „nietykalni”. Poza tym nie czują się „moralnie zobowiązani” do kultywowania hasła narodowo-wyzwoleńczego. W każdym razie nie w tym stopniu co biali intelektualiści, którzy przejęli na swe barki masę moralnej upadłości za krzywdy zadane czarnej rasie przez białą Amerykę. Ci ostatni na równi z wieloma ludźmi o misjonarskich aspiracjach, których w Ameryce są tysiące, nie rozumieją, że stare krzywdy należy usuwać, ale nie można za nie wypłacać premii. Że reguły historii są inne niż te, które obowiązują w sądach. Gdyby miało być inaczej; gdyby dokonywanie obrachunków między narodami za popełnione w przeszłości szkody i krzywdy miało stać się normą, nie byłoby wolnych od odpowiedzialności, a cały świat musiałby się zamienić albo w jeden wielki lombard, albo ogłosić ostateczną upadłość.

Przywódców „Czarnych Panter” zgodnie z ich światopoglądem i zadaniami, które sobie postawili, nie obchodzą te wszystkie historyczne niuansy. Są ludźmi praktycznymi, a w propagandzie kompletnie pozbawionymi skrupułów. Wywodzą się z ruchu „Black Power”, który zrodził się w pierwszych latach sześćdziesiątych, a którego celem było przezwycięzenie kompleksu niższości Czarnej Rasy i uświadomienie jej własnej roli i potęgi. „Czarne Pantery” jako partia polityczna zorganizowały się później. Ich programowe założenia uległy zresztą w ciągu ostatnich dwóch lat dość wyraźnym zmianom. Pierwotnie — zanim „Partia Panter” sformułowała ostatecznie swe zadania — ludzie, którzy należą do jej „politycznego aktywizmu” propagowali stworzenie niezależnego państwa Czarnych, zorganizowanego z 5 stanów południowych. Program ten pod nazwą „New Africa” przedstawiono w formie noty, złożonej w Departamencie Stanu przez przyszłych członków rządu „Nowej Afryki”. Poza secesją 5 stanów, które miały być siedzibą narodową czarnej ludności, zażądano odszkodowania w

wysokości 400 miliardów dolarów (sumę tę zredukowano później do połowy) oraz osobistego odszkodowania dla każdego obywatela nowej republiki w wysokości 10 tysięcy dolarów. Oczywiście cały majątek nieruchomości tej części stanów, bez względu na to czy należał do osób prywatnych, rządu federalnego czy stanowego, miał zmienić właściciela bez odszkodowania. Ścisłe biorąc jeśli ktoś miał płacić odszkodowanie, to nie „New Africa”. Chociaż do stworzenia państwa „Nowej Afryki” na terytorium Stanów Zjednoczonych było jeszcze daleko, członkowie nowego gabinetu, którzy skwapliwie porozdzielali sobie teki ministerialne i dygnitarskie tytuły, opracowali ogólne dyrektywy rządów. W prasie i w publikacjach obowiązywać miała ścisła cenzura, wzorowana na praktyce państwa sowieckiego. Jeden zaś z ministrów w wywiadzie udzielonym tygodnikowi *Esquire* z marca 1969 r. podkreślił ogólne zasady polityki emigracyjnej, w której nie wykluczono możliwości wpuszczenia białych w granice nowego państwa, ale zamierzano obwarować to bardzo surowymi restrykcjami⁶.

6. Równoległe z planami stworzenia Wolnego Państwa Czarnych na terytorium Stanów Zjednoczonych istniało wśród czarnych polityków często podkreślane poczucie więzi z ludami afrykańskimi, z których ostatecznie wszyscy Afro-Amerykanie się wywodzą. Próby jednak wzajemnych zbliżeń napotykały na liczne trudności z obydwo stron. Już w momencie powstawania pierwszych niepodległych państw Czarnego Łądu, prezydent Gwinei, Secou Touré, uchodzący za jednego z najbardziej zajadłych szermierzy anty-imperializmu i antyrasizmu, wyraził żal, że „pierwszym ambasadorem Stanów Zjednoczonych, wysłanym do jego kraju, jest 'potomek niewolników'”. Zdanie jego zacytował późniejszy ambasador Ameryki w tym państwie, Atwood. W czasie wizyty w Stanach Zjednoczonych, na krótko przed swą śmiercią, minister planowania Kenii, Tom Mboya, oświadczył, że: „To co łączy czarną ludność krajów Afryki z naszymi amerykańskimi kuzynami — to jedynie kolor skóry”. Skądinąd zdenerwował on bardzo Czarną Lewicę, wyrażając wątpliwość czy obwieszanie się naszyjnikami z zębów lwa oraz przywdziewanie garderoby, mającej imitować odzież afrykańskich farmerów, może przyspieszyć postęp czarnej rasy. Tom Mboya ze swą trzeźwością i realizmem był absolutnie nie do strawienia dla czarnych ekstremistów. Z kolei i ci — byli uciążliwymi gośćmi dla niektórych rządów afrykańskich. Jeden z nich, Stokely Carmichael, honorowy premier Partii Czarnych Panter, który około dwóch lat temu zerwał z nimi, uważając, że jakakolwiek współpraca z białymi doprowadza w rezultacie do penetracji, a wreszcie do objęcia przywództwa ruchu przez białych, odbywał w roku 1968 jako wystawnik „Black Power” liczne podróże po krajach Afryki Wschodniej. Trzeba przyznać, że obawa przed penetracją ruchu wyzwolenczego Czarnych wynikała u Carmichaela bynajmniej nie z uprzedzeń rasowych, ale z opartego na pewnych osobistych doświadczeniach kontaktu z organizacjami wyzwolenческими Afryki. W czasie swej wizyty w stolicy Tanzanii, Dar es Salaam, S. Carmichael został zaproszony jako gość honorowy na Seminarium Rewolucyjne, zorganizowane przez tamtejsze Stowarzyszenie Studentów Afrykańskich. W seminarium brali udział przedstawiciele rozmaitych organizacji podziemnych, walczących o wyzwolenie Mozambiku, Płd. Rodezji i Afryki Południowej. Gdy w czasie występu kolejnych delegatów okazało się, że jedna z najważniejszych organizacji wyzwolenczych, walczących z *Apartheidem* rządu

Trudno oczywiście ocenić postulat stworzenia państwa murzyńskiego w kategoriach etycznych. Być może, że dla zadośćuczynienia postulatowi historycznej sprawiedliwości był on słuszny. To, że realizacja tych postulatów była całkowicie nierealna, musieli zapewne uznać sami czarni przywódcy, skoro program ten poza żądaniami odszkodowania poszedł właściwie w zapomnienie. Celem politycznym „Czarnych Panter”, przynajmniej jeśli chodzi o obecny etap, jest obalenie kapitalistycznego *establishment*. Oczywiście osiągnięcie tego celu też nie wygląda realnie, z czego co trzeźwiejsi przywódcy mogą sobie zdawać sprawę, niemniej *realniejszą jest sama walka* skoro poważny (nie liczebnie) odłam społeczeństwa amerykańskiego jest w nią zaangażowany. Inaczej natomiast przedstawiałaby się sprawa urzeczywistnienia dawnego programu — stworzenia „Nowej Afryki”. Cała inicjatywa musiała w praktyce ograniczyć się tylko do złożenia noty i ogłoszenia tego wydarzenia w prasie. Wszczęcie jakiegokolwiek dalszej akcji przez grupy militancko separatystyczne nie mogło w ogóle wchodzić w rachubę. Dla tego celu nie można by znaleźć żadnego poparcia ani wśród czarnych mas ani liczyć na białych sojuszników. Idea Nowej Afryki na terytorium Stanów z propozycją odszkodowania za przepracowane roboczo-dniówki w okresie 200 lat niewolnictwa pomyślana była tak infantylnie, że przekraczała granice tolerancji nawet najbardziej antyamerykańsko usposobionych profesorów *college'ów* i uniwersytetów. Natomiast skierowanie przez Pantery nurtu walki na tory rewolucji antykapitalis-

Republiki Płd. Afrykańskiej, nie była w stanie wysłać czarnego delegata ale przysłała białego o nazwisku Korman, Carmichael, nie licząc się z bardziej pokojowo usposobionymi gospodarzami konferencji, nie dopuścił delegata do głosu, nie szczędząc mu słów nagany za to, że znalazł się w szeregach ruchu wyzwolenczego Czarnych. Gospodarze, którym zupełnie obca była agresywność Afro-Amerykanów, spoglądali z pewnym osłupieniem na swego burzliwego gościa. Niewątpliwie nasuwała się tu pewna paradoksalna sytuacja, w której biali zarówno „zniewalają jak i wyzwalają”. Z drugiej strony, nie da się zaprzeczyć, że w umysłach Afrykanów krajów niepodległych ponukuje pewnego rodzaju nawyk o patriarchalnej roli białych — którzy rządzą i decydują: stwarzają znieawidzone systemy niewoli, a potem je burzą. Czy nawyk ten w istocie tkwi jedynie wśród pogodnie usposobionych Murzynów Czarnej Afryki? Głównym celem — powiedział im Stokely Carmichael — jest przełamanie „kompleksu niższości” czarnej rasy. Należy jednak przypuszczać, że ofiarą tego „kompleksu” padł sam Stokely Carmichael, skoro podtrzymuje dalej twierdzenie, że udział białych w jakiegokolwiek organizacji Czarnych kończy się opanowaniem przez nich organów kierowanych. Zarzut ten skierowany pod adresem Czarnych Panter nie był zresztą prawdą. Pantery, które zadeklarowały wierność dla leninizmu-maoizmu, niczego w swej strategii nie zmieniły. W jej szeregach nie było białych Amerykanów — którzy jako sympatycy trzymani byli w należyтым dystansie. Jeśli Partia przeżywa obecnie kryzys, który doprowadzi ją do upadku, nie będzie to zapewne wynikiem nieprzestrzegania izolacjonizmu wobec białych, ale tego, że mimo bardzo surowo stosowania tej zasady jest ofiarą zanikającej fali rewolucyjnej.

tycznej gwarantowało dwie rzeczy: 1) zachowanie w niej poważnej roli przywódców Czarnej Lewicy, 2) poparcie liczebnie niewielkich, ale wpływowych środowisk białego społeczeństwa, które okazują obecnie wciąż jeszcze dużą dynamikę i aktywność mimo coraz wyraźniej dającej się ostatnio zaobserwować recesji rewolucyjnych nastrojów.

Za zaakceptowaniem nowego antykapitalistycznego oblicza Partii Panter przemawiał jeszcze jeden ważny motyw. Sprawa starych krzywd i dyskryminacji, której obiektem była przez długi wieki czarna społeczność Ameryki, nie byłaby może tak ważną dla perspektyw Murzynów w Ameryce, gdyby nie wchodził tu w rachubę bardzo istotny czynnik, który kładzie się cieniem na teraźniejszości i przyszłości czarnej ludności w amerykańskim systemie kapitalistycznej demokracji. Gdyby czarni obywatele Stanów posiadali przedsiębiorczość, pracowitość dyskryminowanych również przez wiele lat przedstawicieli żółtej rasy; gdyby potrafili tak szybko jak oni zdobywać awans niemal we wszystkich dziedzinach a przynajmniej finansowej, handlowej i naukowej, dawno by o wszystkich krzywdach zapomnieli, bo nic tak nie ułatwia niepamięci jak aktualnie osiągnięty sukces. Ale każdy przecie wie, że tak nie jest. Kapitalizm amerykański z jego prawem *równej szansy* dla każdego, gwarantuje w istocie *faktyczną nierówność*. Ofiarą dyskryminacji ekonomicznej może wprawdzie paść tu każdy bez różnicy koloru skóry, wyznania i narodowości, byłoby jednak lekceważeniem realiów pomijanie czynnika etnicznego w strukturze narodowościowo-rasowej rozmaitych warstw socjalnych Ameryki. Protekcyjizm pewnych grup narodowościowych zalecany przez rząd federalny, nie może tu, niestety, niczego w sposób gruntowny zmienić, bo genealogia całego problemu przekracza granice ingerencji nawet najbardziej rozsądnych polityków, pragnących za wszelką cenę scalić amerykańskie społeczeństwo. Niektórym aspektom protekcyjizmu są przeciwne również i „Pantery” z odmiennych zresztą powodów. Zdają sobie bowiem sprawę, że tego typu polityka, inicjowana przez władze federalne i niektóre stany, zmierza do rozbicia więzów solidarności rasowej Czarnych. Poczucie tej więzi wciąż jeszcze bardzo silne, może w efekcie społecznych procesów rozwarstwiających osłabnąć, co oczywiście podcięłoby w sposób definitywny korzenie ruchu militanckiego.

Nie jest rzeczą przypadkową, że o ile w południowych stanach przeważał i dalej przeważa pokojowy ruch emancypacyjny Murzynów, który osiągnął swe apogeum na krótko przed zabójstwem dr. Lutra Kinga, o tyle na Północy rozwinęły się organizacje ekstremistyczne, których czołówką (mimo skromnej liczby) są „Pantery”. Wynikało to z dwóch zasadniczo odmiennych właś-

ciwości położenia Murzynów na Północy i Południu. Na Południu kolorowa ludność była w nieporównanie większym stopniu prześladowana i pozbawiona praw politycznych i obywatelskich. Na Północy czarny mieszkaniec był wprawdzie również obiektem dyskryminacji i ograniczeń, niemniej sytuacja jego była znacznie lepsza od Południowca. Mógł poza tym chodzić do zintegrowanych szkół, zaś ostatnie lata zakończyły właściwie na Północy proces pełnouprawnienia. Dlaczegoż więc radykalizm zakwitł tam gdzie położenie kolorowych było lepsze, a nie tam, gdzie dyskryminacja była głębsza i bardziej ugruntowana niepisanim prawem i obyczajem? Po prostu dlatego, że walka ludności na Południu była i wciąż jeszcze jest na *etapie zdobywania pełni praw w ramach istniejącego* amerykańskiego ustroju. Inaczej na Północy. Gdy ostatnie lata sfinalizowały tam mozolnie przebiegający proces pełnouprawnienia czarnych obywateli Stanów, okazała się wówczas jedna prosta sprawa: że zrównanie w prawach obywatelskich i politycznych nie oznacza ani zrównania ekonomicznego ani socjalnego. Wynika to z prostej prawdy, że nawet najbardziej demokratyczny kapitalizm nie jest w stanie zrównać nikogo ani indywidualnie ani grupowo. Ale ta właśnie smutna prawda podziałała na pewną część Czarnych jako zapłon buntu przeciwko kapitalistycznemu *establishment*. Skoro bowiem czarny człowiek, od wieków krzywdzony i poniżany, nawet po przywróceniu mu pełni praw obywatelskich, nie osiąga wymarzonego eldorada, które było udziałem wielu białych, oznacza to, że kapitalizm amerykański obciążony jest grzechem pierworodnym nieusuwalnej krzywdy czarnego ludu i że ten współczesny Babilon⁷ należy zniszczyć.

To, że rozmaici „inni biali”, jeśli stosować tu klasyfikacje etniczne, jak np. emigranci, pochodzący z Europy Wschodniej, też tego eldorada nie osiągnęli, nie może kojąco wpływać na stan ducha czarnej ludności. Polacy, podobnie jak inne grupy słowiańskie, nie mogące się poszczycić w Stanach większymi sukcesami ekonomicznymi czy społecznymi, nie byli w Ameryce nigdy niewolnikami i nie padali ofiarami dyskryminacji rasowej. Polacy zachowują się wobec amerykańskiego *establishment* afirmująco i pozytywnie. Za własne skromne osiągnięcia nie winią kapitalizmu. Co najwyżej za sukcesy ekonomiczne innych narodowości nie lubią Żydów, Niemców, Włochów czy Irlandczyków. Oczywiście trudno, żeby w podobny sposób reagowali czarni obywatele Ameryki, którzy pełnię praw obywatelskich zdobyli ostatnio, których psychika nie ma nic wspólnego z usposobieniem chłopków-ciułaczy; którzy nie przyjechali do Ameryki się dorabiać, bo przecież

7. Tą biblijną nazwą w zastosowaniu do Stanów Zjednoczonych posługują się „Pantery”. Identycznego określenia użyli ponad 100 lat temu abolicjoniści w stosunku do niewolniczego Południa.

nie byli w Ameryce emigrantami tylko najpierw niewolnikami, a później celowo spychanymi na ostatnie szczeble drabiny społecznej pariasami. Tego, że wystawianie rachunków za krzywdy ich lub ich pradziadków nie ma sensu — nie chcą uznać. Że są tacy, a nie inni, jest to sprawa złożona i przekraczająca rozmiaru niniejszego tematu. Ale na tym właśnie bazują Pantery. Ludność gett, której pewien procent nie pracuje nie z przyczyny bezrobocia, ale dlatego, że bez pracy otrzymuje najzupełnie wystarczającą pomoc społeczną⁸, ma być dla Panter rezerwuarem sił rewolucyjnych.

Pantery wypowiedziały więc kapitalizmowi wojnę. Czy jednak kapitalizmowi jako systemowi w ogóle czy też temu, który stworzony został przez białych, w którym biali dominują i w którym zasady wolnej konkurencji utrzymują czarną ludność w roli społecznych „kopciuszków”?

Pytanie brzmi z pozoru teoretycznie, ponieważ jedynym kapitalizmem w Ameryce jest właśnie ten, który jest dziełem białych. Niemniej antykapitalistyczny program „Panter”, po zapoznaniu się z jego treścią, może budzić podejrzenie i bezstronnemu czytelnikowi nie bez racji nasunie się pytanie: o co w nim naprawdę chodzi?

Już bowiem pobieżny przegląd celów politycznych Panter, jeśli się uwzględni cały tenor propagandy Partii, wskazuje wyraźnie na to, że główne hasło: obalenie kapitalizmu jest nie tyle środkiem do narodowego i społecznego wyzwolenia czarnej rasy, ale zwykłą fasadą, za którą kryje się czarny nacjonalizm. Oficjalnie, w swoich deklaracjach, składanych między innymi przez „Ministra Informacji”, Eldridge Cleavera (który popadł ostatnio w zatarg z „Ministrem Obrony i Dowódcą Sił Zbrojnych” — Newtonem), Pantery głoszą solidarność biednych ludzi wszystkich ras. Ale to są tzw. deklaracje oficjalne, a nie dokumenty propagandowe, przeznaczone na codzienny użytek. Partia Czarnych Panter nie

8. W stanie New York około 1,8 miliona mieszkańców korzysta z pomocy społecznej. Warunkiem jej uzyskania jest roczny dochód poniżej 4.000 dolarów rocznie dla 4-osobowej rodziny. Ogólna kwota pomocy społecznej z wyłączeniem emerytur, które obciążają fundusze federalne, wyniosła w roku 1970 — 3,3 miliarda dolarów. Uzyskanie tej pomocy, przy utrudnionym systemie kontroli (brak ewidencji ludności), nie nastęrcza większych przeszkód. Choć z pomocy tej korzystają w liczbach bezwzględnych w skali ogólno-amerykańskiej prawie w takiej samej liczbie biali jak i kolorowi, procentowy podział funduszu pomocy społecznej obciąża przede wszystkim czarnych obywateli Stanów i przybyszów z Porto Rico. Jeśli chodzi o te dwie ostatnie grupy, to bywają wypadki, że wielu z nich nie stara się w ogóle o zdobycie pracy. Obecnie w Stanach Zjednoczonych wchodzi nie do produkcji, ale do *welfare*, nowe dorastające pokolenie z rodziców, którzy nigdzie i nigdy nie pracowali. Oczywiście stan New York, a w szczególności samo miasto, jest szczególnie skrajnym przykładem całkowicie nienormalnej sytuacji zalegalizowania próżniactwa i hodowli lumpenproletariatu okresu przekwitania kapitalizmu.

wydała teoretyków ruchu i pewno ich już nie wyda. Ideologia zatrzymała się na szczeblu katechizmowym, które najlepiej ilustrują dwie deklaracje partyjne drukowane prawie co tydzień w organie prasowym „Czarne Pantery”. Pierwszym z tych dokumentów jest 26 przykazań dla członków organizacji. Przykazania te, które zawierają skądinąd pozytywne przestrogi na temat unikania narkotyków i alkoholu (tego ostatniego w czasie pełnienia funkcji partyjnej) w pkt. 8 głoszą: „Nie wolno członkowi Partii dopuszczać się zbrodni w stosunku do innego członka Partii, ani w ogóle wobec jakiegokolwiek przedstawiciela Czarnej rasy. Nie wolno również okradać ludu ani zabierać mu najdrobniejszej rzeczy”.

Zakaz kradzieży rozciąga się na „lud”, natomiast, gdy mowa jest o dopuszczaniu się zbrodni, pod ochroną katechizmu partyjnego znaleźli się tylko Czarni, z wyłączeniem nawet innych grup ludności kolorowej. Platforma Partii z roku 1966 pod nazwą „Czego chcemy i w co wierzymy” w postaci 10 punktów jest również nadal głoszona i publikowana. Pozostaje więc w dalszym ciągu obowiązującą platformą.

Dla dalszego udokumentowania powyższej tezy zacytuję niektóre punkty programu pt.: „Czego chcemy i w co wierzymy”. Pkt. 2: Domagamy się pełnego zatrudnienia dla naszej ludności (kontekst nie pozostawia wątpliwości, że chodzi o ludność czarną). Pkt. 3: Żądamy, aby kapitaliści zaprzestali rabunku czarnej ludności. Pkt. 6: Żądamy, aby czarni zwolnieni byli od służby wojskowej. Pkt. 7: Domagamy się położenia kresu brutalności policji i morderstw dokonywanych na czarnej ludności. Pkt. 8: Domagamy się zwolnienia wszystkich czarnych więźniów.

Implikacje platformy Panter nie pozostawiają złudzeń. Gdyby Partia Panter uważała, że ofiarami kapitalizmu — prześladowań politycznych, eksploatacji i niesprawiedliwości są *tylko* Czarni, sprawa byłaby prosta. W tym wypadku obiektem wyzwolenia mogliby być tylko Czarni. Tak jednak nie jest, ponieważ, zgodnie z zasadami „leninizmu-maoizmu” — wyznawanymi a w każdym razie głoszonymi przez „Pantery” — kapitalizm, będący w szczególności klęską i nieszczęściem dla kolorowego proletariatu, jest poza tym narzędziem wyzysku i poniżenia dla całego amerykańskiego ludu. Obok czarnego robotnika, wyzyskiwany i spychany na dno nędzy jest jego biały towarzysz. To są prawdy oficjalnie wyznawane, ale w codziennej działalności „Panter” ani nie głoszone, ani tym mniej praktykowane. Jeśli biały robotnik sprzeciwia się przyjęciu do swego związku zawodowego Czarnego, i jeśli nie chce z nim wspólnie demonstrować, słusznie uznaje się go za rasistę. Gdy jednak przed więzieniem, w którym znalazła się Angela Davis, biali studenci próbowali wspólnie demonstrować

z Czarnymi, sprzeciwili się temu ci ostatni. W bursach studenckich, które na Północy są od dawna zintegrowane, w których mieszka młodzież lewicowa, wyznająca szczytne zasady solidarności międzynarodowej i równości wszystkich ludzi bez względu na kolor skóry i wyznania, nie do pomyslenia byłaby jakkolwiek forma dyskryminacji Czarnych. Ale w takich właśnie bursach — przykładowo podaję New York University — w hallu domu akademickiego dość często ukazują się ogłoszenia o wieczorach towarzyskich z krótką wzmianką: „Tylko dla Czarnych”. Oczywiście nie ma powodu oburzać się bardziej z powodu manifestowania rasizmu przez Czarnych niż w wypadku, gdy czynią to Biali. Byłaby to również jakaś dyskryminacja. Rzecz jednak polega na tym, że w opisanym wypadku nikt publicznie nie odważy się piętnować dyskryminacji białych studentów jako rasizmu. W każdym razie nie uczyniło tego kierownictwo „Panter”. Sam przykład pozornie błąd jest w istocie symptomatyczny. Świadczy o tym, że organizacje czarnej lewicy mydlą oczy opinii — a zwłaszcza liberalnej inteligencji amerykańskiej — przy pomocy hasła solidarności międzynarodowej i międzyrasowej. Tendencje resegregacyjne wśród ekstremistycznie zaangażowanych Czarnych rosną zresztą z każdym rokiem. W integrowanych uczelniach manifestują się one nie żądaniem ponownego rozdzielania szkół i *college'ów*, ale po prostu usunięcia białych pedagogów. W organizacjach, stowarzyszeniach, instytucjach publicznych, a nawet w szpitalach, gdzie stosunkowo od niedawna zaczęli pracować przedstawiciele obydwu ras na zasadach równego startu, czarne środowiska radykalnie domagają się obecnie wyeliminowania z kierowniczych i bardziej odpowiedzialnych stanowisk białych. Postulaty te wysuwane i forsowane coraz częściej, wynikają prawdopodobnie z niezadeklarowanego oficjalnie przekonania, że przy równym współzawodnictwie przedstawiciele ludności kolorowej nie mają szans awansu. Jest to w istocie pogląd, któremu hołdowały „Pantery” we wczesnej fazie swego ruchu, zanim przeszły oficjalnie na platformę leninizmu-maoizmu. Celem tych żądań jest resegregacja i usunięcie białych ze wspólnot mieszanych, które kiedyś były wyłączną domeną ludności niekolorowej. Nie podaję tych postulatów moralnej ocenie. Nie próbuję ich klasyfikować wedle kryteriów etnicznych. Stanowią one natomiast ilustrację mojej tezy o szowinistycznych tendencjach tzw. Czarnej Lewicy.

Ruch Czarnych Panter z oficjalnie głoszonymi zasadami antyrasistowskimi i antyszowinistycznymi, przy jednoczesnym stosowaniu praktyki, urągającej tym zasadom na co dzień, nie należy zresztą obecnie do wyjątków. To, co wyróżnia go od praktyki partii komunistycznych u władzy (z wyjątkiem kubańskiej) — to fakt, że szowinizm, który stał się późniejszym etapem degeneracji

komunizmu, zrodził się niemal u kolebki czarnego ekstremizmu, legitymującego się leninizmem. Dochodzi do tego jeszcze jedna właściwość nieznana w dziejach walki rewolucyjnej zamierzczłych epok XIX i pierwszej połowy XX stulecia.

Dawne tradycje walki klasowo-społecznej czy narodowo-wyzwoleńczej bez względu na firmę, prowadziły zawsze zróżnicowanie przestępstw tzw. pospolitych i politycznych. Ponieważ głównym momentem odróżniającym była motywacja ich przestępstwa, klasyfikacja ta była nie trudna z tym, że na peryferiach każdego ruchu politycznego, zwłaszcza w jego fazie rewolucyjnej, pospolita zbrodnia była zjawiskiem częstym.

Ponieważ cele rewolucyjne „Panter” odbiegają od „tradycyjnych” wzorów, podział między przestępstwem pospolitym a politycznym wyraźnie się zaciera. Odzwierciedla to cytowany pkt. 8 „26 przykazań Panter”, który, zakazując członkom Partii dopuszczania się zbrodni wobec Czarnych, *eo ipso* nie zabrania popełniania ich w stosunku do osób innej rasy. Cała właściwie praktyka „Panter” potwierdza tę zasadę. Nie należy się z tego powodu nadmierne oburzać. Wynika to logicznie z reguły totalitarnej walki jaką „Pantery” wypowiedziały białemu kapitalistycznemu *establishment*. Uważają, że członka czarnej wspólnoty nie obowiązują żadne rygory nie tylko w stosunku do strażników porządku, których po prostu zalecają zabijać. Twierdzą ponadto, że prawo samoobrony zezwala na wszystko co osłabia spoistość systemu, narusza jego porządek i bezpieczeństwo. Przy tym założeniu każda tzw. pospolita zbrodnia — zabójstwo czy rabunek (pod warunkiem, że ofiarą jego nie pada „lud”), naruszająca to właśnie bezpieczeństwo i spoistość, staje się z punktu widzenia rewolucyjnych celów „Panter” usprawiedliwiona i celowa. Tego rodzaju taktyce, aczkolwiek wydaje się nam okrutna i barbarzyńska, nie można odmówić pewnej konsekwencji. Przy całym swym ubóstwie ideologicznym „Pantery” wprowadziły idee rewolucji „totalnej”.

Ultra-szowinizmowi „Panter” towarzyszy w propagandzie wyjątkowo brutalna forma. Ściśle biorąc, trudno o zastosowanie jakichś obiektywnych ocen. Po prostu propaganda „Czarnych Panter” i pokrewnych jej kierunków odbiega od tego co uczynili niedoścignieni, jakby się wydawało na tym polu, komuniści. Tu, niestety, wypada poprzeć moją opinię tylko cytatami, ponieważ wizualne uroki gazetki, którą ilustruje „Minister Kultury” „Czarnych Panter” nie mogą być czytelnikom *Kultury* udostępnione, gdyż *Kultura* nie zamieszcza ilustracji. Oskarżanie Stanów Zjednoczonych o zbrodnie ludobójstwa w stosunku do ich własnych czarnych obywateli należy do codziennego repertuaru „Panter”. Artykuł wspomnianej gazety oficjalnego organu „Czarnych Pan-

ter” z dn. 27 stycznia 1971 r. ilustruje to następującym przykładem:

„Imperium amerykańskie nie tylko rozszerza plany ludobójstwa przeciw kolorowej ludności Stanów. Ostatnio podjęło ono akcję eksterminacji kolorowych dzieci, a więc przeciwko temu pokoleniu, które ma być kontynuatorem naszej rewolucji”.

W jaki sposób Imperium amerykańskie prowadzi likwidację dzieci murzyńskich dowiadujemy się z następującego ustępu:

„Gdy kilku kompetentnych lekarzy przeprowadziło badanie krwi dzieci, przebywających w szpitalu im. A. Lincoln w New Yorku, okazało się, że u wielu z nich poziom ołowiu we krwi przy wypisywaniu ze szpitala był wyższy niż przy ich przyjęciu. W toku dalszych obserwacji zauważono, że niektóre dzieci zlizują ze ścian świeżo malowaną farbę, zawierającą domieszkę ołowiu”.

Fakt zlizywania farby, prawdopodobnie nie ze ścian, ale z powalanych o ściany palców nie budzi przypuszczalnie wątpliwości. Jednakże dalszy komentarz autora artykułu jest rozwinięciem jego naczelnej tezy o diabolicznym planie Stanów Zjednoczonych unicestwienia czarnej ludności — tym razem przy pomocy trującej farby, którą maluje się szpitalne ściany na wydziałach pediatrycznych. Cytuję dalszy ustęp:

„Ten jawny plan wymordowania dzieci, zainicjowany przez zezwierzęconych przedstawicieli skorumpowanego miasta, jest jeszcze jednym środkiem służącym zahamowaniu nowych idei ratowania ludzkości, które miały wcielić w życie nasze dzieci. Świnie rządzące tym faszystowskim miastem, pod pretekstem polepszenia warunków szpitalnych, nie zawahały się uczynić kaźni z instytucji, która miała służyć przywróceniu ludziom zdrowia”.

Uwzględniając wszystkie te okoliczności i działające w tych warunkach mechanizmy socjalne, nie sądzę, aby kwestia charakteru ruchu ekstremistycznego Afro-Amerykanów mogła budzić wątpliwości. Można zrozumieć dominujące w nim tendencje na tle wielowiekowego upodlenia czarnej rasy w jej kolebce Czarnym Łądzie i w wielu krajach poza afrykańskich, ale nie oznacza to, że tendencje te można akceptować.

Drogi walczących z eksploatacją lub dyskryminacją pewnych grup społeczeństwa, z racji przynależności etnicznej lub rasowej, nie muszą koniecznie zatrzymywać się na granicach wytyczonych przez systemy społeczne. Mogą próbować je rozsądzić. Ale próby takie nie mogą znajdować ujścia w nacjonalistycznej żądzy odwetu. Szowinizm narodowy, praktykowany zarówno przez narody typu konkwistadorskiego jak i przez ich wyzwolone ofiary, wprowadza jedynie w ruch mechanizm nigdy nie kończącej się eskalacji wzajemnych porachunków i nienawiści.

Zbigniew BYRSKI

Marzec 1971 r.

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

PING-PONG CZY BUM-BUM

Do 1939 roku mieszkałem we Lwowie przy ul. Gródeckiej 99. Gimnazjum, do którego stosunkowo regularnie uczęszczałem, mieściło się przy ul. Zygmuntowskiej, u dołu tejże ul. Gródeckiej. Idąc lub wracając z „budy” musiałem więc co najmniej dwa razy dziennie przejść obok lodziarni p. Ehrlicha, mieszczącej się przy Gródeckiej 44 (róg Kasztelańskiej). P. Ehrlich zginął od jednej z pierwszych bomb hitlerowskich, jakie spadły na Lwów 1 września 1939. Nazwisko jego nie zostało jednak zapomniane. Dla dwóch powodów.

Po pierwsze, z powodu ping-pongu. Z tyłu bowiem, za pierwszym pomieszczeniem z lodami, mieścił się lokal gdzie stały dwa, jeżeli dobrze pamiętam, stoły ping-pongowe. Wokół nich od świtu do nocy uwijali się młodzi chłopcy w pogoni za celuloidową piłeczką. Lodziarnia p. Ehricha stanowiła więc pierwsze miejsce, gdzie mnie szukano, kiedy świeciłem nieobecnością w szkole lub w domu. Przede wszystkim jednak, lokal p. Ehrlicha był wylęgarnią młodych talentów i wśród lwowskich — jak ich nazywała prasa sportowa — mistrzów małej raketki nie było chyba ani jednego, który by nie przewinął się przez tę ping-pongową lodziarnię.

Powód drugi pamięci — to też ping-pong, to znaczy Alojzy czyli po naszymu Lojzyk, syn p. Ehrlicha. Od kiedy pamiętam Lojzyk był przedmiotem dumy lwowskich Żydów i celem westchnień naszych dziewcząt. Lojzyk mianowicie, jak gdyby się urodził na ping-pongowym stole, łał wszystkich bezlitośnie, bez względu na rasę, pochodzenie społeczne i wyznanie, aż doszedł do tytułu wice-mistrza świata. Utrzymał go przez wiele lat, aż do znudzenia „pićkając” (fachowe lwowskie określenie defensywnego stylu gry), ulegał tylko Węgrowi Barna. Alojzy jeszcze przed wojną wyjechał do Francji, mieszka gdzieś pod Paryżem i produkuje, z niezłymi zdaje się wynikami, piłeczki ping-pongowe.

Ale, ani p. Ehrlich ani Lojzyk nie przypuszczali, że prowadząc „salon gry” czy grając w ping-ponga przecierają szlaki wielkiej polityki światowej.

Papierowy tygrys z celuloidu

35 lat później okazuje się bowiem, że Alojzy Ehrlich zamiast produkować piłeczki powinien siedzieć w Nowym Jorku jako doradca sekretarza generalnego ONZ. Ping-pong okazał się mianowicie jednym z najbardziej skutecznych sposobów załatwiania rozmaitych nieprzyjemnych spraw, a pobyt ping-pongistów amerykańskich w Chinach, utworzył i to według słów samego Czou En-lai'a — „nowy rozdział w stosunkach między obu narodami”.

Oczywiście z tym ping-pongiem nie należy przesadzać. Od czasów antycznych igrzysk, sport odgrywa sporą rolę w historii i do różnych służy celów. Nie jest to jednak nigdy rola samodzielna. Tak np. Olimpiada w Berlinie miała stać się demonstracją hitlerowskiej tężyzny, olimpiada w Meksyku pozwoliła na manifestację „czarnych panter” przed TV całego świata, a olimpiada w Monachium ma ułatwić eksmisję „Wolnej Europy”. Także i tym razem, mimo długiej rozmowy chińskiego premiera z amerykańskim hip-pisem, ping-pong jest tylko pretekstem.

Oczywiście, nie przypadkiem wybrano tę akurat dziedzinę sportu. Jest to bowiem zajęcie, w którym Chińczycy są od dawna niepokonani i trening z Amerykanami, którzy ping-pong znają tylko z opowiadań emigrantów ze Wschodniej Europy, był im tak potrzebny, jak nie przymierzając Lojzykowi we Lwowie ze mną. Ale właśnie w tej dziedzinie, mogli Chińczycy udzielić amerykańskim gościom lekcji skromności, jaka cechuje prawdziwych mistrzów, lekko ich tylko lejąc przed 18-tysięczną widownią w Pekinie. Ta sama widownia, oraz społeczeństwo w ogóle, mogło się też przy tej okazji przekonać, jak bardzo celuloidowy jest ten papierowy tygrys.

Natomiast prości amerykańscy boys zostali przyjęciem i poziomem gry gospodarzy po prostu oczarowani. Jeden nie miał wprost słów dla chińskiej serdeczności, drugi dziwił się, że są oni tacy czyści, ping-pongowy hippie myślał nawet, że zostanie tam na zawsze, ale mu przeszło, a syn pewnego właściciela gazety z USA powiedział, że ustrój chiński to właśnie to, o czym on marzył przez całe życie. Ale on też wrócił do konsumpcyjnego społeczeństwa, mimo iż czekał tam na niego tata z lagą w rękę. Jeszcze w ostatniej chwili dodał, iż filozofia Mao jest piękna, a kobieta chińska prawdziwie wolna „i nie obija się tak jak kobieta amerykańska”. Jego kolega zaś stwierdził: „Jeżeli mam być uczciwy, to nie mam do powiedzenia nic krytycznego pod adresem Chin. Potraktowano nas cudownie”. Zamknął serię zachwytów kapitan drużyny, skromnie oświadczając: „Zwiedziłem już 89 krajów, ale nigdzie jeszcze nie byłem tak gościnnie przyjmowany jak tutaj. To były najpiękniejsze dni mojego życia”. Po czym także powrócił do szarżyny USA.

Mogłoby się wydawać, że po prostu gra w ping-ponga nie wymaga zbyt rozwiniętej inteligencji, gdyby nie fakt, że w podobny zachwyt powpadali kolejno towarzyszący pongistom, dziennikarze, pierwsi amerykańscy dziennikarze przebywający po dłuższej przerwie normalnie i legalnie w Chinach. I oni przejęli się czystością Pekinu, zwłaszcza na tle brudnych Nowych Jorków itp., oraz dodali, że mogli się zupełnie swobodnie poruszać i że rozmawiali z kim chcieli i o czym chcieli (jakie to szczęście, nieprawdaż, że Chińczycy powszechnie znają angielski). Jednym słowem, jak to napisał pewien wybitny reporter, Chiny ludowe to taki „świat niewinności” gdzie zamiast reklamy jest Mao Tse-tung. Innych różnic nasz kolega nie zauważył, ale za to elegijnie zapowiedział, że „w cieple ludzkich uczuć stopią się lody nagromadzone w ciągu długiej nocy wzajemnej wrogości”. Na zakończenie odbył się bankiet, gdzie przemawiali „z całego serca” prezesi obu federacji ping-ponga, zapewniając się o wzajemnej przyjaźni „w imieniu całych narodów”. Brakowało tylko fajki pokoju, a wszystko byłoby jak u Karola Maya w rozmowach między Old Shater-handem a wodzem Siuksów.

Kiedy już szary Amerykanin został dokumentnie przekonany przez ping-pongistów, że Czou En-lai o niczym innym nie marzy, jak tylko o przyjaźni z USA i sukcesach Ameryki w sporcie, wtedy prezydent Nixon uznał, iż czas zabrać głos.

Najpierw szalenie się ucieszył z niskiej przegranej ping-pongistów swego kraju w Pekinie, a potem zapowiedział rozszerzenie listy amerykańskich towarów niestrategicznych w eksporcie do Chin, przyrzekając jednocześnie ułatwienia w ich transporcie i w sposobach płatności. Prezydent zapowiedział również, że obywatele Chin Ludowych będą mogli otrzymywać wizy do USA i nadmieniał, że zupełnie przypadkowo kilka tygodni wcześniej przestał obowiązywać zakaz podróży obywateli USA do Chin. Według informacji z Waszyngtonu na liście amerykańskich towarów niestrategicznych znajdują się m.in. odrzutowce Boeing (roz-mowy już się nawet toczą, podobnie jak na temat angielskich „Trientów”), zaś na liście chińskich towarów niestrategicznych eksportowanych do USA figurują na pierwszym miejscu ludzkie włosy, potrzebne do wyrobu peruk, bardzo obecnie popularnych wśród osobników płci obojga za Oceanem.

Równocześnie jednak spoza wzruszenia przywódców i monotonnego stuku piłeczki ping-pongowej zaczęły dochodzić sprawy poważniejsze świadczące, iż nie chodzi tu o nagłe uczucie sympatii amerykańskiego hippisa dla chińskiego premiera, a o dawno toczące się skomplikowane procesy polityczne.

Myśli Przewodniczącego...

Jeszcze w grudniu 1970 p. Edgar Snow, wybitny dziennikarz amerykański i od 35 lat przyjaciel Mao, odwiedził go ponownie i rozmawiał z nim przez 5 godzin. Mao powiedział wówczas p. Snow, że chiński MSZ rozważa już sprawę udzielania wiz

„Amerykanom z prawicy, centrum i lewicy”. Przewodniczący Mao dodał, że „Nixon zostałby serdecznie powitany w Pekinie, jako że obecnie sporne sprawy między Chinami a USA należy rozwiązywać z p. Nixonem”.

Artykuł swój Snow wydrukował w majowym *Life*. W tym samym numerze tegoż pisma, p. Sidey, stały korespondent w Waszyngtonie ogłasza, iż jeszcze w roku ubiegłym Nixon podjął decyzję radykalnej zmiany polityki USA wobec Chin. Nixon uważa, że „ZSSR niczego nie zrobi aby wprowadzić Chiny do rodziny narodów świata. Powinny to wobec tego uczynić Stany Zjednoczone. Powinniśmy wszcząć dialog... Jeżeli nam się to nie uda, to przed upływem 20 lat — świat znajdzie się w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Jeżeli jest coś czego chciałbym dokonać przed śmiercią, to pojechać do Chin. Jeżeli nie uda mi się to osobiście, to chciałbym aby pojechały tam moje dzieci”.

Aby mogły paść takie wyciskające łyzy oświadczenia, sporo wody musiało upłynąć w Jang Tse i w Potomaku.

Chiny uporały się z wielką rewolucją kulturalną, wysłały czerwoną gwardię do roboty i uznały, że czas wrócić do światowych manier. Pekin zawsze wiedział, że od strony Kremla nie może liczyć na większe względy, bo Rosjanie grają źle w ping-ponga i w inne gry polityczne. Równocześnie, tak jak Nixon, Mao wie, że stosunki między Chinami a USA mogą być zamrożone przez lat 10 czy 20, ale nie mogą pozostawać wiecznie w stanie najwyższego napięcia. Stąd ogłaszając swe 493-cie poważne ostrzeżenie i po raz tysięczny ogłaszając nieunikniony krach imperializmu, Chińczycy zaczęli spokojnie rozgrywać swoją dyplomatyczną partię ping-ponga w światowej skali. Wyrąbali więc kilka przejść w wielkim murze (np. szeroko otworzyli targi w Kantonie) i posłali emisariuszy na świat cały. Złagodlili przy tym reżym obco-krajowców, wypuścili z kryminału kilku „imperialistycznych szpiegów”, w tym ponad 80-letniego biskupa angielskiego. Zaprosili dyplomatów na wielodniową wycieczkę, pokazując im obiekty, za myślenie tylko o których szło się jeszcze niedawno do więzienia. A równocześnie obsadzili ponad 40 swoich placówek dyplomatycznych, pozbawionych od wielu lat ambasadorskich szefów. Działając niesłychanie elastycznie nawiązali stosunki z następnymi krajami, chyłącymi się ku upadkowi, jak Kanada czy Włochy, dopisali do listy przyjaciół republikę Chile p. Allende'ego, postępowy Kuwejt, demokratyczny Kamerun, znormalizowaną Turcję, a nawet San Marino.

To co uderza, to zupełny brak dogmatów. Tak jakby myśl Mao w ogóle nie istniała, stosowano w rokowaniach najbardziej elastyczne metody. Naturalnie, tam gdzie można było — tam do układu o nawiązaniu stosunków wprowadzono klauzulę o suwerenności Pekinu nad Formozą. Ale jak się partner opierał, to stosowano wymijającą formułę o zwierzchnictwie rządu pekińskiego nad całym terytorium Chin, a jak trzeba było to w ogóle o tym detalu nie wspomniano.

Mówi się także o podjęciu na nowo rozmów chińsko-amery-

kańskich, przerwanych przed rokiem w Warszawie. Sądzi się zresztą, że z powodu przesadnej i technicznie niedoskonałej mikrofonizacji Pałacu Myśliwieckiego, gdzie się te rozmowy tyczyły, zostaną one przeniesione do Kanady. Świadczyć by o tym miała nominacja na ambasadora w Ottawie niejakiego Huang Hua, który nosi dumny przydomek „kamienny”, na jaki według jedno-myślniej opinii zasłużył sobie w Pandmundżon, gdzie w czasie wieloletnich rokowań ani razu nie drgnęła mu twarz.

Listę pomysłów Mao można by naturalnie przedłużać dowolnie, mijałoby się to jednak z celem. Sens całej operacji jest bowiem jasny. Kilka podstawowych kamieni obrazu dzieł Chin i USA: Formoza, Wietnam, Indochiny w ogóle. Otóż zbliżenie i dogadywanie się chińsko-amerykańskie jest możliwe i konieczne nie *mimo* tych problemów a z *powodu* tych problemów. Tylko bowiem na drodze rokowań można je, jeżeli nie załatwić, to w każdym razie oddynamitować, i... *kontrolować*.

...i akty Prezydenta

Jak się okazuje, tego samego zdania jest Prezydent Nixon. Nie wiem czy zna on myśli Mao zebrane w czerwonej książeczce, ale w tej podstawowej sprawie Nixon myśli podobnie. Nixon swoich myśli jeszcze nie wydał, złośliwi twierdzą nawet, że miałyby trudności z ich uzbieraniem, ale to na pewno przesada. Fakt bowiem, że Nixon się nie chwali swymi myślami i że nie każe amerykańskim studentom skandować ich z pamięci, wcale nie świadczy o tym, że mu ich brak. Ba, można powiedzieć, iż bywało tych myśli w nadmiarze. Na przykład w roku 1953, kiedy jeszcze jako wiceprezydent, Nixon oświadczył, iż „Chiny nie ścierpią wiecznie reżymu komunistycznego”. Później, jak już wiemy, Nixon zmienił zdanie, co tylko dobrze o nim świadczy i w 1968 roku powiedział np.: „Nasza polityka w sprawie Chin nabrała ogromnego znaczenia od wybuchu schizmy chińsko-sowieckiej. Nie sądzę jednak, że USA powinny wraz z ZSSR tworzyć wielką koalicję dla powstrzymania Chin...”. Nie minęły nawet 3 lata i prezydent Nixon ogłosił już gotowość USA do „nawiązania dialogu z Chinami” i zapowiedział poszukiwanie kontaktów tam, gdzie będzie to możliwe, naturalnie na zasadzie wzajemności.

Zanim kontakt ten stał się możliwy na zasadzie wzajemności przy ping-pongowym stole, toczyła się dość intensywna działalność dyplomacji USA. Intensywna, ale dyskretna. Stany Zjednoczone, kraj duży i bogaty, nie mogły ryzykować publicznego afrontu. Postanowiły przeto działać poprzez osoby trzecie.

Pierwszą osobą trzecią był de Gaulle, które ogromnym ambicjom misja taka w pełni odpowiadała. Miał on pojechać do Pekinu i — jako jedyny zachodni mąż stanu naprawdę przez Mao szanowany — miał wręczyć Chińczykom zarys nowych zasad amerykańskiej polityki w Azji. Sprowadzać się one miały do względnie szybkiego wycofania wojsk amerykańskich z Wietna-

mu, do zawarcia negocjonowanego z wszystkimi zainteresowanymi układu gwarantującego niezależność państw południowo-wschodniej Azji i wreszcie do zakończenia impasu chińsko-amerykańskiego poprzez znalezienie skutecznego rozwiązania problemu Formozy, wejście Chin do ONZ i nawiązanie stosunków dyplomatycznych USA-Chiny.

Sprawa była już w toku, emerytowany de Gaulle posłał już nawet emerytowanego de Murville'a do Pekinu dla przygotowania wizyty. Niestety śmierć przerwała nić tej akcji.

Wtedy Nixon spróbował innej drogi. Następnej misji podjęli się mianowicie Rumuni. Bukareszt ma, jak wiadomo, dobre stosunki z Pekinem i z Waszyngtonem. Byłoby więc dziwne gdyby Nixon tej okazji nie wykorzystał, zwłaszcza w okresie, kiedy — po Czechosłowacji — Kreml nie bardzo chciał zbyt gwałtownie na Rumunów naciskać.

I rzeczywiście. Po spotkaniach Ceausescu z Nixonem i kilku podróżach ministra Manescu, ambasador rumuński w Pekinie przystąpił do akcji, jeździł tam i z powrotem lub też przyjmował liczne delegacje u siebie w Pekinie.

Wreszcie w marcu zjawiła się w stolicy Państwa Środka wielka rumuńska delegacja handlowa pod wodzą Georghe Radulescu, wicepremiera, specja od RWPG, członka najwyższych organów partyjnych. Człowieka, w skrócie mówiąc, prosto od Ceausescu. Radulescu podpisał w Pekinie trzy porozumienia, w wyniku których Rumunia jest pierwszym krajem bloku warszawskiego, gdzie Chińczycy specjaliści budować będą chińskie fabryki. Już to samo nie stanowiło najbardziej wyszukanego prezentu dla zbliżającego się XXIV Zjazdu partii bolszewików, ale najważniejsze miało dopiero nastąpić. Radulescu przyjęty został mianowicie przez Czou En-lai'a, po czym... ping-pongiści amerykańscy zostali zaproszeni na kilka setów (nie mylić z setkami) do Pekinu. Przybyli tam 7 kwietnia, tak jakby chcieli uczcić specjalnie ponowny i jednomyślnie entuzjastyczny wybór tow. Breżniewa na generalnego sekretarza partii (przedłużające się oklaski przechodzące w owacje, wszyscy wstają!).

Upojne noce w Brukseli

Resztę już znamy, z tym, że od czasu ping-ponga wydarzyło się wiele innych rzeczy. Przede wszystkim okazało się, że specjalna komisja kierowana przez byłego ambasadora Cabot Lodge'a pracowała od dawna nad sprawą międzynarodowej pozycji Chin. Jeżeli skondensować morze słów, jakie na ten temat wylano w kilka tygodni, to okaże się, że Amerykanie po prostu — bez większych złudzeń zresztą — wypuścili pod adresem Pekinu próbną sondę z zamiarem przekonania się jaka będzie reakcja przewodniczącego Mao na kilka gustownych sugestii. Chodziło m.in. o ewentualność wejścia Chin do ONZ przy niewyrzucaniu stamtąd Formozy, o szanse na zgodę Pekinu na rokowania wprost

z Czang Kai-szekiem, bez zagrożenia pozycji USA na wyspie itd., itp.

Zgodnie z przewidywaniami, Pekin, przy akompaniamencie niedelikatnych określeń, propozycje amerykańskie wykpił. Pekin bowiem wie, że jeżeli nie w tym roku, to w 1972 droga do ONZ będzie dlań otwarta. Pekin wie także, że USA są już prawie zdecydowane nie powtarzać nudnego manewru o wymaganium 2/3 głosów dla przedyskutowania sprawy członkostwa Chin w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ.

Odrzucając brutalnie amerykańską ofensywę uśmiechu Pekin nie zapomniał jednak o innych sprawach. I o Europie. Jak wynika ze szpiegowskich informacji pochodzących z kół Atlantycznych w Brukseli, ambasada Chin w Paryżu liczy ok. 400 osób. Jest to może drobiazgi jak na Chiny, ale nawet w Paryżu to rzadkość. Ogromna większość tych dyplomatów nie chodzi zresztą na żadne cocktaile ani herbatki, zajmuje się natomiast studioowaniem sytuacji politycznej i gospodarczej. W tym zbożnym celu bywają oni także często w Brukseli. Stolica Belgii nie ma Place Pigalle, nie jest miastem wszelakich rozkoszy, jest natomiast siedzibą władz Wspólnego Rynku.

A właśnie okazało się, że w toku niedawnych rokowań o nawiązanie stosunków włosko-chińskich, Pekin wyraził umiarkowane — jak zwykle w Azji — zainteresowanie europejską wspólnotą gospodarczą. Ba, więcej nawet. Chiny rozpatrują możliwość utworzenia w Brukseli czegoś w rodzaju oficjalnego czy półoficjalnego przedstawicielstwa przy władzach EWG. Co prawda p. Malfatti, też przewodniczący, ale komisji EWG, odpowiedział wymijająco na pytania dziennikarzy dotyczące rozmów chińsko-włoskich na tematy wspólnorynkowe, oświadczył, że „flirty suwennych państw nie obchodzą EWG”, ale włoski minister handlu zagranicznego Zaggari nie ukrywał, że Chiny gotowe są negocjować ze Wspólnym Rynkiem jako z „rzeczywistością polityczną Zachodniej Europy”.

Skośnooki i jednooki

I nic nie mąciłoby tego odświeżającego flirtu, gdyby nie ZSSR. To potężne państwo, ociążałe i niemrawe, zaskorupiałe pod hasłem „nie kiwajmy naszą łodzią, towarzysze”, uprawia pod rządami Breżniewa kult nie zwiewnej piłęczki celuloidowej, a dźwigania ciężarów. Nic dziwnego, że ZSSR poczuł się nieswojo na widok przekomarżających się i uwijających się wokół ping-pongowego stołu Nixona i Mao Tse-tunga.

Moskwa, nie przyzwyczajona do takich igraszek, nie wiedziała wprost jak się zachować. Najzabawniejszy w tej pierwszej fazie zaskoczenia był epizod odegrany przez pewnego dziennikarza sowieckiego przed kamerami TV w Paryżu. Zapytany co myśli o ping-pongowym zagranu Chin, ów sowiecki kolega odchrząknął znacząco: „No, to zależy czy służy to sprawie pokoju czy wojny”. Zupełnie jak Franz Fiszer, który na wiadomość o nowym sukcesie

sie Kusocińskiego zareagował pytaniem: „A w którą stronę ten Kusociński właściwie biega?”.

W Moskwie Fiszera nie znają, humoru, jak wiadomo, brak, nic dziwnego więc, że paryski korespondent został z łatwością przelicytowany przez stołecznych kolegów.

Oto bowiem zagubienie Kremla trwało tylko chwilę, po czym natychmiast ruszyła kontrofensywa. W stałej trosce o czystość ideową, radio Moskwa przestrzegło naród chiński przed kontaktami z „kliką przywódców amerykańskich”, dążących do ustanowienia swej hegemonii nad wewnętrzną Mongolią, Port Arturem itp. Speaker z Moskwy ostrzegł Chińczyków, że USA to „najbardziej krwiożerczy wróg rewolucji chińskiej” i że Chińczykowi nieświadomi są „niebezpieczeństwa jakie dla nich stanowi penetracja... kapitału amerykańskiego”.

Musiałoby to wszystko brzmieć zabawnie w chińskich uszach, przyzwyczajonych do wysłuchiwania audycji radia Pekin na temat rozmów SALT, czy inwestycji zagranicznych na Syberii. Ale najbardziej chyba się naśmieli, kiedy w znanym z podziwu dla inwazji na Czechosłowację tygodniku *Nowe Czasy* przeczytali miażdżącą — prawdę mówiąc słuszną — krytykę Pekinu za ingerowanie w sprawy obcych państw. Uśmiech chiński był jednak nieco kwaśny, jako że gromy z Moskwy o ingerencje, dostawy broni itp., nadeszły w momencie, kiedy samoloty sowieckie wylądowały na Cejlonie z bronią i doradcami, choć wyspa ta leży niebezpiecznie blisko strefy, jaką Chiny zwykły uważać za swoje najbliższe sąsiedztwo.

Na tym jednak nie zakończyły się rewelacje. Żeby już zupełnie pogrążyć przeciwnika Moskwa sięgnęła do ostatecznej i niezawodnej broni sowieckiej propagandy. *Literaturnaja Gazieta*, jak przystało na pismo o subtelnej artystycznej strukturze, oskarżyło mianowicie skośnookiego Mao o spisek z jednookim Dajaniem.

„Nowe Czasy” i nasze czasy

Trudno się dziwić tej gwałtownej choć nieporadnej reakcji Moskwy na zagrywki Pekinu i Waszyngtonu. Kreml ma rację kiedy w manewrach obu swoich przeciwników widzi rozmaite nieskromne intencje. Ma rację, kiedy, mimo zapewnień Nixona, boi się zbliżenia dwóch pozostałych gigantów. Moskwa boi się izolacji, boi się całkowitego odwrócenia strategicznego położenia ZSSR. Rosja wie, że choć Chiny już 500 razy poważnie ostrzegały USA, to strzelały jedynie nad Ussuri. Rosja wie także, że jeżeli ma dotrzymać tych skromnych obietnic jakie złożyła zmęczona ogonkami ludności, to musi ograniczyć program zbrojeń i musi dogadać się z USA.

Breżniew już się na pewno uczy grać w ping-ponga, ale zanim ze swoją tuszą zdąży, to Mao, wielki pływak, już wynajdzie coś innego. Na szczęście dla Moskwy tak Pekin — mimo że może istotnie marzy o wojnie sowiecko-amerykańskiej — jak i Wa-

szington — mimo że może istotnie marzy o wojnie sowiecko-chińskiej — wiedzą doskonale, że nie mogłyby długo pozostać na uboczu tego konfliktu. Czyli wiedzą dokładnie to samo co ZSSR, który przecież na pewno marzy o wojnie chińsko-amerykańskiej, co udowodnił już nieraz w historii swą gotowością walki do ostatniego Koreańczyka, Wietnamczyka czy Chińczyka.

Ekipa kremłowska, słaba w ping-pongu, na pewno jest mocna w muzyce. Otóż w drugim akcie opery „Turandot” Pucciniego trzech mandarynów wzdycha do upragnionego pokoju w cesarstwie chińskim. Marzą oni głośno (słynne trio z II aktu) o nadejściu wspaniałego księcia, zdolnego do odgadnięcia trzech zagadek, bez czego królowna nie odda mu ręki (i reszty) i nie tylko, że nie uspokoi się sama (w czym nie ma nic dziwnego), ale unieвозмоли pacyfikację całego państwa.

Otóż, mandaryni z „Turandot” noszą imiona Ping, Pang i Pong. Proponuję więc, aby sławny Bolszoi wystawił „Turandot” w nowej inscenizacji (mam gotowy pomysł aktualizacji) i aby na galową premierę tej właśnie opery — a nie tylko patriotycznej i bohaterskiej „Chowańszczyzny” — poszło kierownictwo ZSSR w komplecie. Ciepłe aluzje Ping-Ponga w „Turandot” wydadzą mi się sympatyczniejsze i pożyteczniejsze niż wycie, rozlegające się z ławów np. *Nowych Czasów*.

W naszych czasach wolę bowiem ping-ponga niż bum-bum czy dum-dum.

BRUKSELCZYK

Pisane 11 maja 1971

P.S. Skromnie zaznaczam, że kiedy w ostatnim zdaniu poprzedniego felietonu pisałem o stosunkach komunistycznej Jugosławii z kapitalistycznym Wspólnym Rynkiem, chciałem stwierdzić, że można takie stosunki utrzymywać zachowując nie „dziedzictwo”, a „dziewictwo ideologiczne”. Różnica więc jest taka jak między dziedzicem a dziewczyną, czyli „Vive la petite différence”.

B.

Kuba i Chile

(Wrażenie z konferencji na jednym z kampusów nowojorskiego uniwersytetu stanowego — SUNY — w Brockport)

Głównym celem konferencji w Brockport było założenie stowarzyszenia profesorów SUNY, zainteresowanych Ameryką Łacińską. Na 62 kampusach SUNY, rozproszonych po stanie Nowy York, jest podobno około 200 profesorów „od Ameryki Łacińskiej”. Niektórzy z nich to znani specjaliści, inni to „eksperti” na odległość lub po jednej podróży do Meksyku czy Argentyny.

Konferencyjną atrakcją były dwa dialogi na temat Kuby i Chile między znanym dziennikarzem, korespondentem *Christian Science Monitor*, Jamesem N. Goodsellem, a młodą gwiazdą „radykalnej socjologii” Mauricem Zeitlinem, profesorem kalifornijskiego uniwersytetu w Santa Barbara.

Ponieważ, jak to często bywa w Ameryce, nikt nie chciał dyskutować celów stowarzyszenia a znaczna większość była niezwykle biegła w organizowaniu, stowarzyszenie z prezesem, sekretarzem, kimś tam jeszcze, z konstytucją i ze składkami po 3 dolary rocznie „od łebka”, zorganizowało się rzeczywiście bardzo szybko.

„Bo bez struktury nie ma siły”. „Bo bez stowarzyszenia nie znaczy się nic”. „Bo cele są rezultatem dyskusji w obrębie zorganizowanych grup, a bez organizacji nie ma w ogóle żadnych celów”. — Tak można by krótko streścić „filozofię” stowarzyszenia założonego na konferencji w Brockport dnia 2 kwietnia 1971 r.

Dialogi odbywały się na scenie wielkiej sali wykładowej. O Kubie dyskutowało się pierwszego dnia po cocktailach i obiedzie. Kuba była deserem konferencyjnym. Chile, o którym dyskutowało się następnego dnia przed lunchem było konferencyjną przekąską, wiosenną nowalijką bo następnego dnia miały się odbyć wybory dające votum zaufania lub nieufności nowowybranemu prezydentowi Salvadorowi Allende.

Chile jest obecnie znacznie modniejsze w Stanach niż Kuba. Jest to pierwszy kraj na świecie w którym „rząd marksistowski” wybrany został demokratycznie i w którym „socjalistyczna rewolucja instaluje się według zasad parlamentarnych”. Przewodniczący konferencji powiedział poza tym że cały Trzeci Świat przygląda się z uwagą i nadzieją tym dwóm kraikom Ameryki Łacińskiej, które nie dały jeszcze odpowiedzi na jedno z najbardziej palących pytań naszych czasów. Te kraje to nie tylko laboratoria społeczne Ameryki Łacińskiej, ale całego Trzeciego Świata, a może i całej Ludzkości.

Tak to mniej więcej zostało przedstawione: operowo raczej niż uniwersytecko. Bez jasnych sformułowań, bez definicji, bez hipotez ale za to z napięciem dramatycznym. Coraz częściej w ten sposób zaczynają się i kończą amerykańskie konferencje uniwersyteckie na palące tematy społeczno-polityczne, podczas gdy „to co w środku” jest nadal zwykle akademickie raczej niż operowe.

Tym razem aktorzy dialogów byli wyjątkowo dobrze dobrani. Korespondent *Christian Science Monitor*, pisma podobnego do francuskiego *Le Monde*: pan w średnim wieku, ubrany i uczesany jak najbardziej tradycyjnie. Socjolog: młody i artystycznie „rozchełstany”, zrobiony na coś pośredniego między hiszpańskim torreadorem a Elvisem Prisleym i ze „świadomą odwagą” przyznający się do marksizmu” (co zresztą w dzisiejszej uniwersyteckiej Ameryce nie wymaga żadnej odwagi).

W tym co obaj powiedzieli nie było nic specjalnie nowego.

Kuba: — „Entuzjazm rewolucyjny na Kubie bardzo osłabł w ciągu ostatnich lat, przypuszczalnie częściowo z powodu klęsk

ekonomicznych Castro, częściowo wskutek zbyt personalistycznego charakteru rewolucji, która jest rewolucją Fidela Castro a nie rewolucją narodową. Fidel nie umiał wmontować rewolucji w instytucje społeczne a jego charyzma bardzo osłabła w ciągu ostatnich lat”. Podczas poprzednich wypadów do Kuby rozmawiałem zawsze osobiście albo z samym Castro albo z najbliższymi jego współpracownikami. Tym razem jednak unikali oni spotkań z dziennikarzami. Rozmawiałem głównie z dobrze poinformowanymi inżynierami i technikami z Europy Wschodniej”. (korespondent *Christian Science Monitor*).

— „Rozmowy z Fidelem i ludźmi wysoko postawionymi nie są ważne! Aby dzisiejszą Kubę zrozumieć nie należy w ogóle analizować jej na zimno! Trzeba tam pojechać, rozmawiać z chłopami, robotnikami, wczuć się w to co dla nich najważniejsze! Trzeba brać udział w ich rewolucji aby ją naprawdę odczuć! — Ooo, tak... zapraszam was wszystkich na Kubę! („marksistowski socjolog” — głos drżący ze wzruszenia, uśmiech „prostego i odważnego chłopca”, otwarte ramiona). — Oklaski.

Chile: — „Fascynująca próba zainstalowania socjalistycznej — nie komunistycznej — rewolucji w obrębie parlamentarnego ustroju. W kraju o najsilniejszej, najgłębszej tradycji demokratycznej w Ameryce Łacińskiej”. (korespondent *Christian Science Monitor* i „marksistowski socjolog”).

— „W kraju najuczciwszej chyba demokracji na świecie. W kraju prawdziwie wolnych wyborów”. (korespondent *Christian Science Monitor*).

— „W kraju, w którym elity społeczne zależne są od kapitału amerykańskiego. W kraju, którego rząd otwarcie zapowiada likwidację wielkiej własności prywatnej, zagranicznej i chilijskiej, w kraju który przestał być krajem łatwych i obiecujących inwestycji”. („marksistowski socjolog”).

— „Chile jest krajem nie podobnym do innych krajów Ameryki Łacińskiej i bez zrozumienia tradycji chilijskich nie można zrozumieć tutaj niczego. Jest to kraj wyjątkowej stabilizacji politycznej, bez tradycji rewolucyjnych, kraj umiarkowania, kraj debat politycznych i wyjątkowej wolności słowa. Opozycja nie została stłamszona po objęciu rządów przez Salvadora Allende ale co będzie dalej, po obecnych wyborach, trudno przewidzieć bo w Chile wszystko odbywa się inaczej niż gdzie indziej. Wszystko tu jest w stylu chilijskim Zaraz po wyborach prezydent Allende, na przykład, złożył wizytę kardynałowi. Po krótkiej rozmowie nowowybrany prezydent i kardynał ukazali się razem na balkonie... Marksistowski prezydent trzymał Ewangelię w ręku! — 'Może jego Eksceleńcja mi nie uwierzy' — powiedział — 'ale naprawdę wiele godzin mego życia spędziłem nad tą księgą...'. — 'Ależ naturalnie, że panu doktorowi wierzę' — odpowiedział rozpromieniony kardynał ściskając nowowybranego marksistowskiego prezydenta. Taka scena, proszę państwa, jest nie do pojęcia w żadnym innym kraju” — zakończył korespondent *Christian Science Monitor* — „Jest ona ściśle chilijska i dlatego bez zrozu-

mienia jedynej w swoim rodzaju tradycji chilijskiej nie można zrozumieć niczego z tego co się dzieje w Chile!"



Tradycja? Oczywiście, że bez zrozumienia tradycji trudno o jakąkolwiek interpretację wydarzeń. Ale to przecież nie wystarczy w świecie wielorakich zawiłań i wzrastających międzynarodowych zawiłań! I nie tylko, że nie wystarczy. Tego rodzaju podejście wręcz fałszuje rzeczywistość!

Bo nieprawdą jest, że pokazanie się nowowybranego „marksistowskiego prezydenta” na balkonie razem z kardynałem możliwe jest tylko w Chile. Taka sytuacja możliwa była również w Polsce 1945 czy 1946 roku. Ale, co może jest najważniejsze — sytuacje tego rodzaju nie są jedynie wynikiem tradycji, ale przede wszystkim wynikiem politycznej taktyki. Są to posunięcia zaaranżowane w ten sposób, aby trafić do jak najszerszych mas.

Na konferencji w Brockport powiedziano wiele ciekawych i wiele częściowo prawdziwych rzeczy, nie muśnięto jednak nawet najważniejszych i najtrudniejszych pytań, bez których nie można zrozumieć żadnego ze współczesnych państw.

Chilijska partia komunistyczna (która ma znaczną większość w ludowej koalicji Salvadora Allende) jest jedną z najliczniejszych, najstarszych i najlepiej zorganizowanych partii komunistycznych na świecie. Bez zrozumienia trwającego już pół wieku posłuszeństwa tej partii w stosunku do Rosji trudno zrozumieć cokolwiek z tego, co się dzieje w dzisiejszym Chile. Trudno też zrozumieć cokolwiek bez uświadomienia sobie choćby samego istnienia rozgrywek między pro-rosyjskim, pro-chińskim, pro-Castro i pro-Ché Guevara partiami komunistycznymi w Ameryce Łacińskiej. Trudno zrozumieć cokolwiek bez postawienia choćby problemu stosunku Rzymu do różnych odłamów Kościoła w Ameryce Łacińskiej. Trudno zrozumieć cokolwiek bez wzięcia pod uwagę posunięć, apetytów i rozczarowań wielkich firm zagranicznych, które inwestowały, mają zamiar inwestować lub przestały inwestować w Amerykę Łacińską. Trudno zrozumieć cokolwiek bez rozgrzyzenia militarnych powiązań między Stanami a Ameryką Łacińską, etc., etc.

Te najważniejsze problemy są oczywiście dużo trudniejsze do zbadania niż poszczególne tradycje narodowe i najzdolniejszy dziennikarz czy socjolog nie jest, jakże często, w stanie zdobyć choćby minimum informacji, które uważa za nieodzowne.

Obowiązkiem jednak każdego badacza naukowego, dziennikarza czy socjologa jest jasne postawienie tego rodzaju pytań. Nawet gdy nie ma na nie chwilowo odpowiedzi.

Alicja IWAŃSKA

Albany, 4 kwietnia 1971

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

„W historii narodów świata są wydarzenia, które dotyczą wszystkich — całej ludzkości” — tak pisały *Izwestia* po zakończeniu XXIV zjazdu KPZS. Nie jestem przekonany, czy tak jest rzeczywiście i czy ostatni zjazd można zaliczyć do wydarzeń zmieniających historię narodów świata, ale biorąc pod uwagę tę ogromną ilość papieru i farby drukarskiej, którą temu zjazdowi poświęcono, chciałbym dodać zabawny szczegół do przeglądu z poprzedniego numeru *Kultury*.

Zjazd zakończył się crescendo. Breżniew przeczytał listę kierowniczych organów partii. Lista członków Politbiura zaczyna się — i alfabetycznie i według funkcji — nazwiskiem Breżniewa. Wszyscy oklaskują, w pierwszym rządzie sam Leonid Iljicz. Miliony widzów telewizyjnych ze łzami w oczach obserwuje tę wzruszającą scenę — ale dalsza lektura listy członków Politbiura zdumiała słuchaczy.

Słuchacze od dziesiątków lat wychowani w szacunku do bi-zantyjskiego ceremoniału stwierdzili, że Breżniew go naruszył. Przeczytał listę nie według alfabetu i nie w kolejności ustalonej po usunięciu Chruszczowa. Na drugim miejscu zamiast Kosygina znalazł się Podgorny, a Szelepin spadł na koniec listy.

W eterze poleciały informacje korespondentów zagranicznych o zmianach w ośrodkach władzy. Ale już następnego dnia gazety podały listę członków Biura Politycznego w „legalnej formie” — w porządku alfabetycznym.

Leonida Iljicza przywołano do porządku.



Pisząc w poprzednim numerze o zjeździe zwróciłem uwagę na rolę jaką czołowe organy propagandy przypisują „szyfrowi oklasków”, które są zaznaczone w nawiasach po najbardziej ważnych częściach raportów i wystąpień. Widocznie jednak ten numer *Kultury* nie zdążył jeszcze wpaść w ręce redaktora moskiewskiej

Gazety Lekarskiej. Możliwe zresztą, że uważa on iż kaszy nie można zepsuć masłem. Zamieściwszy w *Gazecie Lekarskiej* przemówienie Podgornego, który otworzył zjazd, zaopatrzył notatką „oklaski” nie tylko nazwiska 94-ch kierowników delegacji komunistycznych, co, ma się rozumieć, należało zrobić, ale również nazwiska 10-ciu zmarłych wodzów (Ho-Szi-Min, Che Guevara, Namera i in.), co jak się okazało było zbyteczne. Nieszczęsnego redaktora i całą grupę dziennikarzy usunięto z pracy.

Można powiedzieć, że się „doklaskali”.

W 1970 roku był przeprowadzony wszechzwiązkowy spis ludności. Mniej więcej rok temu zakomunikowano pierwsze rezultaty o liczbie ludności w republikach, okręgach i miastach. W połowie kwietnia centralne biuro statystyczne podało informację, o podziale ludności według wieku, wykształcenia, narodowości, języka i źródła dochodów.

Po raz pierwszy w historii Rosji liczba ludności miejskiej przewyższyła liczbę mieszkańców wsi. W 1970 roku w miastach żyło 56 % ludności, a na wsi — 44 %. Niezmiernie ciekawe informacje zawiera rozdział o podziale ludności według narodowości. Niektórzy zachodni demografowie zakładali, że już w 1970 roku Rosjanie przestaną być grupą narodową, dominującą wszystkie inne razem wzięte. To nie nastąpiło. Z 241.720 tys. ludzi Rosjanie liczą 129.015 tys. Ludność rosyjska zwiększyła się w ciągu ostatnich 25 lat o 15 milionów.

Zwiększyła się również i liczba wszystkich innych grup narodowościowych. Ściślej mówiąc — prawie wszystkich grup narodowościowych. Ze stu z czymś narodowości dwie grupy poniosły niezmiernie straty w ostatnich 10-ciu latach: ich liczba bardzo znacznie się zmniejszyła. Te dwie grupy narodowe to Polacy i Żydzi. W 1959 roku w Związku Sowieckim było 1.380 tys. Polaków, a w 1970 roku tylko 1.167 tys. Strata 213 tys. Jeszcze bardziej zmniejszył się procent Polaków nie uważających języka polskiego za język ojczysty. W 1959 roku język polski był językiem ojczystym dla 45,2 %, a w 1970 roku tylko dla 32,5 %. Analogiczny proces nastąpił również z Żydami. Ich liczba zmniejszyła się o 117 tys. ludzi: z 2.268 tys. w 1959 r. do 2.151 tys. w 1970 r. Język żydowski był ojczystym — w 1959 r. dla 21,4 %, a w 1970 r. tylko dla 17,7 % (jeszcze 20-30 lat i nie będzie potrzebny ani żydowski teatr ani prasa).

Można przypuszczać że zmniejszenie się ilości Polaków i Żydów tłumaczy się przyłączeniem się ich do innych grup narodowych: Polacy podawali się za Ukraińców i Białorusinów, Żydzi — za Rosjan i Ukraińców. We wszystkich okolicznościach życiowych obywatel sowiecki obowiązany jest przede wszystkim przedstawić swój paszport, w którym jest rubryka: narodowość. W czasie spisu panowała jednak pełna swoboda: każdy mógł wybrać sobie narodowość jaką chciał. Komisarze spisowi niewątpliwie otrzymali wskazówki, że należy „radzić” przedstawicielom niefortun-

nych narodowości, by wybierali inne, bardziej postępowe. Opublikowane dane pozwalają nam zapoznać się i ze składem narodowościowym poszczególnych republik. Dowiadujemy się na przykład, że w Kazachskiej republice jest 32,4 % Kazachów, a 42,8 % Rosjan. W całym szeregu innych republik Rosjanie stanowią znaczny procent ludności: 24,7 % w Estonii, 26,6 % na Łotwie, 19,4 % na Ukrainie. Tylko w jednej republice prawie że nie ma przedstawicieli innych narodowości: w Armenii. Ormianie wynoszą 88,6 % ludności, a Rosjan jest jedynie 2,7 %. Nawet w Gruzji, słynnej ze swej niezależności, jest 8,5 % Rosjan. Co prawda w 1959 roku było ich 10,1 %.

Spis 1970 roku pozwala stwierdzić fakt mający niewątpliwie niezmiernie ważne znaczenie. Przez ostatnie 11 lat ludność narodów muzułmańskich Azji Środkowej i Azerbejdżanu zwiększyła się o zupełnie fantastyczną cyfrę — o 50 %, co wynosi mniej więcej 4 % rocznie. Znany sowiecki demograf, B. Urłanis, twierdzi, że „takiego tempa wzrostu nie spotyka się w żadnej części świata, ani w żadnej narodowości”. W rezultacie takiego wzrostu narodowości muzułmańskie wynoszą obecnie 8 % ludności całego Związku. W 1959 roku reprezentowały one 6 % ludności.

Mimo imponujących cyfra obraz rozwoju demograficznego Związku Sowieckiego (nie licząc narodów muzułmańskich) nie wygląda zbyt różowo. W tym samym czasie — jak pisze ekonomista prof. D. Walientiej (*Litieraturnaja Gazieta*, Nr 12): „Kolosalne obszary naszej ojczyzny, ogromne niewykorzystane bogactwa... wymagają robotniczych rezerw... ojczyźnie potrzebni są ludzie. Pracujący”.

Już od dłuższego czasu w prasie sowieckiej prowadzi się dyskusję na ten temat. Jak osiągnąć zwiększenie przyrostu naturalnego? Co jest powodem niskiego przyrostu? Na drugie zapytanie wszyscy odpowiadają jednogłośnie. Niewystarczający poziom materialny i jednocześnie chęć wykorzystania istniejących możliwości doprowadziły do tego, że na znacznej części terytorium ZSSR (w RSFSR, na Ukrainie, w krajach bałtyckich i Białorusi) dominuje rodzina z jednym, w najlepszym wypadku z dwójgiem dzieci.

Większość uczestników nie chce lub nie może odpowiedzieć na pytanie: jak uzyskać wzrost przyrostu naturalnego. Większość odrzuca propozycję zakazu usuwania ciąży, gdyż „tego rodzaju zarządzenia praktycznie na całym świecie nie dają rezultatu”. Są również nieliczne głosy-aluzje, że należałoby zwiększyć zasiłek dla matek (miesięczny minimalny zasiłek wypłaca się dopiero po urodzeniu czwartego dziecka). W zasadzie wszyscy martwiący się o powiększenie przyrostu apelują do uczuć obywatelskich sowieckiej ludności. Państwu potrzebni są robotnicy — trzeba więc rodzic dzieci. Niejaki Zorij Szochin (*Litieraturnaja Gazieta*, Nr 17) napiętnował kawalerów jako egoistów (przyznając jednak, że ich poziom życia jest znacznie wyższy od poziomu życia żona

tych), dodając przy tym, że jak stwierdza statystyka, żonaci żyją znacznie dłużej od kawalerów.



„Oczywiście potrzebni są ludzie... pracujący” — tak pisze prof. Walientiej. Nie są potrzebni „pracujący” w ogóle, ale — zupełnie konkretnie robotnicy fizyczni. Informacje spisu ludności mówią, że w 1970 roku w Związku Sowieckim było około 8-miu milionów ludzi z wyższym wykształceniem, a ponad 13 milionów ze średnim wykształceniem specjalistycznym. Wydawałoby się, że jest znakomicie, że lepiej nie trzeba. Okazuje się jednak, że państwo sowieckie nie jest w stanie strawić takiej ilości wykształconych ludzi, że odczuwa przede wszystkim brak robotników.

W bardzo interesującej dyskusji: „klasa robotnicza w epoce rewolucji naukowo-technicznej”, zorganizowanej przez *Literną Gazietę* rozległy się głosy, które można by określić jako herezyczne.

Jeden z kierowników sowieckiego przemysłu, G. A. Kułagin, oświadczył:

„Bardzo wielu uczonych myśli, że w wieku cybernetyki nie jest potrzebna praca fizyczna, że nie jest potrzebny robotnik, wykonujący określone zadania w przemyśle. Taki pogląd źle orientuje naszą młodzież... Robotnicy będą nam potrzebni i przez 10 lat i przez 15 następnych lat. Przy każdym rozwoju rewolucji naukowo-technicznej praca fizyczna okazuje się niezastąpiona”.

Doktor nauk filozoficznych, Ju. Mieleśzenko, dodał do tego myśl niemiernie ciekawą:

„Powstało przekonanie, że szybki wzrost liczby uczonych w naszej ojczyźnie jest zjawiskiem pozytywnym. W rzeczywistości tak nie jest. Liczbowe zwiększenie uczonych jest zjawiskiem przejściowym. Obecnie zagadnienie polega nie na tym, jak zwiększyć liczbę uczonych i powiększać tę kosztowną armię, ale na tym, by ta armia pracowała w sposób efektywny”.

Są to słowa znamienne, wyrażające nową linię w polityce przygotowanie kadr. Państwo nie jest w stanie utrzymać dotychczasowego tempa rozwoju wykształcenia. Poziom przygotowania specjalistów pozostawia wiele do życzenia. Dlatego rzuca się hasło: robotnik to brzmi dumnie.



Dyplomatyczny „ping-pong” między Chińczykami a Amerykanami był przyjęty w Moskwie lodowatym milczeniem. W notatce TASS, informującej o przyjeździe amerykańskich sportowców do Pekinu, zacytowano słowa Nixona o chęci polepszenia stosunków z Chinami i oświadczenie Czu En-lai'a „o odrodzeniu przyjaźni amerykańsko-chińskiej”. Nie dodając żadnego komentarza od siebie, autor notatki zacytował wyjątki z pisma amerykańskiego

stwierdzające, że to oświadczenie Czu En-Lai'a było poważną przysługą dla Nixona w momencie narastania na niego ataków ze strony przeciwników wojny w Wietnamie. Zaraz po tym *Literną Gazietę* zamieściła obszerny wybór cytat z prasy zachodniej na ten temat, nie dając również żadnego komentarza. Powstało wrażenie, że w Moskwie oczekują dalszego rozwoju sytuacji.

Dobór cytat pozwala jednak z łatwością zorientować się w stosunku sowieckiego kierownictwa do nowego etapu stosunków amerykańsko-chińskich. Na przemian cytowano oświadczenia Amerykanów i Chińczyków o chęci „otworzenia nowej karty w stosunkach między narodami amerykańskim i chińskim” i informacje o nalotach samolotów amerykańskich na Wietnam.

Potem w piśmie *Nowoje Wriemia* ukazał się artykuł stawiający wszystkie kropki nad „i”. „Przywódcy pekińscy — mówi się w artykule — marzą o sprowokowaniu zbrojnego konfliktu między dwoma najpotężniejszymi narodami świata — Związkiem Sowieckim i Stanami Zjednoczonymi”.

Pismo *Neues Deutschland* w artykule przedrukowanym przez prasę sowiecką oceniło „dyplomatyczny ping-pong” dosłownie tymi słowami:

„Chińscy przywódcy chcą trzymać się na uboczu w klasowym zderzeniu dwóch światowych ustrojów, natomiast dążą do wojennego konfliktu między Związkiem Sowieckim a Chinami”.

Zasadnicza linia propagandowego kontrataku została ustalona: normalizacja stosunków chińsko-amerykańskich szkodzi sprawie pokoju, gdyż jest nastawiona „na podżeganie wojny między ZSSR, a Stanami Zjednoczonymi”.

„Kierownictwo pekińskie — oświadcza *Nowoje Wriemia* — z łatwością zdradza swoich przyjaciół, szybko godzi się z tymi, których zupełnie słusznie uważało dotychczas za swoich wrogów, rezygnuje z głoszonych przez siebie zasad, jeśli to — w jego mniemaniu — służy nacjonalistycznym, wielkomocarstwowym interesom Chin”.

Jest jasne, że jest niedobrze, gdyż w świecie istnieją tylko dwa wielkie państwa, dwa „najpotężniejsze narody”.



Sowieccy krytycy literaccy (a mam na myśli „krytyków” z wielkiej litery, krytykujących w myśl wskazówek partii i rządu) posiadają fenomenalne wyczucie. Jeśli utwór zawiera choćby kroplę talentu, chociażby iskierkę prawdy, natychmiast to zauważają i tak rozkrykują, że autor długo się nie pozbiera. Ma się rozumieć zdarza się, że wąż zawodzi i utalentowany utwór przechodzi. No ale, choćby z opóźnieniem, prędzej, czy później zawsze go zdemaskują. Komedia ormiańskiego satyryka Grygora Ter Grigoriana „Ach, te nerwy” była wystawiana z dużym powodze-

niem w trzech teatrach republiki i była wydrukowana. I dopiero niedawno spotkała się z gwałtownym potępieniem. Można się tylko dziwić, że w ogóle ta komedia mogła trafić na scenę. Akcja toczy się w klinice psychiatrycznej. Zdaje się, że po raz pierwszy od „Złotego cielęcia” Ilfa i Pietrowa pisarz sowiecki umieszcza swych bohaterów w tej, tak ostatnio popularnej, instytucji. Pamiętamy jednak, że jeden z bohaterów Ilfa i Pietrowa oświadcza, że w Związku Sowieckim można mówić to, co się myśli jedynie w domu wariatów.

A więc w ormiańskim szpitalu psychiatrycznym spotyka się kierownik trustu budowlanego, którego nerwy rozstroiły się po przeczytaniu krytycznego artykułu w piśmie *Sztandar komunizmu* i autor tego artykułu, który zachorował wskutek konieczności pisania takich artykułów.

„Gdzie tylko nie budowałem — wspomina kierownik — było ciężko, bardzo ciężko... chciało się krzyknąć, lecz ja budowałem bez szemrania”.

Lekarzowi, który przyszedł sprawdzić refleksy chorego, przy pomocy młoteczka lekarskiego, budowniczy melancholijnie oświadcza: „Całe życie bez zastrzeżeń szedłem za sierpem i młotem i któż to ocenił?”.

Zdobywszy butelkę koniaku dwaj byli wrogowie organizują ucztę: „Jeśli potrafisz tak dzielnie trzymać kieliszek — słusznie zwraca uwagę kierownik dziennikarzowi — to po co pisać tak głupie artykuły”. „Niech będzie przeklęty ten artykuł — odpowiada dziennikarz — nalewaj bracie”.

Autorowi krytyki specjalnie się nie spodobało, że scena pijaństwa odbywa się przy dźwiękach międzynarodówki, rozlegającej się z tranzystoru.

Nie można dogodzić sowieckim krytykom.

Należałoby się już przyzwyczać, ale czytając prasę sowiecką dziwi się ciągle miejscu, jakie w niej zajmuje Polska. O Polsce się nie pisze. Raz na miesiąc pojawia się wzmianeczka o kolejnych sukcesach polskiej klasy robotniczej, albo o przekazaniu sowieckiemu armatorowi nowego statku. Przejrzawszy *Literaturną Gazietę* za ostatnie dwa miesiące znalazłem w niej dwa polonika. Trzeba przyznać, że mają one charakter niebanalny.

Pierwszy to „napisany specjalnie dla *Literaturnej Gaziety* artykuł „polskiego publicysty i działacza społecznego Janusza Kolczyńskiego” (w prasie sowieckiej współpracowników organów bezpieczeństwa określa się mianem „działaczy społecznych”). Artykuł Janusza Kolczyńskiego nosi tytuł „Operacja Wolna Europa” i jest ilustrowany fotografią przepustki Czechowicza.

Drugi to artykuł pod tytułem „Lęk przed prawdą”, napisany przez korespondenta agencji *Nowosti* w Nowym Jorku, Henryka Borowika. Demaskując straszliwe warunki życia w Stanach Zjednoczonych dziennikarz sowiecki przytacza jako główny argument

swą rozmowę z dwoma Amerykankami — matką i córką — polskiego pochodzenia. Obie — powiada Henryk Borowik — urodziły się w Polsce, a po 1939 roku żyły w Związku Sowieckim (jak one tam trafiły tego nie wyjaśnia). Po rozpoczęciu wojny z Niemcami znalazły się w Ferganie. I właśnie tam — jak twierdzi sowiecki dziennikarz — zaczęło się dla nich szczęśliwe życie, które te dwie nieszczęsne Amerykanki polskiego pochodzenia wspominają do tej pory. „Te dwie kobiety — czytamy — przeżyły u nas tylko sześć lat... I mimo to stosunek do ludzi w socjalizmie zapamiętały jak powiew świeżego powietrza”.

Innych materiałów o Polsce w przejrzanych numerach *Literaturnej Gaziety* nie znalazłem.

Adam KRUCZEK

XXIV Zjazd KPZS

W kremłowskim pałacu kongresowym odbywał się między 30 marca a 9 kwietnia XXIV zjazd KPZS. Charakter i funkcja zjazdów partii ulegały zmianom od czasów panowania Stalina. W pierwszych latach władzy sowieckiej zjazdy te były prawdziwym wydarzeniem politycznym. Możliwa była wtedy otwarta dyskusja, swobodne wyrażanie poglądów, wpływ delegatów na formułowanie linii politycznej i wreszcie wybór gremiów kierowniczych. Były to prawdziwe wybory, nie zaś zaakceptowanie rozstrzygnięć, wypracowanych uprzednio przez aparat w najdrobniejszych szczegółach. Od połowy lat trzydziestych obowiązują już inne normy, styl uległ wyraźnej zmianie. Aparat przygotowuje i inscenizuje z całą starannością zjazdy partyjne. Nic nie pozostawia się przypadkowi, poczynając od najniższego szczebla organizacji, gdzie dokonuje się wyboru delegatów, a kończąc na zjazdach partyjnych republik związkowych i samym zjeździe KPZS. Nawet myśl o tym, żeby członkowie partii mogli wywierać jakikolwiek wpływ, jest już dla nich samych czymś wykraczającym przeciw dyscyplinie partyjnej.

Formalnie zjazd pozostaje najwyższą instancją partyjną, ale faktycznie schodzi do roli organu aklamującego, ujętego w uroczyste ramy pompacyjnego rytuału. Najważniejszym celem zjazdu jest nie dyskusja i wymiana doświadczeń, lecz demonstrowanie politycznej siły grupy, która panuje w biurokracji partyjnej, monolityzmu i jedności „wszystkich komunistów”.

Eksperci zachodni słusznie scharakteryzowali ostatni zjazd jako „zjazd konserwatystów”. Władza pokolenia uformowanego przez system stalinowski (mimo pewnych różnic wieku: Pelsze

ma 72, Szelepin tylko 53 lata) pozostała nienaruszona i nadal stosuje się do jego norm. Normy te, określane jako „leninowskie zasady kierowania i prowadzenia”, nie podlegają żadnej krytyce i przyczyniają się do scementowania ustalonych stosunków i struktur władzy.

Chruszczow i jego najbliżsi współpracownicy — w szczególności zmarły Frol Kozłow — dostrzegali niebezpieczeństwa, wynikające z tej sterylności w latach postępu technicznego i automatyzacji. Planowali więc stałe odnawianie i odmładzanie kadr. Znalazło to odbicie w uchwałach XXII zjazdu partii (1961), ale biurokratyczny *establishment* odczuł je jako zagrożenie własnej egzystencji. Jego zemsta była nieuchronna i bezlitosna. Chruszczow został w najlepszym orwellowskim stylu unieszkodliwiony, zaś następny zjazd partii (1966) natychmiast wykreślił z uchwał obowiązkową rotację kadr. Zresztą już w fazie przygotowywania zjazdu zrobiono wszystko, żeby zahamować dopływ młodej generacji.

Polityka zagraniczna w służbie kraju

Biurokracja partyjna jest skrajnie konserwatywna zarówno jeśli idzie o politykę personalną, jak i o stosowanie tradycyjnych mechanizmów władzy i sztywnego modelu społecznego. Takie stanowisko uniemożliwia z góry jakikolwiek postęp. Mimo pełnych euforii deklamacji, jaskrawe zacofanie w wielu dziedzinach jest przedmiotem rosnącej troski kierownictwa partii, które mimo wszystko widzi, że jest to zagrożenie pozycji Sowietów w świecie. Przewyciężenie tego zacofania uznano więc za jedno z najpilniejszych zadań.

Pojednawcze słowa wypowiedziane z trybuny zjazdowej przez Breżniewa i Gromykę pod adresem krajów zachodnich przypominają wczesne okresy istnienia państwa sowieckiego. Już w początku lat dwudziestych Lenin musiał uznać, że uprzemysłowienie i gospodarczy rozwój kraju możliwe są tylko przy ogólnym odprężeniu i kooperacji. Podobnie i dzisiaj kierownictwo sowieckie widzi, że tylko w klimacie międzynarodowego odprężenia możliwa jest realizacja tak ważnych dla gospodarki kraju projektów, jak na przykład dostarczenie rur przez NRF, włoska pomoc w budowie fabryki samochodów w Togliatti, współdziałanie konsorcjum międzynarodowego przy budowie fabryki samochodów ciężarowych itp. Jeszcze większe jest zainteresowanie współpracą naukowo-techniczną, która ma umożliwić przekazywanie Sowietom zachodniego *know-how*.

W wypowiedziach Breżniewa i Gromyki, mających przygotować grunt do dalszej, wszechstronnej współpracy, znalazły się naturalnie pewne tradycyjne frazesy, należące do rytuału, jak np. o agresywnej i reakcyjnej istocie imperializmu. Ale przez cały czas widać było usiłowanie znalezienia wspólnego języka z USA, nawiązania intensywniejszej współpracy z krajami europejskimi

i dalszej normalizacji stosunków z Bonn. W części przemówienia Breżniewa poświęconej Bonn znajduje się wypowiedź, którą można różnie komentować:

„Należy sądzić, że realistycznie myślące koła w Bonn, a także w niektórych innych stolicach europejskich, rozumieją tę prostą prawdę, że odwołanie ratyfikacji zrodziłoby nowy kryzys zaufania do całej polityki NRF, pogorszyłoby klimat polityczny w Europie i perspektywy złagodzenia napięcia międzynarodowego”.

Czy istotnie — jak twierdzą pewni komentatorzy — w tych słowach kryje się niedwuznaczna groźba — można wątpić. Jest to raczej oznaka pewnego zniecierpliwienia a może także bezradności. Breżniewowi w ogóle trudno jest występować w roli światowego dyplomaty.

Jest charakterystyczne, że Gromyko po wylczeniu aktualnych problemów, jak np. umowa NRF ze Związkiem Sowieckim i Polską, zwołanie europejskiej konferencji poświęconej sprawom bezpieczeństwa i „owocne zakończenie rozmów na temat Berlina zachodniego” oświadczył:

„są to ważne kroki, które trzeba zrobić na drodze od Europy konfliktów do Europy trwałego pokoju. Muszą one być dokonane *równolegle, bez zwłoki*. Nie można czekać aż załatwiona zostanie jedna sprawa, aby dopiero wtedy myśleć o sprawie następnej”.

Metoda odczytywania ważnych rzeczy z doboru słów mówców zjazdowych nie jest pozbawiona niebezpieczeństwa, niemniej jednak należy skonfrontować przeciwstawne wypowiedzi Breżniewa i Gromyki, uwidocznione właśnie w słowach o „równoległości kroków”. Świadczą one o tym, że kierownictwo sowieckie ma trudności w formułowaniu jednolitej i ostatecznej linii.

Całkiem innego tonu użyto w stosunku do „krajów socjalistycznych” i światowego ruchu komunistycznego. Po „pomyślniej” interwencji w Czechosłowacji kierownictwo sowieckie próbuje utrzymać swą dominującą pozycję. I tutaj obecny zjazd różni się istotnie od poprzedniego. Od XX zjazdu układowi warszawskiemu poświęcano uwagę tylko marginesowo. Teraz zaawansował on w referacie sprawozdawczym Breżniewa do roli „najważniejszego instrumentu koordynacji działalności bratnich krajów na polu polityki zagranicznej”. Pojawiły się nadto przypomnienia o „ogólnie obowiązujących prawidłowościach przy budowie socjalizmu”: integracji, jedności i współpracy bratnich państw. Tą sprawą zajęły się niektóre delegacje zagraniczne, jak np. KP Włoch — w czasie zjazdu a jeszcze bardziej po jego zakończeniu — podając krytykę politykę KPZS wobec krajów socjalistycznych. W stosunku do „odchyleńców” nie bawiono się w usiłowania „odprężenia” i pojednania. Breżniew stwierdził:

„Nadal jest aktualna walka przeciwko prawicowemu i 'lewicowemu' rewizjonizmowi, przeciwko nacjonalizmowi. Ideolodzy burżuazyjni i propaganda burżuazyjna stawiają mianowicie, w walce przeciwko socjalizmowi i prze-

ciwko ruchowi komunistycznemu, na nacjonalistyczne tendencje, w szczególności na te, które przybierają postać antysowiecką”.

Wypróbowaną metodą denuncjowania odmiennych przekonań („poprawiacze systemu socjalistycznego”) jako rezultatu propagandy burżuazyjnej i nacjonalizmu posługuje się szef partii w ataku na pewne grupy w partii:

„Bieg wydarzeń dowodzi jednak, że tacy ludzie obierają drogę walki także przeciwko komunistycznym partiom własnych krajów. Przykładem tego są renegaci typu Garaudy'ego we Francji, Fischera w Austrii i Petkowa w Wenezueli oraz aktywistów grupy 'Il Manifesto' we Włoszech. Walka z takimi elementami jest dla bratnich partii ważnym warunkiem dla umocnienia ich własnych szeregów”.

Do tego kompleksu spraw należą również stosunki między komunistami a socjaldemokratami. Breżniew uzala się, że „pracownicy przywódcy” twardo sprzeciwiają się wspólnemu frontowi z komunistami.

Nowe problemy — stare recepty

W Związku Sowieckim zaistniały dwa zasadniczo odmienne poglądy na dalszy rozwój gospodarki krajowej. Jednej grupie naukowców i ekspertów wystarcza stałe „udoskonalanie” istniejącego systemu zarządzania i uważają, że obowiązujący „socjalistyczny model społeczny” powinien bazować się na niekwestionowanych i nienaruszalnych „normach leninowskich” — co najmniej do chwili powstania społeczeństwa komunistycznego.

Druga grupa, która widzi konieczność dokonania głębokich reform całego systemu celem przystosowania go do nowoczesnych potrzeb, straciła w ostatnich latach wszelki wpływ na kształtowanie sowieckiej polityki gospodarczej, co nie oznacza jednak, że nie posiada już wcale zwolenników. Jeden z najlepszych znawców Sowietów, włoski komunista Giuseppe Boffa, mówi o tym w swej analizie kulis ostatniego zjazdu (*Rinascita*, 9. IV. 1971).

Także i tym razem była na zjeździe mowa wyłącznie o „doskonaleniu” istniejących systemów kierowania. Tu i ówdzie padły wprawdzie krytyczne uwagi, ale nie były one połączone z konstruktywnymi propozycjami, jak również nie wskazywały na źródła zła. Nie ujawniono przyczynowego związku tych braków ze stanowiącymi tabu zasadami i mechanizmami, które dziś obowiązują. Obecne kierownictwo pokazało raz jeszcze na zjeździe, że jest absolutnie niezdolne do przyznania że przestarzałe instytucje i mechanizmy kierowania nie mogą w obecnych warunkach funkcjonować. Tym silniej podkreślano więc znaczenie ściśle centralistycznego zarządzania gospodarką, a pominięto milczeniem całkowite niepowodzenie prób zapewnienia zakładom produkcyjnym przyznanej im w międzyczasie (1964) samodzielności.

Breżniew domagał się, żeby „ludzie pracy” poddani byli zwią-

zonej kontroli w przedsiębiorstwach. Pozbawione samodzielności przedsiębiorstwo nie posiada swobody decyzji, jego rozstrzygnięcia nie mogą więc w konsekwencji być poddawane kontroli. Istnieje tylko jedna forma kontroli. Jest ona — jak dumnie stwierdza partia — „wykonywana przez miliony kontrolerów”. Przy bliższym wejrzeniu okazuje się jednak, że „kontrola” ta działa w próżni. Żądania autonomii i samodzielności przedsiębiorstw stały na czołowym miejscu programu przedstawicieli reformy czechosłowackiej — dostateczny powód, aby ostrożnie traktować te sprawy w Moskwie... Najwyraźniej chciano za wszelką cenę uniknąć wrażenia, iż nauczono się czegokolwiek z „wydarzeń czechosłowackich”.

Natomiast ubiegłej zimy nauczono się czegoś z „polskich wydarzeń, co wyraziło się w pewnym podkreśleniu potrzeb konsumenta. Breżniew nie zamierza jednak kwestionować priorytetu ciężkiego przemysłu, gdyż to naraziłoby go na nieufność kół wojskowych. Wybrał więc kompromis, mający zadowolić każdego:

„Bez rozwijania ciężkiego przemysłu nie da się utrzymać zdolności obronnej, będącej gwarancją bezpieczeństwa naszej ojczyzny. W tej dziedzinie dokonano w ostatnich latach wielkich osiągnięć. Armia sowiecka jest dziś we wszystkich dziedzinach wyposażona zgodnie z wymogami nowoczesnej techniki wojskowej. Dalszy rozwój przemysłu zbrojeniowego oraz konkretny program jego rozbudowy zależeć będą w dużym stopniu od rozwoju sytuacji międzynarodowej”.

Pociechą dla zaniedbywanego od dziesiątków lat szarego obywatela miało być wreszcie stwierdzenie Breżniewa, że przemysł zbrojeniowy, dysponujący najnowocześnie wyposażonymi zakładami, już dziś 42 % swej produkcji przeznaczają na cele potrzeb cywilnych.

W nowej pięcioletce przewiduje się zwiększenie tempa produkcji towarów konsumpcyjnych (grupa B). Tempo to będzie po raz pierwszy w Związku Sowieckim wyższe od tempa produkcji przemysłu ciężkiego (grupa A). Projekty te brzmią jednak nieprzekonywująco, gdyż na odcinku przemysłu konsumpcyjnego i w ogóle lekkiego istnieją zaniedbania ciągnące się od czasu powstania ZSSR. Aby usunąć te niedomagania byłyby konieczne ogromne inwestycje, których nie widać oraz znacznie dłuższy okres czasu niż pięć lat.

Blokada rozwoju społecznego

Polityka Breżniewa jest bardzo podobna do polityki greckich pułkowników i wszystkich ustrojów faszystowskich i dyktatorskich: jeśli idzie o podniesienie stopy życiowej i załatwianie problemów socjalnych — tak; gdy chodzi o bardziej nowoczesną politykę kulturalną, zwłaszcza wobec literatury, oraz o politykę narodowościową, o poszerzenie zakresu swobód obywatelskich,

o poszanowanie praw ludzkich — *niet.* Jedynym kryterium obowiązującym także i w Związku Sowieckim na tym odcinku jest *Ordnung* za wszelką cenę.

Zarówno Breżniew, jak i uczestnicy dyskusji zjazdowej, zrezygnowali z wyliczania nazwisk opozycyjnych pisarzy i intelektualistów, ale ostrzeżenia Breżniewa zawierały nieukrywaną groźbę:

„Pisarze i inni twórcy stoją na jednym z najbardziej eksponowanych odcinków frontu walki ideologicznej. Partia i naród nie godziły się i nie będą się godziły z próbami — bez względu na to z jakiej strony pochodzą — stopienia naszego oręża ideologicznego i splamienia naszego sztandaru. Jeśli pisarz rzuca oszczerstwa na działalność sowiecką, pomaga naszym ideologicznym przeciwnikom walczącym z socjalizmem to zasługuje jedynie na jedno — na publiczną pogardę”.

Oczekiwany na najbliższe lata ostry kurs wobec pisarzy zarysował się wyraźnie na zjazdach partii w republikach związkowych. Zamierza się rozciągnąć silniejszą kontrolę nad związkami literatów celem zmuszenia ich, aby przejęły główną rolę w walce z pisarzami, którzy nie trzymają się linii partyjnej.

Sprawa młodzieży sowieckiej poruszana była na zjeździe kilkakrotnie, wyrażano się o niej z pewnym zaniepokojeniem, postępując się przy tym frazesami, których używał już Chruszczow. Była więc mowa o tym, że obecne młode pokolenie nie posiada dość hartu i należytej postawy ideologicznej, robiono młodzieży jakby zarzut z tego, że wyrasta w wygodniejszych warunkach. Obecne kierownictwo widzi skuteczną receptę w wychowaniu w duchu patriotycznym, względnie w duchu wojskowo-patriotycznym. Wysuwane są żądania uzdrowienia porządku publicznego, skuteczniejszej walki z chuliganerią, alkoholizmem itp. Kierownictwo partii nie uznało jednak za potrzebne choćby wspomnieć o konieczności usunięcia przyczyn panującego wśród młodzieży niezadowolenia. Nie było więc mowy o szarzyźnie dnia codziennego, o przesycie zatęchłym i zakłamanym purytywizmem, o stałym nierespektowaniu intymnego życia człowieka.

Toast Stalina z maja 1945 odżyty w roku 1971

W odróżnieniu od postalinowskich zjazdów partyjnych ostatni zjazd odznaczał się *silnym akcentowaniem momentów szowinistycznych*. Odnosi się to przede wszystkim do referatu sprawozdawczego Breżniewa, co jest wyraźną wskazówką jaki będzie kurs polityki wewnętrznej KPZS na najbliższe lata. Niejedno sformułowanie mogło zaskoczyć nawet pesymistę.

Breżniew w części swego referatu, poświęconej polityce narodowościowej, przypomniał, że niedawno republiki związkowe obchodziły pięćdziesiątolecie swego istnienia i powiedział m.in.:

„W utworzeniu, umocnieniu i rozwoju tego potężnego sojuszu równoprawnych narodów, które wkroczyły na drogę socjalizmu, odegrały rolę

wszystkie narody i narodowości naszego kraju, a przede wszystkim wielki naród rosyjski. Jego rewolucyjna energia, samozaparcie, umiłowanie pracy, głęboki internacjonalizm, jak najszustniej zjednały mu *szczerzy szacunek* wszystkich narodów naszej socjalistycznej ojczyzny”.

Było to o tyle zaskoczeniem, że od XX zjazdu (1956) nie należało już do dobrego tonu używanie pochwalnych frazesów o „wielkim narodzie rosyjskim” i „starszym bracie rosyjskim”. Przemawiając w ten sposób Breżniew dał innym mówcom sygnał do naśladowania go i dowiódł, że i w tej dziedzinie powraca się do tradycji obowiązujących przed dwudziestu laty.

Nie chodzi tu wcale o przypadkową zbieżność, ale o wyraźną demonstrację obowiązującego obecnie kursu polityki wewnętrznej. Wypowiedź szefa partii potwierdza zarazem jak bardzo „Breżniew i S-ka” oddalili się od marksistowskich kategorii myślenia i jak mało mają wspólnego z prawdziwym internacjonalizmem.

Czołowi przedstawiciele biurokracji partyjnej, podchwycili natychmiast ten ton i z widocznym zadowoleniem powrócili do żargonu, używanego na XIX zjeździe partii (1952). Nie było z pewnością przypadkiem, że właśnie jeden z najbardziej zaufanych faworytów Breżniewa — I sekretarz KC KP Kazachstanu, D. A. Kunajew — natychmiast do tego nawiązał. Kunajew wyliczając osiągnięcia narodu kazachskiego oświadczył:

„Wszystkie te sukcesy były możliwe dzięki stałej wzajemnej pomocy narodów naszego kraju, w pierwszym rzędzie zaś wielkiego narodu rosyjskiego”.

Pierwszy sekretarz KP Uzbekistanu — kraju sąsiadującego z Kazachstanem — S. R. Raszidow, przyznał Breżniewowi głębokie zrozumienie psychologii narodów sowieckich:

„Naród rosyjski jest starszym bratem i wiernym przyjacielem wszystkich narodów sowieckich. Zasłużył on sobie na ich gorącą miłość i głęboki szacunek. Narody naszego kraju stopiły się na zawsze w świętym związku z narodem rosyjskim. Nie ma siły, która byłaby zdolna rozerwać te potężne i niewzyciężone więzy”.

W tym stylu przemawiali również inni funkcjonariusze partyjni, głównie z republik środkowo-azjatyckich.

T. Uzubaliew, pierwszy sekretarz KC KP Kirgizji, w której Rosjanie stanowią szczególnie silną liczebnie grupę (w miastach zaś najliczniejszą) wygłosił najbardziej lizusowskie przemówienie. Licytował się on w pochwałach dla Breżniewa i żywo przytakiwał jego twierdzeniom:

„Nasze wielonarodowe państwo sowieckie jest wspaniałym przykładem internacjonalistycznej współpracy narodów. Ze szczególną wdzięcznością podkreślamy rolę wielkiego narodu rosyjskiego, jego bohaterkiej klasy robotniczej, prawdziwej przedstawicielki internacjonalizmu i braterstwa narodów”.

„Głęboki internacjonalizm, wielkie uzdolnienia, jasny umysł, wielkodusz-

ne serce, bezinteresowność, stała gotowość do ponoszenia ofiar, wspaniałość — oto wybitne cechy tego wielkiego narodu rosyjskiego, które przyniosły mu najwyższe uznanie wszystkich narodów sowieckich, a wśród nich także i kirgiskiego”.

Dla porównania przytoczmy tu odnośny fragment toastu Stalina, wygłoszonego 24 maja 1945 roku na przyjęciu wydanym na Kremlu dla dowództwa Armii Czerwonej:

„Piję przede wszystkim za zdrowie narodu rosyjskiego, ponieważ jest najwybitniejszym ze wszystkich narodów sowieckich.

Wnoszę toast za pomyślność narodu rosyjskiego, ponieważ zasłużył on sobie w tej wojnie na ogólne uznanie wszystkich narodów naszego kraju, jako wodząca siła Związku Sowieckiego.

Wnoszę toast za pomyślność narodu rosyjskiego nie tylko dlatego, że jest to naród produjący, ale i dlatego, że posiada on zdrowy rozum, silny charakter i wytrwałość”.

Niemal bez zmian w kierownictwie

Konserwatywne nastawienie kierownictwa partyjnego znalazło klasyczny wyraz w utrzymywaniu za wszelką cenę dotychczasowego składu naczelnych władz partii. Wszyscy dotychczasowi członkowie Politbiura zostali ponownie wybrani; z czterech nowych członków — trzech byli dotychczas zastępcami, zaś czwarty był sekretarzem KC. Wszyscy pozostali zastępcy zostali zatwierdzeni — tak więc kierownictwo partii pozostaje praktycznie w dotychczasowym składzie.

Sowiecka bezpieka reprezentowana jest w Politburze przez J. W. Andropowa w charakterze zastępcy członka, natomiast nie posiada swego reprezentanta armia. Rola wojskowych w obecnym systemie znacznie wzrosła w ostatnich latach, wzrosły także „międzynarodowe zobowiązania” sowieckich sił zbrojnych, co wyraziło się choćby w podniesieniu roli Paktu Warszawskiego. W tej sytuacji można było spodziewać się, że minister obrony, A. A. Greczko, dostąpi zaszczytu uczestniczenia w dobranym gronie członków Politbiura. Fakt, że tak się nie stało dowodzi, że obecne kierownictwo pragnie zapewnić monopol rządzenia przedstawicielom *establishment*'u partyjnego. Droga do stanowisk kierowniczych prowadzi dziś wyłącznie poprzez stopniowe wspinanie się po szczeblach drabiny partyjnej. Sukces na tej drodze zapewnia jedynie ściśle przestrzeganie biurokratycznych norm postępowania: rezygnacja ze sprzeciwu i krytyki, popieranie aktualnie „silnych” lub „wschodzących” ludzi w partii, umiejętność interpretowania uchwał i dyrektyw pochodzących z góry i transmitowania ich do podległych instancji. Awans Kulakowa do najwyższego gremium politycznego drugiej potęgi światowej jest tego klasycznym przykładem. Zdał on egzamin jako sekretarz KC i zdolny funkcjonariusz aparatu agrarnego, ale nie zdradził dotąd żadnych walorów intelektualnych.

Mechanizm rekrutowania kadr jest całkowicie skostniały, zmiany dopuszcza się jedynie w ramach własnych szeregów. Fakt ten jest dla państwa zagrożeniem i osłabianiem go w coraz większym stopniu.

XXIV zjazd KPZS zademonstrował głęboko zakorzoną nieufność do przedstawicieli młodej generacji; jeszcze bardziej ujawniło się to na zjazdach republik związkowych. A to oznacza zablokowanie dopływu nowej elity i musi w niedługim czasie wywołać kryzys w kierownictwie sowieckim.

Elitarno-biurokratyczne kierownictwo

Nowowybrany Komitet Centralny KPZS składa się z 241 członków (poprzednio 195), w tym 154 wybranych ponownie oraz 155 zastępców (poprzednio 165), w tym 71 ponownie wybranych.

Spośród członków KC: 95 — to funkcjonariusze partyjni, 78 — funkcjonariusze państwowi, 13 — dyplomaci, 20 — przedstawiciele wojska, 7 — naukowcy i twórcy, 2 — funkcjonariusze związków zawodowych. Bezpieka jest reprezentowana przez jednego tylko przedstawiciela. Poza tym w skład KC wchodzi 5 robotników i jeden kołchoźnik.

Spośród zastępców członków: 59 — to funkcjonariusze partyjni, 41 — funkcjonariusze państwowi, 3 — dyplomaci, 13 — wojskowi, 1 — KGB, 4 — funkcjonariusze związków zawodowych, 7 — naukowcy i twórcy, 1 robotnik i 2 kołchoźnicy.

Komitet Centralny ma więc charakter typowo elitarny, większość członków wchodzących w jego skład to różnego rodzaju funkcjonariusze; robotnicy i chłopcy są reprezentowani w niedostatecznym stopniu, to samo można powiedzieć o związkach zawodowych, komsomole i innych organizacjach masowych.

Większość członków KC robiła karierę jeszcze za życia Stalina.

Rozpatrując nowy KC pod kątem politycznym stwierdzić należy zaskakujące wzmocnienie pozycji Breżniewa; wynika to m.in. z faktu, że wszyscy pierwsi sekretarze organizacji partyjnej w obwodach i republikach są zdecydowanymi zwolennikami szefa partii.

Podkreślić należy prawie całkowite odsunięcie od władzy tzw. grupy Szelepina. Tak wybitny jej przedstawiciel, jak b. szef bezpieki, Semiczastny, nie wchodzi w skład KC. Odczytując listę członków nowego Politbiura Breżniew wymienił nazwisko Szelepina na szarym końcu, co również świadczy o osłabieniu jego pozycji. Dzienniki trzymają się ściśle porządku alfabetycznego przy publikowaniu nazwisk ludzi wchodzących do gremiów kierowniczych, natomiast podczas odczytywania tych nazwisk na zjeździe miarodajna była kolejność, wynikająca z ilości otrzymanych przez danego kandydata głosów. Szelepin znajdował się tu dopiero na 11 miejscu, dawniej zajmował lepszą pozycję.

Niektórzy eksperci słusznie określili XXIV zjazd jako zjazd blokady rozwojowych procesów społeczeństwa. Jedną z najbardziej uderzających cech obecnej sytuacji w Związku Sowieckim jest przeciwieństwo między konserwatywną warstwą rządzącej biurokracji a społeczeństwem, które z przyczyn obiektywnych zmienia się i unowocześnia. Między zjazdami XXIII-im i XXIV-ym lepsi przedstawiciele tego społeczeństwa wielokrotnie demonstrowali swoje postulaty i żądania. W całym świecie są znane nazwiska prof. Sacharowa, Iwana Dziuby, autora książki „Internacjonalizm czy rusyfikacja”, oraz różnych prześladowanych naukowców. W tymże okresie czasu odbyły się masowe demonstracje Tatarów krymskich, Żydów sowieckich, samopalenia się młodych, zaś różne grupy wewnątrz społeczeństwa ogłosiły swe programy polityczne. Społeczeństwo sowieckie nie chce dłużej żyć w narzuconym mu gorsecie.

Jak długo może utrzymać się jeszcze dotychczasowy stan rzeczy — na to pytanie nie potrafi nikt odpowiedzieć. Rządząca konserwa partyjna ma do dyspozycji potężne środki represji, które w ostatnich latach zostały silnie rozbudowane. Ale rośnie też przekonanie, że coś musi się zmienić. I to było jednym z powodów dla których na XXIV zjeździe konserwatyzm i dogmatyzm zostały silnie zaakcentowane.

Borys LEWICKYJ

Przeciw «normalizacji»

Czechosłowaccy „znormalizowani” politycy i propagandyści starają się wmówić w obywateli trzy poglądy. Pierwszy — że powszechne niezadowolenie z reżymu, którego wyrazem stała się eksplozja „praskiej wiosny” było tylko nieporozumieniem, natomiast ćwierćwiecze socjalistycznej Czechosłowacji ponoć było jednym pasmem szlachetnych uczynków, być może tylko z błahymi „wadami kosmetycznymi”. Drugi wmawiany dogmat, że próba wyjścia z głębokiego kryzysu poprzez demokratyzację systemu politycznego i radykalną reformę gospodarczą była „kontrrewolucją”, której celem było przywrócenie ustroju burżuazyjnego. Trzeci zaś, że wojskowa interwencja Moskwy była tylko „braterską pomocą” udzieloną czechosłowackim komunistom, którzy tylko w ten sposób mogli ustrzec kraj od katastrofy oraz utrwalić jego „suwerenność”.

Te „tezy” stały się podstawą propagandy już wiosną 1969 r., ale teraz proces indoktrynacji nasilił się. Indoktrynacja jest jednak dość kłopotliwa: z jednej strony ludzie w Czechosłowacji w żaden sposób nie chcą ani zapomnieć swych doświadczeń ani zrezygnować ze swych pragnień. Z drugiej zaś reżym Husaka

dysponuje tak nieznaczną częścią potencjału intelektualnego obydwu narodów, iż krzywa jakości propagandy znajduje się dużo poniżej linii skuteczności.

Czechosłowackie społeczeństwo z wielkim choć ukrytym zainteresowaniem powitało w 1970 roku dwie książki, które lepiej niż cokolwiek innego demaskują oficjalną propagandę. Mimo gorliwych konfiskat dokonywanych przez władze bezpieczeństwa, mimo niedostępności w księgarniach, książki te rozeszły się szybko po kraju. Okładka jednej udaje XIV tom dzieł Lenina, drugiej — „Przyczynek do historii Komunistycznej Partii Czechosłowacji w latach 1948-1968”.

Pierwsza zawiera szereg materiałów przedzjazdowych, protokół obrad zwołanego w ukryciu przed władzami okupacyjnymi w dniu 22 sierpnia 1968 roku XIV zjazdu KPCz, oraz niektóre dokumenty nowego KC i władz partyjnych.

Opublikowane dokumenty dowodzą, że zarówno urzeczywistnione jak i zamierzone reformy nosiły socjalistyczny charakter oraz, że reformistyczna, demokratyczna opozycja zdobyła na przełomie 1968 roku przewagę w partii komunistycznej. To zwycięstwo było fenomenem ówczesnego rozwoju i ten fenomen musiał być zniszczony. Zniszczenie to osiągnięto m.in. poprzez ekskomunikę niespełna pół miliona członków KPCz oraz wtrącenie delegatów zjazdu KPCz do politycznego niebytu. Co więcej, by odbudowany przy pomocy środków policyjno-biurokratycznych komunizm sowieckiej proweniencji mógł wytrzymać nacisk przysyłanych przesileni i burz, trzeba również wyrugować „wiosnę czechosłowacką” z ludzkiej pamięci¹.

Druga publikacja dokumentalna, krążąca po Czechosłowacji, zawiera sprawozdanie tzw. komisji Pillera. Sprawozdanie to jest bez wątpienia jedynym w swoim rodzaju dokumentem². Pod naciskiem czechosłowackiej opinii publicznej, zdecydował się KC KPCz w kwietniu 1968 roku powołać komisję do ponownego zbadania bezprawia końca lat czterdziestych i pierwszej połowy lat pięćdziesiątych. Zadaniem komisji było stwierdzenie źródeł prowokacji, określenie odpowiedzialności organów i osób oraz rozpatrzenie przebiegu tzw. rehabilitacji, która zaczęła się więcej niż dziesięć lat temu, ale ani nie była pełna ani konsekwentna. Komisja skupiła się na badaniu ośmiu głównych procesów politycznych z lat 1949-1954³.

Uwaga była skupiona tylko na procesach, w których oskarżeni byli komunistami a nie na tych, które były wymierzone przeciw-

1. W języku niemieckim dokumenty XIV zjazdu KPCz ukazały się już w 1969 roku pod tytułem *Panzer überrollen den Parteitag* z przedmową Jerzego Pelikana, b. dyrektora Telewizji Czechosłowackiej, w wydawnictwie Europa Verlag. Nieco później ukazały się tłumaczenia angielskie, francuskie i włoskie.

2. Wydanie niemieckie: *Das unterdrückte Dossier*, Europa Verlag, 1970, Wien.

3. Ośrodek antypaństwowy Slaňsky'ego i Clementisa, grupa Szvermovej, grupa słowackich burżuazyjnych nacjonalistów (Husak), grupa pracowników

ko byłem demokratycznym i socjalistycznym politykiem, wyższym duchownym itd. Ujawnione konteksty zmusiły jednak komisję do przekroczenia początkowo ustalonych ram i do zajęcia się co prawda niekonsekwentnie — całym kompleksem politycznych przesładowań po roku 1948.

Jak wiadomo, krótko po niszczącym hitlerowskim terrorze okupacyjnym, w Czechosłowacji — w kraju o starej tradycji poszanowania prawa i sprawiedliwości — nastąpiły lata powszechnych zbrodni policyjno-sądowych. Setki ludzi poszło na stracenie, dziesiątki tysięcy — do więzień lub do pracy przymusowej, skonstruowano najfantastyczniejsze oskarżenia, zmuszono ludzi przy pomocy średniowiecznych tortur, by przyznali się do czynów, które im się nawet przyśnić nie mogły. I nie tylko to. Wybór ofiar i zarzutów miał dowieść, że wszystkie siły, wszystkie prądy działające we współczesnym społeczeństwie Czechów i Słowaków, zarówno komunistyczne jak i niekomunistyczne są na tyle opalone przez przestępców i zdrajców, że tylko troskliwe „oko Stalina” dotychczas chroniło lud czechosłowacki przed skutkami jego własnej niepełności i będzie chronić nadal. Była to zbrodnicza próba niszczenia świadomości narodowej i wytworzenia atmosfery narodowej niepełności. Stalinowski terror w Czechosłowacji, wyraźniej może niż w innych państwach kształtującego się bloku był narzędziem satelityzacji.

Gdy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, głównie w wyniku rozwoju wydarzeń w Związku Sowieckim, rządy Novotnego były zmuszone przyznać, że w procesach zaszyły jakieś „nieporozumienia”, powołano tzw. komisję Baraka, ale skutek był tylko ten, że w 1956 roku ówczesny premier Sziroky bez żenady stwierdził, że w Czechosłowacji nie ma więźniów politycznych. Rok później Novotny potwierdził, że w wyniku „troskliwego zbadania” wyjaśniono, iż ponad 90 % wyroków jest zupełnie słusznych i prawomocnych, że szczególnie sprawa Slansky'ego już nikogo w kraju nie interesuje, że w więzieniach siedzą właściwie tylko „żydowscy, obcy narodowi kosmopolici” i że wyjdą oni za wolność jedynie w drodze łaski. Tak też później się stało. Zwolnieni wegetowali jako „ułaskawieni zbrodniarze”.

Barak, który miał lepsze rozeznanie w tej „otchłani zgrozy”, rezerwował swoje wiadomości do walki o władzę przeciwko Novotnemu — odpowiedzialność tego ostatniego za rozwój wydarzeń od 1951 roku była bezsporna. Barak został w 1961 roku aresztowany przez Novotnego i Sztrougala osobiście i skazany w wyniku przedziwnej rozprawy sądowej na karę więzienia. Jednocześnie wydano z partii wielką grupę intelektualistów, za to, że „dążyli do przedwczesnej rehabilitacji skazanych w procesach politycznych” (!).

bezpieczeństwa publicznego (Zavodny), tzw. wielka rada trockistowska, grupa ekonomistów, grupa wojskowa, grupa pracowników ministerstwa spraw zagranicznych (Goldstücker) oraz niektóre niezaszklakowane osoby (Srnkovsky, Pavel).

A mimo to, u progu lat sześćdziesiątych trzeba było powołać nową komisję rehabilitacyjną pod przewodnictwem Koldera, najbliższego współpracownika Novotnego. W toku prac Kolder spotkał się nawet z Chruszczowem. Pod naciskiem rozwoju wydarzeń niesposób było uniknąć stwierdzenia, że oskarżenia w procesach Slansky'ego i innych były jednym pasmem oszczerstw, niesposób było też stanąć na przeszkodzie częściowej rehabilitacji żyjących osób. Ale jednocześnie dokonano wyjątkowej perwersji, podsuwając niewinnie straconym nowe „winy” by móc uznać ich ewentualną rehabilitację za „niewskazaną”.

Mimo to, referat komisji Koldera, przedstawiony Komitetowi Centralnemu w 1963 roku, zawierał taki materiał faktyczny, że niewyciągnięcie zeń wniosków ustawiało w niesłychanie ostrym świetle całą rządzącą ekipę. Kolder sam zrozumiał w czym rzecz i dość szybko, choć ostrożnie, zwrócił się przeciw Novotnemu w przeświadczeniu, że zdoła zwalić na niego całą odpowiedzialność.

Jak w antycznym eposie nienaprawione zbrodnie wracały i jak bumerang uderzały w politycznie kierownictwo kraju. Głęboka gorycz z powodu nieustającego gwałcenia prawa, sprawiedliwości i poczucia człowieczeństwa była jednym z głównych czynników rodzących niezadowolenie, a po styczniu 1968 — dezaprobatę dla starego reżymu. Była też czynnikiem różnicującym zarówno kierownictwo partii jak i całą partię. W tej atmosferze rozpoczęła pracę wcześniej wzmiankowana „komisja Pillera”.

Zostały jej udostępnione wszystkie dotychczas ukrywane materiały z archiwum KC i ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tylko archiwa sowieckie były i dla niej ciągle niedostępne. Z komisją współpracowało wielu wybitnych czechosłowackich historyków i prawników. Tak w Moskwie jak i wśród czechosłowackich stalinowców praca komisji wywoływała od samego początku stan znacznego podrażnienia i obaw. Ujawniane przez komisję fakty były wiosną i latem 1968 roku jednym z głównych czynników rozbicia konserwatywnych elementów w partii oraz ich niezdolności do stawienia czoła ofensywie nowych sił w społeczeństwie i w partii.

Sprawozdanie komisji było w zasadzie gotowe jeszcze przed sierpniem 1968 roku a dyskusja nad nim — przypuszczano — wywarłaby zasadniczy wpływ na ocenę przeszłej i obecnej polityki partii oraz na skład nowowybranych władz.

Sprawozdanie ujawnia w sposób niedwuznaczny, że inicjatywa terroru policyjnego, sądowego i pozasądowego płynęła z Moskwy, skąd przyjeżdżali doradcy (Lichaczow, Bojarski, Makarow, Jesikow, Gałkin itd.), którzy często kierowali śledztwem, wybierali ofiary i koncyrowali wyroki. Demaskuje rolę Mikojana i rozkaz Stalina aresztowania Slansky'ego. Ujawnia również polityczną, a w niektórych przypadkach i karną, odpowiedzialność ludzi należących do kierownictwa partyjnego i państwowego, zwłaszcza Gottwalda, Zapotockiego, Novotnego, Szirokiego, Czepiczki, Bačilka i Kopeckiego. Sprawozdanie zawiera też dowody głębokiej

degeneracji ówczesnego partyjnego, państwowego a szczególnie policyjnego i prawniczego aparatu. Okazuje się, że naruszenia prawa i dokonane zbrodnie nie były tylko „błędami i wypaczeniami” poszczególnych osób lub grup, lecz konsekwencją całego systemu władzy stalinowskiej, to jest antydemokratycznego, wyłączonego spod kontroli reżymu dyktatury partyjno-policyjnej.

Komisja kontynuowała swą pracę jeszcze przez jakiś czas po wkroczeniu obcych wojsk. To spowodowało, że niektóre sformułowania stały się bardziej umiarkowane. Dubczek nie tracił nadziei, iż mimo wszystko będzie w stanie przedstawić je Komitetowi Centralnemu i wykorzystać do uderzenia w aktywizujących się ultrasów. Rzecz jasna, że moskiewska interpretacja „normalizacji” na nic takiego nie pozwoliła. Sprawozdanie utonęło w pancernej szafie pierwszego sekretarza. Wielu natomiast spośród tych których sprawozdanie kompromitowało, pojawiło się na scenie jako „internacjonalisci oraz marksisci-leninowcy”.

Ujawnienie sprawozdania i rozkolportowanie go w Czechosłowacji wywołało zarówno w Moskwie jak i w Pradze zrozumiałą irytację. Wymowa dokumentu rozbija zakłamaną interpretację przeszłości jako pasma „socjalistycznych sukcesów”. Sprawozdanie spełnia swą rolę mimo iż — należy zastrzec — jest uwarunkowane historycznymi warunkami, w których powstawało i bynajmniej nie jest jeszcze pełnym stwierdzeniem „jak to właściwie było”.

W dzisiejszej Czechosłowacji kłamstwo i fałszywe nie nabiorą walorów prawdy mimo że — identycznie jak kiedyś — uchwalane są na zjazdach partii komunistycznych.

Jan SEVER

(Przełożył Józef Lewandowski)

Pod pseudonimem Jan SEVER publikujemy wypowiedź jednego z czołowych działaczy czechosłowackiej wiosny, jednego z tych, którym konspiracyjny XIV zjazd KPCz w dniu 22 sierpnia 1968 roku powierzył kierownictwo walki o odzyskanie niepodległości i demokratyczny ustrój społeczny (*Redakcja*).

Kronika czeska

KILKA ZAPYTAŃ ARAGONA A PROPOS SAMOBÓJSTWA SYNA VITESLAVA NEZVALA

„Czy prawdą jest, że syn wielkiego poety czechosłowackiego, Viteslava Nezvala (który zmarł kilka lat temu i który był moim przyjacielem) popełnił niedawno samobójstwo, rzucając się z okna?” — zapytuje Louis Aragon w ostatnim numerze *Lettres Françaises*.

„Czy prawdą jest, że ten fakt, o którym nie było najmniejszej wzmianki w prasie obecnego rządu w Pradze, jest trzymany w tajemnicy?”

„Czy prawdą jest, że nieszczęśliwy chłopiec, którego do tego czynu doprowadziła sytuacja w jego ojczyźnie, zostawił list wyjaśniający powodu swego kroku, a który to list został zrzęcznie usunięty?”

„Czy prawdą jest, że w tym liście prosił, aby jego prochy zostały złożone obok grobowca jego ojca i że jego prośba nie została spełniona?”

„Czy prawdą jest że to mogło się zdarzyć w kraju socjalistycznym? I to w kraju Nezvala, piewcy komunistycznej przyszłości? Niczego bardziej sobie nie życzę, jak zaprzeczenia”.

(*Le Monde*, 12 maj 1971)

APEL EMIGRANTÓW

Edward Goldstücker, przewodniczący Związku pisarzy czechosłowackich w czasie „wiosny praskiej”, Jiri Pelikan, który w tymże okresie był dyrektorem naczelnym telewizji czechosłowackiej, Ota Sik, były wiceprzewodniczący Rady Państwa, Zdenek Hejzlar, były generalny dyrektor radia, Józef Pokstel, ekonomista i prawnik ogłosili apel, w którym stwierdzają niekompetencję mającego się odbyć w dniu 25 maja XIV zjazdu czechosłowackiej partii komunistycznej. Sygnatariusze apelu podkreślają, że zjazd ten nie reprezentuje całości partii komunistycznej, lecz tylko jedno ugrupowanie dokooptowane przez jej część, która po wykluczeniu pół miliona członków została uznana za odpowiadającą linii partyjnej.

Domagają się oni:

1. Wycofania z terytorium czechosłowackiego obcych sił zbrojnych.
2. Przywrócenia demokratycznych swobód obywatelskich.
3. Zaprzestania prześladowań politycznych, procesów, aresztowań itp.
4. Wolności badań naukowych i twórczości artystycznej.

W czasie konferencji prasowej pp. Pelikan i Goldstücker ujawnili przesładowania trwające obecnie w Czechosłowacji oraz fakt przygotowywania nowych procesów, w szczególności przeciwko Josefowi Pavelowi, byłemu ministrowi spraw wewnętrznych z 1968 roku.

Kraj

Ludowy zamek?...

„Nie ma Polaka w Kraju ani za granicą przeciwnego odbudowie Zamku” — pisze Londyńczyk w marcowym numerze *Kultury*. Może to i prawda, bowiem, jak zwykle u Polaków, czynnik emocjonalny przeważa, decyduje i bierze górę nad rozsądkiem. Ośmielam się jednak naświetlić ten temat z nieco odmiennego punktu widzenia, choć stanowi on poniekąd narodowe tabu.

W pierwszym powojennym piętnastoletiu tak jakoś dziwnie układała się hierarchia problemów budownictwa w Polsce, że sprawa odbudowy zabytków stała się pierwszoplanowa, dalsze miejsce zajmowało budownictwo obiektów biurowych i reprezentacyjnych, na szarym zaś końcu plasowało się budownictwo mieszkaniowe. Układ ten stoi w tak jaskrawej sprzeczności z logiką i zdrowym rozsądkiem, że musi budzić zdumienie — jest bowiem faktem bezspornym, iż jedynym kryterium stopnia ważności, w tym wypadku, powinno być *ustalenie możliwości realizacji w oparciu o najpilniejsze potrzeby społeczeństwa*. Należałoby zastanowić się skąd wzięło początek to nieporozumienie, te proporcjonalnie kolosalne fundusze w zniszczonym i ubogim kraju, to życzliwe przyjęcie ze strony pewnych sfer intelektualnych, ta cała atmosfera poparcia i przychylności... Mam wrażenie, że wynika to częściowo z naszych cech i ambicji narodowych, z chętnego powoływania się i oglądania na przeszłość, z tego, że ogromnie lubimy bicie w dzwony, przecinanie wstęg, pompę. Drugą przyczyną był zapewne niesławny okres soc-realizmu, kiedy to szereg utalentowanych architektów, nie znajdując żadnych możliwości w dziedzinie twórczej, zdecydowało się poświęcić zagadnieniom odbudowy zabytków. Zjawisko to uznać należy za nienormalne, bowiem konserwacją zabytków zajmują się historycy sztuki oraz nieliczni, specjalnie zamiłowani architekci, większość traktuje ją jak peryferyjną gałąź architektury i woli — co jest zrozumiałe — tworzyć. W tych warunkach doszło do nonsensu, nie tylko bowiem konserwowano istniejące obiekty zabytkowe, co jest sprawą naturalną i konieczną, lecz rozpoczęto na ogromną skalę re-

konstruowanie nieistniejących budynków, dzielnic, ba, nawet części miast! Tak powstała jedyna w swoim rodzaju, nie spotykana w żadnym cywilizowanym kraju, szalona *produkcja falsyfikatów zabytków architektury*, tworzenie nowych makiet dawnych dzieł. Z niefrasobliwym brakiem troski likwidowano istniejącą substancję zabytkową, rozbierano mury i fundamenty, wznosząc je potem od nowa. Następowoło *niszczenie autentyku*. I tak na Ziemiach Zachodnich rozbierało się autentyczne dzieła minionych epok dla „odzysku cegły”. W Nysie rozebrano np. 103 zabytkowe kamieniczki, a w Lubaniu zabytkowy kościół... (vide *Ochrona Zabytków* nr 1/57). A jak wyglądają niektóre celniejsze polskie realizacje pseudo-konserwatorskie w świetle faktów? Oto czołowe nieporozumienie — budowa barbakanu w Warszawie. Jak wiadomo, z XVI-wiecznego barbakanu zachowały się jedynie szczątkowe fragmenty, lecz otoczenie opieką szacownych resztek nie wystarczyło, postanowiono więc wybudować calusieńki nowy barbakan. Rozebrano wobec tego sąsiednie budynki, wykonano pracowity projekt nowej budowli na podstawie materiałów archiwalnych i wreszcie wzniesiono na 11 metrów wysoki rondel o grubości murów 2,40-2,65 m, z basztami i attyką. Trudno byłoby znaleźć jakiegokolwiek uzasadnienie gospodarcze czy urbanistyczne dla pilności i potrzeby tej realizacji. Fachowa prasa światowa miała z tego powodu wiele uciechy donosząc jak to zrujnowana Warszawa buduje za ciężkie pieniądze nowe mury obronne — zaś polska prasa z dumą podkreślała, że wśród nielicznych europejskich barbakanów my posiadamy aż dwa: w Krakowie i Warszawie. Zapominano jedynie dodawać, że warszawski barbakan dzierży inny rekord — oto jest on bezwzględnie najmłodszym barbakanem świata. Konkurs na uporządkowanie otoczenia Wawelu przyniósł m.in. pomysł całkowitej rekonstrukcji arsenału, bramy Grodzkiej i bastionu u podnóża Kurzej Stopki — nie do uwierzenia, że zamierzano to wszystko wykonać w Krakowie, tym samym Krakowie, który chlubi się dotychczas posiadaniem samym autentyków a nie falsyfikatów.

Powróćmy jednak do problemu, który wymagał aż uchwały sejmowej — odbudowy Zamku warszawskiego. Błąd leży już w tytule, nie ma tu bowiem mowy o „odbudowie”, lecz o budowie od podstaw nowego obiektu.

Zamek obecnie nie istnieje nawet w szczątkach, zachodzi więc potrzeba wykonania całkowicie nowej budowli, rekonstrukcja musi być prowadzona wyłącznie na podstawie materiałów ikonograficznych, archiwalnych i dokumentacji historycznej. Obiekt stanie się więc kolosalną makietą dawnej budowli. Nie ma żadnej logicznej podstawy racjonalnej i ekonomicznej dla konieczności tej budowy, bowiem oddanie Zamku na cele reprezentacyjne jest jego jedyną możliwą funkcją, a funkcja ta w skali potrzeb stolicy jest bardzo dalekoplanowa. Jeśli dalej wyobrazimy sobie koszt rekonstrukcji w przeliczeniu na izby mieszkalne, to w głowie nie chce się mieścić, że w naszych warunkach zdecydowano się jednak na rekonstrukcję. Musimy również jasno zdawać sobie spr-

wę z faktu, że Zamek jako budowla nie przedstawiał żadnych wartości architektonicznych nie tylko w skali europejskiej, ale nawet krajowej. Zdawał już sobie z tego sprawę światły Stanisław August — n.b. twórca znakomitych wnętrz Zamku — który marzył o jego zasadniczej przebudowie. A jednak my, dziś, decydujemy się na budowę tego wątpliwej artystycznie wartości obiektu, kosztem setek milionów złotych.

Ale nie być posądzonym o tendencyjne naświetlanie faktów, podam kilka przykładów ustosunkowania się do problemu rekonstrukcji zabytków przez kraje zachodnie.

Francja. — Zniszczenie miast północnych (Calais, Dunkierka, St.-Malo, St.-Lo) w 90 %, — 100 % w rejonach najintensywniejszej zabudowy; zrujnowane staromiejskie centra Pikardii, Szampanii... Zasadą, jaką przyjęto tam przy odbudowie zabytkowych dzielnic miejskich, była swobodna koncepcja architektoniczna, bez kopiowania wzorów przeszłości, poprawa stanu komunikacji, linii zabudowy i skali budownictwa, w niektórych tylko wypadkach w oparciu o tradycyjne materiały i zachowanie o ile możliwości historycznego układu urbanistycznego. Zabytek architektoniczny *najwyższej klasy* (zamki, katedry, itd.), o ile był zniszczony w *niewielkim stopniu*, odbudowywano przy zachowaniu umiaru w stosowaniu nowych środków wyrazu architektonicznego i z troską o zachowanie przewodniej roli w kompozycji urbanistycznej. Centra wielkomijskie odbudowywano zaś na wskroś modernistycznie, rezygnując świadomie z jakichkolwiek rekonstrukcji (Rouen, Beauvais, Caën, Le Havre, Toulon). Kontrast zachowanej architektury gotyku, renesansu czy baroku z modernizmem nie stanowi tu zgrzytu, daje się natomiast odczuć jako przyjemne zharmonizowanie zespołów dwu epok. Nowoczesne, czteropiętrowe bloki są udanym zestawieniem z masywem katedry w Rouen.

Holandia. — Przykładem postępowych poglądów na sprawę zabudowy zniszczonych dzielnic historycznych w miastach jest Rotterdam, które to miasto ogromnie ucierpiało w czasie wojny. Architekci holenderscy wykorzystując powstałe na skutek wyburzeń możliwości urbanistyczne zaprojektowali nowe obiekty handlowe, których architektura stała się osiągnięciem na skalę europejską. Pomiędzy kanałem a XV-wiecznym kościołem St. Laurentius (n.b. jedynym obiektem zabytkowym w Rotterdamie, który jest odbudowywany!) wzniesiono według projektu architektów van der Broek i Bakema modernistyczny dom handlowy Galeries Modernes. Sąsiedztwo tych budowli pozwala podziwiać piękno architektury dwu okresów historii, pokazane szczerze i bez zakłamań. Obok, przy starym ciągu handlowym Lijnbaan, stoi nowy blok magazynu „De Bijenkorf” z abstrakcyjną ogromną kompozycją rzeźbiarską.

Niemcy — Wielkie zniszczenia w Dortmund wykorzystano, by przebudować starą sieć komunikacyjną na nowoczesną i stwo-

żyć modernistyczne centrum wielkomijskie. W Berlinie zachodnim ciąg nowoczesnej architektury Kurfürstendamm i Handbergstrasse kończy się rzeźbiarskim akcentem — celowo nieodbudowywaną ruiną zbombardowanego kościoła. Przykładem zaś niemieckiej niefrasobliwości w traktowaniu obiektów zabytkowych jest fakt z Essen, gdzie po prostu wysadzono dynamitem XIX-wieczny kościół, gdyż zajmował miejsce przewidziane pod nowoprojektowane osiedle mieszkaniowe.

Anglia. — Średniowieczne Coventry uległo niemal całkowitemu zniszczeniu a wraz z nim centrum historycznego miasta — dzielnica Broadgate. Anglicy rozsądnie rezygnując z prób niepotrzebnej rekonstrukcji, stworzyli na placu Broadgate nowoczesne centrum, likwidując tym samym dawną, nieodpowiadającą dzisiejszym wymogom zabudowę i likwidując dawne korki komunikacyjne. Centrum handlowe placu otoczone z trzech stron przeszklonymi budynkami daje kompozycję wielkomijską o dużej ilości zieleni i ogrodów.

Konserwatorzy polscy wykazali, jak dotychczas, w większości wypadków brak zrozumienia najprostszyc potrzeb społecznych, brak umiaru i ostrożności; honorowani przez władzę, prasę i część społeczeństwa szli drogą największej łatwizny kosztem zmarnowanych bezpowrotnie możliwości i funduszy.

Konkludując — budowa Zamku warszawskiego jako zachcianka sentymentalnego milionera — tak, jako wysiłek zrujnowanego, ubogiego narodu — chyba nie!

Bogdan ADAMSKI

Kalifornia, kwiecień 1971 r.

Rzeczywistość Handlu Zagranicznego PRL

Zanim przystąpimy do tego tematu przypatrzmy się kilku cyfrom. One zawsze rzucają dużo światła na zagadnienie.

Do powyższych cyfr konieczny jest komentarz. Przy wielkich kolosach, jak USA czy ZSSR, wysokość obrotów w handlu zagranicznym na 1 mieszkańca nie odzwierciedla poziomu dobrobytu społeczeństwa, ale porównanie odnośnych danych dla USA i ZSSR mówi samo za siebie.

Znaczenie handlu zagranicznego dla gospodarki każdego kraju jest obecnie powszechnie uznawane, było zresztą doceniane

Kraj	Wielkość importu w \$ na 1 mieszkańca	Wielkość eksportu w \$ na 1 mieszkańca
Belgia i Luksemburg ..	1.097	1.130
Holandia	1.013	895
Szwajcaria	1.050	828
Szwecja	877	835
Dania	890	685
CSRS	262	261
Bułgaria	212	237
Polska	108	107
USA	195	212
ZSSR	48	52

Dane z polskiego Rocznika Statystycznego na rok 1970.

od lat nie tylko przez ludzi zajmujących się tym handlem. Nie trzeba podkreślać jak wielkie znaczenie miałyby handel zagraniczny dla gospodarki kraju tak zdewastowanego przez zawieruchę wojenną jak Polska. Czyż można było jednak postawić tę gospodarkę na zdrowych podstawach skoro handel zagraniczny traktowano w Polsce przez wiele, wiele lat jako coś pośredniego pomiędzy działalnością szpiegowską, a lichwą? Że w tym twierdzeniu nie ma słowa przesady wystarczy przejrzeć roczniki polskiej prasy z lat 1949-1955 i wyłuskać informacje o procesach gospodarczych. Były to niemal wyłącznie procesy pracowników handlu zagranicznego.

Można by było zarzucić, że malujemy rzeczywistość w specjalnie czarnych barwach, mówiąc wyłącznie o pierwszych latach powojennych. Niewątpliwie od tamtego okresu nastąpiły pewne zmiany, coraz częściej pojawiają się artykuły w prasie politycznej (*Trybuna Ludu*, 28. IV. 1971) i fachowej na temat handlu zagranicznego, coraz częściej słychać rozsądne rozważania nad istniejącymi niedomaganiem i sposobami ich usunięcia. Musimy lojalnie przypomnieć, że jednym z haseł wysuniętych po dojściu Gierka do władzy było hasło przekroczenia bariery 2 miliardów dolarów w polskim eksporcie. Więc przynajmniej w teorii wszystkim jest wiadomo, że sytuacja jest zła, że handel zagraniczny jest dziedziną, która wymaga przedsięwzięcia jak najszybszych kroków dla jego uzdrowienia.

Wbrew jednak pięknym i mądrym hasłom, głoszonym na użytek permanentnie ogłupianego społeczeństwa, sytuacja nie tylko się nie polepsza, ale kryzys pogłębia się w sposób widoczny. Nie są to słowa bez pokrycia i postaramy się je udowodnić kilkoma przykładami z ostatnich lat, jeżeli już nie miesięcy.

Rola handlu zagranicznego w gospodarce każdego kraju coraz bardziej rosła i stąd tendencja, obserwowana w ostatnim dziesięcioleciu, do tworzenia przy ambasadach poszczególnych krajów biur radców handlowych, względnie rozbudowywania personelu ambasad zajmującego się stosunkami gospodarczymi. Na tę

drogę wstąpiły takie kraje jak USA, Anglia, Francja i inne potęgi gospodarcze. Tymczasem Polska, która miała silnie rozbudowaną już w latach pięćdziesiątych siatkę biur radców handlowych, zdecydowała się na odwrót o 180 stopni. Dwa lata temu nastąpiła tak zwana integracja biur radców handlowych z ambasadami, połączona ze znacznym uszczupleniem uprawnień radców handlowych i zmniejszeniem personelu przeciętnie o połowę. Jak Polacy wpadli na tak „genialne” posunięcie? — zapytałby się ktoś nieobznajomiony z naszą rzeczywistością. Odpowiedź jest zdumiewająco prosta. W obliczu pogłębiającego się kryzysu płatniczego zaczęto na gwałt szukać oszczędności. Księgowi, którzy jak wiadomo rządzą Polską, obliczyli skrupulatnie, że operacja pod hasłem INTEGRACJA przyniesie rocznie 1 milion — słownie jeden — oszczędności na wydatkach dewizowych na utrzymanie biur radców handlowych. Że jednocześnie spowoduje zmniejszenie obrotów idących w dziesiątki milionów dolarów — o tym nikt nie pomyślał, a jeżeli nawet to zrobił, nie śmiał swego poglądu wyrazić, gdyż obowiązującą podówczas dyrektywą Biura Politycznego była oszczędność za wszelką cenę. Skutki nie dały długo na siebie czekać. Wielkość kontraktacji w pierwszym kwartale 1971 jest o wiele wiele milionów dolarów niższa niż w analogicznym kwartale roku ubiegłego. Ponad 90 % central handlu zagranicznego nie ma zapełnionego portfela zamówień na rok bieżący. Grozi katastrofa. Na tę sytuację złożyło się oczywiście i wiele innych przyczyn, o których jeszcze wspomnimy, ale integracja odegrała tu ważką rolę. Na tym tle doszło w ostatnim miesiącu do ostrych starć pomiędzy ministrem spraw zagranicznych Jędrzychowskim, a nowomianowanym ministrem handlu zagranicznego Olszewskim. Jedynym jaśniejszym momentem w tej całej sprawie jest fakt że takie starcia istnieją. Może wreszcie zacznie się podejmować decyzje nie pod dyktando dyktantów, zasiadających w polskim „Białym Domu”, tj. w gmachu Komitetu Centralnego.

Inny przykład. Kilka miesięcy temu „Węglukoks” zawarł bardzo korzystną transakcję sprzedając dużą partię węgla do Japonii, i to w dodatku na warunkach cif. Fachmani pracujący w transporcie twierdzą, że sprzedać chodliwy towar na warunkach fob, lub franco granica potrafi byle głupiec, nic więc dziwnego, że „Węglukoks” był z tej transakcji bardzo dumny. Ponieważ jednak nie ma róży bez kolców realizacja transakcji nie przebiegała bezboleśnie. Powód był zgoła prozaiczny. Po prostu Polska nie dysponowała w danym okresie odpowiednim tonażem na naszych statkach handlowych. Zaistniała konieczność z charterowania obcego tonażu. Ponieważ wartość transportu w tej transakcji wynosiła kilkaset tysięcy dolarów więc dobre, czy złe charterowanie stanowiło o różnicy idącej w dziesiątki tysięcy. „Polfracht” — nasze wielkie przedsiębiorstwo maklerskie — wziął się zżawo do dzieła i szybko ustalił, że dla wynegocjowania korzystnych warunków charteru konieczny jest kilkudniowy wyjazd do Norwegii, Holandii i Anglii. Koszt całej imprezy na tle ogólnej

wartości transportu był śmiesznie niski. Niewiele ponad dwa tysiące dolarów. W tym momencie nastąpiła katastrofa. Okazało się, że przedsiębiorstwo, legitymujące się obrotami sięgającymi setek milionów dolarów w stosunku rocznym, dysponuje funduszem na wyjazd w wysokości 250 dolarów — to nie żart — dwustu pięćdziesięciu dolarów rocznie. Nastąpiła ożywiona korespondencja pomiędzy różnymi ważnymi urzędami na różnych ważnych szczeblach, ale nikt nie widział konieczności przyznania „Polfrachtowi” funduszy koniecznych dla realizacji tej transakcji. Wreszcie „Węglokoks” przerażony, że kontrakt spali na panewce „skorygował” swoją kalkulację i przewidział te nieszczęsne dwa tysiące dolarów na wyjazd przedstawicieli naszego potężnego, nawet w skali światowej, przedsiębiorstwa maklerskiego.

Odosobniony fakt, ktoś powie. Służymy następnym. LOT od kilkunastu już lat korzysta z usług MOBILU przy zakupie benzyny dla naszych samolotów. Przeciętnie wydaje na ten cel ca 600.000 dolarów rocznie. Ceny benzyny są ruchome, dostawców jest coraz więcej, konkurencja się zaostrza i istnieje właściwy moment dla przeprowadzenia negocjacji, zmierzających albo do obniżenia ceny przez MOBIL, albo do wyszukania innego, tańszego dostawcy. Fachowcy twierdzą, że powinno się uzyskać oszczędność 10% przy rozsądnym rozegraniu tej partii. W tym jednak celu należy wysłać za granicę dobrego fachowca, doświadczonego negocjatora na kilka doświadczone dni. Koszt całej wyprawy wyniosłoby coś ze 200 dolarów. Suma wręcz śmieszna w porównaniu do zarobku 60.000 dolarów, który mogłaby podrożyć taka przyniesić. Nie uwierzą państwo, ale do tej pory trwa dyskusja czy pójść na takie ryzyko, a jeżeli już nawet — to z jakich funduszy pokryć koszty.

Warto by się obecnie zastanowić gdzie tkwi przyczyna permanentnego trwania tego przerażającego stanu rzeczy. Przyczyn jest kilka i o każdej należałoby powiedzieć kilka słów.

Osobiście wydaje się nam, że głównym powodem smutnej rzeczywistości w polskim handlu zagranicznym jest niemal dokładne wytrzebiecie ludzi, których na Zachodzie nazywa się wielkimi *businessmen*’ami. Trzebiono tych ludzi systematycznie i skutecznie. Zaczęło się od czystki w aparacie handlu zagranicznego w latach 1949-1951. W tym okresie, później zresztą także, podstawową kwalifikacją dla uzyskania poważnego stanowiska w handlu zagranicznym, a niemal niezbędną dla wyjazdu na placówkę zagraniczną był brak znajomości jakiegokolwiek języka obcego. Ludzie ze znajomością języków obcych byli uważani *a priori* za nieuleczalnie zarażonych poglądami i nawykami kapitalistycznymi, jak to pięknie wyrażano w naszej terminologii, a stąd krok tylko dzielił do uznawania ich za wrogów ludu i ustroju, i to bez względu na zasługi położone przy odbudowie gospodarki z wojennych ruin.

Obecnie dominującą kwalifikacją jest przynależność partyjna, szczególnie przy wyznaczaniu personelu placówek zagranicznych.

Wraz z tępieniem dużej klasy fachowców, z natury rzeczy mu-

siało nastąpić znaczne obniżenie przeciętnego poziomu kwalifikacji ludzi zatrudnionych w resorcie handlu zagranicznego. Górę wzięli zupełni dyletanci, mianujący się opatrzościowymi mężami polskiego handlu zagranicznego. Znamy jednego takiego. Drobnym przedwojennym urzędnikiem pocztowy, szybko złapał wiatr w żagle, wstąpił do UB i został po krótkim przeszkoleniu skierowany do jednej z największych central handlu zagranicznego — CIECH’u, z zadaniem oczyszczenia jej z podejrzanych politycznie elementów. Robotę wykonał szybko i skutecznie. W nagrodę mianowano go w kilka lat później dyrektorem naczelnym „Minexu”. Kariere na kierowniczych stanowiskach zakończył stosunkowo szybko spiwszy się jak bela przy okazji wyjazdu do Egiptu i wywoławszy po pijanemu awanturę, którą do dzisiaj z łezką w oku wspomina personel hotelu, w którym się zatrzymał nasz pan dyrektor.

Równoległe z czystką następowały procesy pokazowe, których najwidoczniejszym skutkiem, odczuwalnym do dzisiaj, było wytworzenie atmosfery lęku przed podejmowaniem jakiegokolwiek ryzyka. Ten stan umysłów u dyrektorów central handlu zagranicznego utrwalił się do tego stopnia, że do dzisiaj wielu z nich podejmuje decyzje, podpisuje pisma i dokonywuje setek czynności zadając sobie jedno tylko pytanie: co na to powie kontrola? Czy można handlować mając za jedyne kryterium prowadzonej działalności przewidywany wynik kontroli? Na pewno nie. Co zaś potrafi kontrola niech zilustruje następujący przykład.

Kilka lat temu dokonywano kontroli w jednym z biur projektów, pracujących między innymi na eksport. Kontrolerzy natknęli się na dwie transakcje. Jedną z nich była sprzedaż dokumentacji technicznej na produkcję skuterów do Indii, drugą na produkcję amunicji myśliwskiej. W krótkim czasie kontrola obliczyła, że cena sprzedażna jednej formatki dokumentacji skutera wynosiła ca 2,5 dolara, a amunicji myśliwskiej ca 4,5 dolara. Nastąpiły drobne przesłuchania pod kątem: kto wziął łapówkę. Na nic nie pomagały argumenty, że sprzedając dokumentację na produkcję skuterów do kraju, w którym działała silna konkurencja największych firm motocyklowych świata jak Zundapp, Norton, NSU, Suzuki, konieczne było zaproponowanie ceny dumpingowej przy sprzedaży, aby wdrzeć się na rynek, tym bardziej że różnica w cenie została szybko wyrównana cenami dostaw towarowych. Na próżno zrozpaczeni dyrektorzy usiłowali wytłumaczyć, że przy transakcjach związanych z wojskiem osiąga się zawsze dużo wyższe ceny. Kontrolerzy byli nieublagani i żadnych tego rodzaju argumentów do wiadomości nie przyjmowali. Ich największym zmartwieniem był fakt, że zakończyli kontrolę nie zdoławszy wykryć tego, który, ich zdaniem, z pewnością dostał łapówkę za sprzedaż dokumentacji po tak niskiej cenie do Indii.

W Polsce nikt parający się handlem zagranicznym, jeżeli znajduje się przy zdrowych zmysłach, nie podejmie ryzyka. Wie, że gdyby się na to odważył, to niezależnie jak wielkie zyski jego decyzja mogłaby przynieść państwu nikt go za to nie pochwali, ani nie wynagrodzi. Jeżeli natomiast ryzyko nie wypali i nastąpią

straty, to więzienie ma niemal murowane. Dlatego właśnie Polacy usiłują handlować ze 110 % zabezpieczeniem przed stratami. Przy takim nastawieniu personelu od samej góry do szeregowych pracowników wyników oczywiście być nie może.

Jak nie włożysz nie wyjmiesz. Popularne to powiedzenie krążące jak Polska długa i szeroka jest całkowicie obce kierownictwu polskiego handlu zagranicznego. W dobie rosnących z miesiąca na miesiąc wydatków na akwizycję w wielkich koncernach światowych, polskim centralom handlu zagranicznego z roku na rok obcina się fundusz na wyjazdy akwizycyjne. Niektóre chodliwe towary, notowane na giełdach światowych, można oczywiście sprzedawać korespondencyjnie. Czym jednak towar jest bardziej złożony, tym silniej występuje konieczność kontaktu osobistego. Trudno bowiem założyć, aby kompletny obiekt wartości kilkunastu milionów dolarów ktokolwiek kupił bez szczegółowego zapoznania się z warunkami technicznymi, bez żmudnego przedyskutowania warunków płatności, czy harmonogramu dostaw. Środki na prowadzenie akwizycji, które przyznaje ministerstwo handlu zagranicznego, są zgoła humorystyczne. Jeden z dyrektorów „Metalexportu” wyraził się z końcem ubiegłego roku, gdy dowiedział się o limitach na wyjazdy zagraniczne, że dotychczas centrala handlowa obrabiarkami, obecnie będzie chyba tylko handlowała listami.

Centralistyczne planowanie i administracyjne dyrygowanie działalnością firm handlowych musi z założenia przynosić fatalne skutki. Gdyby centralom wyznaczano orientacyjny wskaźnik wysokości obrotów, pozostawiając wolną rękę w doborze środków niezbędnych dla ich osiągnięcia, i rozliczano per saldo z końcem roku to zaczarowana bariera 2 miliardów dolarów zostałaby zapewne przekroczone.

Momentów składających się na czarny obraz rzeczywistości polskiego handlu zagranicznego jest więcej. Niesposób je wszystkie omówić w jednym artykule. Wspomnijmy tylko, że należy do nich praktycznie brak jakichkolwiek bodźców zarówno dla przemysłu, jak i pracowników central handlu zagranicznego. Moment to tym ważniejszy, że w handlu zagranicznym, jak mało w której dziedzinie, indywidualna inicjatywa, rzutkość, odwaga, szybkość podejmowania decyzji mogą zdziałać cuda. Oczywiście człowiek odznaczający się tymi cechami wykorzysta je dla uzyskiwania coraz to lepszych rezultatów w swojej pracy, ale pod warunkiem, że znajdzie to wyraz w jego położeniu materialnym. Jeżeli natomiast widzi, że ktoś inny jest uposażony tak samo jak on, mimo dużo gorszych wyników w pracy, to bardzo szybko dochodzi do wniosku, że wysilać się nie potrzeba, że zaoszczędzoną energię należy wykorzystać przy pogoni za dodatkowymi pracami. „Czy się stoi, czy się leży dwa patyki się należy” — ten dwuwiersz jest przekleństwem naszego życia gospodarczego.

A gospodarka kadrami? Temat sam w sobie, o którym można pisać tomy. A usługi? Dlaczego niemal wszyscy zarabiają na nich

— tylko nie Polska? Przykłady składające się na to dlaczego jest tak źle można wyliczać godzinami.

Świadomość konieczności wyjścia z zaczarowanego kręgu skostniałych pojęć i nawyków zdaje się powoli torować drogę w zrutynizowanym do cna aparacie ministerstwa handlu zagranicznego. Pierwszą jaskółką było pismo, wystosowane do dyrektorów central handlu zagranicznego w styczniu br., proszące o sugestie co do zakresu zwiększenia uprawnień central w podejmowaniu decyzji dotychczas zastrzeżonych dla ministerstwa, co do usunięcia przepisów hamujących operatywną działalność central i co do redukcji lawiny sprawozdawczości, zbędnej z punktu widzenia jej użyteczności dla kierowania i zarządzania gospodarką.

Tylko radykalne przejście na prowadzenie działalności na prawdziwie handlowych zasadach pozwoli na uzyskanie wzrostu obrotów, warunkujących poprawę gospodarczą.

Ryszard SKALSKI

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-
CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSIŃĘ POLSKĄ RWE ZE
SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-
JOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.
MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS
GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamó-
wienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5.00, F. 25.00.

Sprawy i troski

Gdzie trawa jest zieleńsza...

Listów w odpowiedzi na mój artykuł o Division napłynęło mnóstwo. Pisali je ludzie z różnych środowisk, wypowiadając się najczęściej na tematy luźno tylko związane z zamieszczoną w *Kulturze*¹ publikacją, dając po prostu ulgę nie tyle swoim sądom, ile swoim emocjom. Gdybym miała te emocje podciągnąć pod jakiś wspólny mianownik, okazałyby się nim, trochę dziwna, nieco spaczona w sformułowaniu, ale niemniej rzetelna, troska o mnie. Wszyscy się o coś martwili. Ponieważ nowy emigrant na obczyźnie styka się na ogół z obojętnością i niemal równolegle do braku pieniędzy odczuwa brak tzw. przyjaznego zainteresowania, nic więc dziwnego, że mnie te listy napełniły czułością. *Głos Ludowy* trafił się na przykład całkiem serio, że jako nowy nabytek wywiadu amerykańskiego nie tylko mogę nie zdać egzaminu ze skuteczności swej publicystyki, ale mogę być także nie-dopłacana. Czy to nie rozbijające, taka troska o moją kieszeń? Nigdy nie wiadomo, gdzie się za człowiekiem ujmą prawdziwi przyjaciele. *Dziennik Związkowy*, dla odmiany, bardzo się niepokoił moim — jak to określono — zniknięciem z Chicago. Znikają zazwyczaj hochsztaplerzy lub tchórze, ale do takich rozróżnień językowych trzeba mieć dobrze opanowaną polszczyznę, a oni tam mają kłopoty z wyjściem poza podstawowy zasób dziesięciu tysięcy słów, więc bądźmy tolerancyjni, i tak się biedacy męczą bez specjalnych wyników.

Jednocześnie jakaś życzliwa dusza z tego samego rejonu Division, napisała zwięźle: ... „pani to dobrze, bo pani nie pracuje u Polaków. Pani tu spróbuje wrócić, to pani zobaczy!”...

Dzięki za ostrzeżenie, wrócić nie zamierzam, Boston jest uroczym miastem, jestem tu na skutek świadomego wyboru, Chica-

1. *Kultura* nr 1/280-2/281 (1971).

go uważam za architektoniczną ohydę, a klimat polonijny, za równie niezdrowy jak ongiś tereny objęte malarią. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek zostanie ukąszony i można stracić masę czasu na profilaktyczne opędzanie się.

Poza tym była cała masa innych listów, włącznie z ofertami matrymonialnymi, pochwałami, pogrózkami, jednym słowem tym wszystkim co na człowieka spada, kiedy napisze tzw. kontrowersyjny artykuł.

A teraz serio. Nie zamierzam bawić się w plotki ani indywidualne ataki. Informacji dotyczących działania mechanizmów poszczególnych polonijnych instytucji, włącznie z nazwiskami i cyframi, otrzymałam tyle, że gdybym chciała je wykorzystać choćby w nieznacznym stopniu, mogłoby się to przedłużyć na dobre kilkanaście następnych numerów *Kultury*, przy czym przedsiębiorczy rodak, który sprzedawał po dolarze odbitki mego pierwszego artykułu, zrobiłby na pewno małą fortunę. Działanie tego rodzaju nie miałoby sensu, głównie dlatego, że byłoby to zejście do poziomu moich oponentów.

Można oczywiście zostać mianowanym naczelnym redaktorem na skutek zasług poniesionych przy organizowaniu kampanii wyborczej dla polonijnego działacza, można nawet spełnić tego rodzaju powinności względnie prawidłowo, nie ma to jednak nic wspólnego z jakąkolwiek rangą dziennikarską, a o tym, że tak jest, świadczy najlepiej nieumiejętność prowadzenia merytorycznej dyskusji. Dyskusja taka wymaga odpowiedzi na kolejne, zasadnicze punkty ataku. Były nimi, dla przypomnienia: katastrofalnie słaby poziom prasy polonijnej i pod względem językowym i pod względem informacyjnym, zaciemnianie i fałszowanie relacji z wewnętrznej sytuacji amerykańskiej, z tendencją do ograniczonej, prawicowej interpretacji, niezdolność sprzeciwienia się subtelnym wpływom propagandy reżymu i popieranie wyjazdów do Polski, i wreszcie kontynuowanie najgorszej, wielu wieków wstecz sięgającej, tradycji prywaty — czyli pilnowania własnych, dobrze płatnych stanowisk, bez próby budowania politycznych czy kulturalnych programów, zdolnych wyciągnąć Polonię ze stagnacji, z nieposiadania własnego głosu na amerykańskim forum, które to czynniki sprawiają, że ta paromilionowa masa ludzka reprezentująca niemały potencjał ekonomiczny, jest jedną z najbardziej milczących i najbardziej lekceważonych mniejszości narodowych w Ameryce.

Żaden z tych punktów nie uzyskał należytej i wyczerpującej odpowiedzi. Ponieważ milczenie mogłoby być odnotowane przez Czytelników i nie tylko stać się żenujące, ale równoznaczne z przyznaniem się do jaskrawych zaniedbań i nieposiadania jakichkolwiek, choćby najbardziej mglistych planów w zakresie ich naprawy, sięgnięto więc do starej taktyki, prymitywnej, hałaśliwej, ale kojącej, bo zaspakającej najbardziej elementarne potrzeby w zakresie kompensacji zranionego ego. Jest to taktyka zamiany ewentualnej dziennikarskiej dyskusji na wykrzykiwanie

niby to rodzinnych plotek, zebranych szybciotko po kątach, wszystko w nadziei, że atakującego to przepłoszy. Pomyłka. Interesują mnie kolokwializmy językowe, potrafiłyby mnie zaciekać jakieś subtelności taktyczne ataku, zdolne do wykrycia jedynie na terenie getta mniejszości narodowej; by tak się jednak stało, muszą jednocześnie współistnieć inne elementy, jak: dowcip, wiarygodność, respektowanie reguł gry. Kiedy tego nie ma, rzecz zamienia się w taktykę chłopców z podwórka, albo pań z magła. Prawdopodobnie, gdyby to się działo w warszawskim maglu — a warszawski ludek znany jest z ciętego języka i szybkiego refleksu — pyskówka mogłaby być nawet interesująca. Niestety, Division dawno zostało już odcięte od autentycznych źródeł językowych, nawet w zakresie żargonu i brutalizmów, bardzo niewiele jest tam autentycznych warszawiaków, i między innymi dlatego rzecz wyszła płaska, wulgarna i niesmaczna. Nie warto by sobie w ogóle zwracać tym głowy, bo to jest tylko pełna dokumentacja mojej tezy o aintelektualizmie prasy polonijnej, gdyby nie parę drobnych insynuacji, które wymagają wyjaśnienia.

Insynuacja numer jeden, wyprodukowana przez *Dziennik Związkowy*, dotyczy moich rzekomych zachwyty nad kulturą w Polsce Ludowej. W tym miejscu *Dziennik* ten taktownie przypomina, że owa kultura znajduje się pod stałą opieką UB. Odpowiedź jest prosta. Nie zamierzam się w ramach tego artykułu wdawać w analizę osiągnięć kulturalnych PRL, ani przypominać ograniczeń jakich ta kultura tam doznaje, pragnę jednak powiedzieć jasno i wyraźnie, że w czasie mojej współpracy z wydawnictwami i pismami na terenie Polski, nigdy nie zdarzyło mi się spotkać z tak brutalną i nieetyczną propozycją, jaką uczyniono mi w Chicago. Była to oferta pisania artykułów wstępnych, które kto inny by firmował. Oferta ta uczyniona została podczas mojej drugiej wizyty w pewnej redakcji, zapewne w kontekście mojej ówczesnej sytuacji finansowej. Że poczułam niesmak, to powiedzieć mało. Apele więc pewnego dziennika, by nowoprzybyli zakasywali rękawy i brali się do roboty, są w świetle znanych mi faktów po prostu śmieszne.

Insynuacja numer drugi, da się sprowadzić do zarzutu nadmiernej i szybkiej amerykańskiej. Problem ten, istotnie aktualny, przewija się przez szereg listów, ale najbardziej drażni *Dziennik Związkowy*, w którym pisze się wręcz, że nowi emigranci stają się nawozem (to nie moja terminologia, ja nie mam dużych kontaktów z rolnictwem i nie wydaje mi się żeby stamtąd należało czerpać słownictwo do polemik), z którego to nawozu Polonia nie będzie miała pożytku. Sprawa jest w swej istocie bardzo prosta. Ktokolwiek przyjeżdża do USA jako człowiek dojrzały, mogący się wylegitymować pewnymi osiągnięciami zawodowymi, stara się jak najszybciej wejść w główny nurt owej słynnej, amerykańskiej *competition*. Jest to nie tylko objaw zdrowo reagującej psychiki, uruchamiającej wszystkie dostępne mechanizmy adaptacyjne, ale i zwykły przejaw zdrowego rozsądku. Tylko neurotyk i to neurotyk z tendencjami masochistycznymi, zaprojekto-

wałby swoją przyszłość w oparciu o środowisko znane z tendencji antyintelektualnych i konserwatywnych, środowisko świadomie izolujące się od głównego nurtu amerykańskiego życia kulturalnego, środowisko o niewielkim współczynniku głodu kulturalnego, głodu dającego się w pełni zaspokoić okresowym powtarzaniem przedwojennych żartów i patriotycznymi recytacjami na rzecz. Zawsze się znajdzie w takim kręgu parę pseudoliterackich figur, które niezdolne do pełnego wejścia w angielski, przerażone doszczętnie konkurencją — która istotnie jest duża, ale jest także stymulująca — do końca życia będą pełnić rolę nadwornych poetów czy prozaików, produkując co trzeba na kolejne rocznice, odgrzebuując zatarte ślady dawnej świetności, i tęskniąc, tęskniąc, tęskniąc. Ta tęsknota, niewątpliwie autentyczna i bolesna, będzie jedynym usprawiedliwieniem życia czy twórczości, w którym zabrakło podstawowego elementu odwagi.

Odwagą jest bowiem powiedzenie sobie, że za decyzją opuszczenia kraju, musi iść decyzja rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Dotyczy to w tym samym stopniu inżyniera co pisarza czy publicysty. Pełna integracja, pełne wejście w nurt amerykańskiego życia z wszystkimi jego subtelnościami, jest niezbędne, jest koniecznością, jeśli chce się czegokolwiek dokonać i cokolwiek być. Nie ma to nic wspólnego z wynarodowieniem, jest tylko zdrowym instynktem, który oby przejawiał się u jak największej ilości nowoprzybywających Polaków. Paradoksalnym dowodem, że górna część Polonii myśli tak samo, mogą być urządzane co jakiś czas bankiety, na których honoruje się wybitne osobistości polskiego pochodzenia, które jednak zdołały się sprawdzić w pełni na amerykańskiej skali osiągnięć zawodowych. Bywają tam nawet niekiedy małe skandale towarzyskie, kiedy laureat popchnięty impulsem szczerości, zaczyna wspominać trudne początki w ramach środowiska czysto polonijnego. Potem jednak, na szczęście, sentyment i wzruszenie biorą górę i przy ostatnim toaście wszyscy są zadowoleni. Jest jednak faktem, którego nie ma co ukrywać, że każdy kolejny laureat, na cześć którego urządzi się bankiet w Sherman Hotel, to ten, kto we właściwym punkcie swego życia umiał podjąć mądrą decyzję odejścia od polonijnego getta, polonijnych ambicji, polonijnej skali ocen, i zdobył się na decydujący krok przejścia na drugą stronę, gdzie nie tylko trawa jest zieleńsza i rzeki bystrzej płyną, ale gdzie czasem się zdarza — uwierzcie proszę — że ludzie ludziom, podają rękę. Osobiście, bardzo mi odpowiada ten duch amerykańskiej *competition*, która chociaż bezwzględna, wolna jest od małostkowości, która daje szansę, byle by się chciało ją wykorzystać, i która tępi taktyki chłopców z magła, choćby dlatego by podtrzymać czyste, sportowe reguły gry. Tym, którzy tak szczerze niepokoją się moją nieobecnością w Chicago, chcę donieść, że wiosna w Bostonie jest uroczą, pływają już żaglówki na Charles River, hippisi w Cambridge wyraźnie faworyzują rudy kolor dla swego uwłosienia, mam dużo pracy, bo dostałam *fellowship* na tutejszym uniwersytecie, a ponieważ nikt mnie już nie pyta z jakiego

kraju pochodzę, wnioskuję z tego, że mój akcent staje się coraz bardziej akcentem Nowej Anglii.

Przyjechałam niecały rok temu, więc to chyba nie jest złe.

Jolanta DWORZECKA

Boston, kwiecień 1971 r.

Polskie Liceum nad Marną

Dla rodziców, którzy się zastanawiają do jakiej szkoły średniej skierować swoje dzieci, mamy dobrą wiadomość.

W uroczej okolicy nad Marną, niedalej jak pół setki kilometrów od Paryża, w sąsiedztwie znanej siedziby O.O. Oblatów La Ferté sous Jouarre, osiedliło się polskie Liceum. Dzięki życzliwości biskupstwa w Meaux szkoła rozporządza posiadłością dawnego seminarium z obszernymi i wygodnymi pomieszczeniami, piękną kaplicą, rozległym parkiem, terenem sportowym itp.

Zgodnie z założeniami szkół europejskich i potrzebami emigracji dąży się w szkole do pełnej, polsko-francuskiej dwujęzyczności. Niemniej względ pedagogiczny i praktyczny daje mowie polskiej, łączącej młodzież przybyłą z różnych krajów, pierwszeństwo.

Istnieje możliwość wyboru między kierunkiem humanistycznym z łąciną lub technicznym z naciskiem na nauki ścisłe i podstawy technicznego ry-sunku.

We Francji matura szkoły daje wstęp na uniwersytety prywatne (kato-lickie) i na wyższe szkoły techniczne.

Począwszy od roku 1972, tych co tego sobie życzą, szkoła będzie też przedstawiać do państwowej matury francuskiej. Wyższe uczelnie innych krajów, gdzie nie istnieje centralistyczny system egzaminów dojrzałości (np. Hiszpania, Niemcy, Szwajcaria) honorują świadectwa maturalne szkoły, jeśli postępy ucznia w nauce języka danego kraju są dostateczne.

Szkoła przejęła aktywa Liceum w Les Ageux a także jego uczennice i uczniów. Odmłodzono dyrekcję i zespół nauczycielski, w którym stara gwardia profesorska współpracuje z młodszymi wychowankami uczelni pol-skich i obcych, głównie francuskich.

Nadzór naukowy sprawują: p. Zygmunt Markiewicz — profesor Uniwer-sytetu w Nancy i p. Jerzy Nomarski — kierownik naukowy Instytutu Optycz-nego w Paryżu.

Pieczę ogólną nad szkołą ma Rada Opiekuńcza pod przewodnictwem p. Mariana Czarneckiego — prezesa Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego z udziałem m.in. księdza prałata Z. Bernackiego — rektora Polskiej Misji Katolickiej która mianuje księdza, prefekta szkoły.

Wspomaga i troszczy się o szkołę Krajowe Towarzystwo Przyjaciół Liceum, we Francji z prof. Henri Mazeaud, w Niemczech z ks. kanonikiem Kiekiem na czele.

Szkoła współpracuje z innymi ośrodkami wychowania młodzieży, w szcze-gółności z Vandricourt ks.ks. Oblatów i z Seminarium na ulicy des Irlân-dais w Paryżu.

Na pewno ci wszyscy, którzy doceniają znaczenie wychowawcze rozwija-nia wartości zawartych w młodych sercach polskich, żywo zainteresują się tą placówką.

Dyrekcja serdecznie zaprasza Rodaków do odwiedzenia szkoły. Będą tam mieli możliwość przyjemnego spędzenia paru dni wolnych od pracy za skromną opłatą.

T. R.

Adres szkoły:

Lycée Polonais
77, St. Jean-Les Deux Jumeaux
Tel.: 435-90-22.

Dojazd:

Drogą N 3, kierunek — Chalons s/Marne, 9 km za Meaux.
Pociągami z Gare de L'Est kierunek Château-Thierry,
stacja Changis-St. Jean.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

Wybór artykułów czołowego publicysty „Kultury”.

Str. 224.

Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32)

TOM 196 — TADEUSZ NOWAKOWSKI

HAPPY - END

Powieść znanego pisarza na tle rzeczywistości Polski Ludowej.

Str. 208

Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32)

TOM 197 — SERIA „DOKUMENTY”

GŁOSY STAMTAŃ

ZSSR I PRL

(OD OPOZYCJI DO REWOLUCJI)

Materiały otrzymane z Kraju oraz tłumaczenia z „samizdatu”:
S. Zorina i N. Aleksiejewa *Czas nie czeka* oraz *Program Ruchu*
Demokratycznego w Związku Sowieckim. Wstęp Juliusza Mie-roszewskiego.

Str. 176.

Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32).

Kronika kulturalna

W stulecie Łesi Ukrainki

Na luty bieżącego roku przypadła setna rocznica urodzin pisarki ukraińskiej, która wydawała swoje utwory pod pseudonimem Łesi Ukrainki. Łarysa Kosaczówna (Kosacz) urodziła się 25 lutego 1871 roku, w Zwiąhlu — przemianowanym przez rząd carski na Nowogród Wołyński, co władze sowieckie utrzymały — i zmarła 19 lipca 1913 r.¹ w miejscowości Surumi, w Gruzji. Żyła zatem zaledwie czterdzieści dwa lata, ale w rozwoju piśmiennictwa ukraińskiego i świadomości narodowej odegrała ogromną rolę.

Pochodziła z rodziny ziemiańskiej, a zarazem inteligenckiej, o dużych tradycjach kulturalnych i wolnościowych. Jej matka, Olha, z domu Drahomanowa (1849-1930), była znaną literatką, pisującą pod pseudonimem Ołena Pczilka, prowadziła intensywną pracę oświatową, redagowała czasopisma, wydawała wartościowe prace etnograficzne, przekładała rosyjskich i polskich poetów, sama zresztą pisywała wiersze. Sowiecki historyk literatury określił jej postawę jako „burżuazyjno-liberalną”. Jej rodzona siostra, Ołena Drahomanowa, została zesłana w roku 1879 do guberni Ołonieckiej, za działalność rewolucyjną.

Starszy brat Olhy i Ołeny, a tym samym rodzony wuj Łesi Ukrainki, Mychajło Drahomanow (1841-1895), był wybitnym publicystą, krytykiem, działaczem społeczno-politycznym, i wywarł ogromny wpływ na inteligencję ukraińską końca XIX i początków XX stulecia. Młoda Łarysa wyrastała i dojrzewała umysłowo w atmosferze stałych zainteresowań społecznych i kulturalnych. Nic dziwnego, że zaczęła pisać bardzo wcześnie, bo w wieku zaledwie dziewięciu lat. Ze względu na zdrowie — jeszcze jako dziecko zapadła na gruźlicę — nie uczęszczała do szkół, ale otrzymała bardzo staranne wychowanie i wykształcenie domowe; mię-

1. Niektóre źródła podają datę 1 sierpnia. Niewątpliwie, chodzi o różnicę między starym, juliańskim, i nowym, gregoriańskim kalendarzem, którego w Rosji carskiej nie uznawano.

dzy innymi przedmiotami, opanowała w zupełności kilka języków zachodnioeuropejskich, nie licząc słowiańskich i klasycznych (łacina, greka).

Pierwszy jej wiersz ukazał się w druku, gdy miała trzynaście lat, w roku 1893 wyszedł pierwszy poetycki zbiór „Na skrzydłach pieśni” — tytuł wielce odpowiadający modzie literackiej owego okresu. Od razu zwróciła na siebie uwagę co najmniej doskonałym opanowaniem różnorodnych form wersyfikacyjnych. Nie była to na pewno poezja wysokiej klasy, choć na tle końca XIX wieku mogła się wydać czymś wyjątkowym. Liryka osobista, rzadko wychodząca poza najbardziej zewnętrzne i powierzchowne doznania, szlachetne, ale także powierzchowne społecznikostwo, wreszcie od czasu do czasu motywy ludowe — jakże to przypomina naszą Marię Konopnicką, i bodaj w nie najlepszym wydaniu.

Z Konopnicką łączyły Łesię Ukrainkę bardzo zbliżone poglądy. Dziś w Sowietach robi się z niej jeżeli nie komunistkę, to w każdym razie pisarkę bardzo zbliżoną do marksizmu i niemal prekursorkę bolszewizmu. To oczywisty fałsz i nadużycie. Łesia była raczej typem liberalnej pozytywistki i demokratki, naturalnie, także, jak wszyscy ówczesni intelektualiści, żywo interesującej się socjalizmem i wszystkimi rewolucyjnymi kierunkami. Od tego do komunizmu — droga bardzo daleka.

Była ukraińską nacjonalistką. Ale nie w tym ujemnym znaczeniu, jakie słowu „nacjonalizm” nadały późniejsze, a głównie nasze czasy. W mrocznej nocy carskiego ucisku, jaka w młodych latach Łesi Ukrainki zapadła nad Ukrainą, należała do tych, na razie nielicznych, którzy głosili *contra spem spero* i wzywali do odrodzenia historycznej świadomości narodowej, tyle raz przygłuszanej.

Sowieccy historycy literatury kładą nacisk na społeczne poglądy pisarki, usuwając w cień jej postawę narodowo-niepodległościową. Ujawniła się ona w sposób najmocniejszy i najbardziej jednoznaczny w krótkim utworze dramatycznym, pt. „Bojarzyni”. W utworze tym poetka wysunęła w drastycznej formie sprawę zasadniczego antagonizmu dwóch kultur: moskiewskiej i ukraińskiej (rzecz dzieje się w wieku XVII). „Bojarzyni” są przeważnie przemilczani, w sowieckich omówieniach twórczości Łesi Ukrainki najczęściej nawet nie wymieniani², i oczywiście nie ma mowy o wystawieniu tego dramatu na jakiegokolwiek scenie teatralnej dzisiejszej Ukrainy.

Znowu powtarzam opinię, którą może niejeden czytelnik ukraiński poczuje się boleśnie dotknięty: Łesia Ukrainka nie była poetką wybitną. Piękne myśli, szlachetne uczucia, sztuka wersyfikacyjna jeszcze nie decydują o wartości artystycznej. W najlepszym razie jest to odpowiednik już wspomnianej przed chwilą Marii Konopnickiej, czy innych poetek-społeczniczek tego i póź-

2. Vide „Antologia Ukraińskiej Poezji”, tom 2. Kijów — 1958. W nocie biblio-biograficznej o utworze „Bojarzyni” w ogóle nie ma żadnej wzmianki.

niejszego okresu, z Czylijką, Gabriellą Mistral na czele. To, że ta ostatnia otrzymała w roku 1945 Nagrodę Nobla, niczego, rzecz prosta, nie przesądza. W każdym razie nie jest to klasa Marii Pawlikowskiej, ani Anny Achmatowej, ani Mariny Cwietajewej, ani — wciąż obracam się w kole dobrych znajomych — Hiszpanki, Carmen Conde, czy Urugwajki, Juany de Ibarbourou.

Nie jest też, choć to uchodzi niemal za niewzruszony aksjomat, najwybitniejszą poetką ukraińską. Na pewno w liryce przewyższają ją Oksana Latyrynska — zresztą podobnie jak Łesia, wołyńska — i tragicznie zmarła w pełnym rozkwicie sił twórczych Ołena Teliha.

Swoją dużą pozycję Ukrainka zawdzięcza innemu rodzajowi literackiemu, mianowicie dramatowi. Gdyby żyła dłużej — dramaturg dojrzewa zazwyczaj wolniej od lirycznego poety — prawdopodobnie stworzyłaby dzieła dramatyczne wielkiej miary. A i to, co w tym rodzaju po niej zostało, przewyższa bezwzględnie lirykę i na ogół nieudane, dłuższe poematy epickie. „Leśna pieśń” staje godnie obok baśniowej części „Balladyny” Słowackiego, nie zawstydzi się ani „Zaczarowanego koła” Lucjana Rydla, utworu raczej niedocenionego, ani „Zatopionego dzwonu” Hauptmanna. I co najciekawsze, liryczne partie tej udramatyzowanej bajki, choćby owe końcówki: „Hraj-że, kochany, błahaju...!” — zdecydowanie wysuwają się swoim czystym liryzmem przed wiersze w zamierzeniu liryczne, do których poetka, łudząc się, przypisywała zapewne znacznie większe znaczenie.

Tu trudno mi się oprzeć pokusie niewielkiej dygresji. Łarysa Kosaczówna urodziła się w Zwiahlu, więc na Wołyniu północno-wschodnim, już przechodzącym w Polesie. W dzieciństwie mieszkała przez jakiś czas w Łucku i w rodzinnym majątku Kołodziażne, w kowelskim powiecie. Znam dobrze te strony i zachowuję ich pejzaż w zawsze czułej pamięci. „Leśna pieśń” powstała właśnie z tego pejzażu, choć napisana została znacznie później, już pod koniec krótkiego życia poetki. Słyszałem w tamtych stronach i także zapamiętałem ludową piosenkę wołyńską, raczej nie piosenkę — miłosny madrygał — jakże swoją stonowaną namiętnością i zarazem delikatnością uczuć pasującą do udramatyzowanej baśni Łesi Ukrainki. „Noczeńka temnaja, zoryńki jasnyje, wydno choć hołki zbyraj... wyjdyż, dywczynońko, pracoju zmorena, choc na chwytynoczku w haj!” — a potem czułe zakończenie: „Jaż tebe, myłaja, w niez u chatynoczku sam na rukach zanesu...”. To akurat taki sam ton liryczny jak w „Leśnej pieśni”. Jakiż czuły słuch miała malutka Łarysa, gdy przebywała w Łucku i Kołodziażnem! Właśnie z czułego słuchu i z zapadłego raz na zawsze w dziecienną pamięć pejzażu powstają takie czarodziejskie i czarujące utwory, jak „Leśna pieśń”.

Do Wołynia Ukrainka coraz to powracała wspomnieniami i tęsknotą. Ot, choćby taki wymowny fragment z dłuższego wiersza, „Dym”, powstałego w 1903, w San Remo, podczas jednego z licznych wyjazdów chorej poetki do Włoch:

„Dla nas w ojczystym kraju nawet dym
śłodczy tchnie...” Tak w myślach bez ustanku
te słowa powtarzałam, gdy ponowna podróż
mnie wolno unosiła ku Italii.

Przywidywały się dalekie wsie:
od pól dziewczęta idą rozśpiewane,
krzątają się gosposie niestrudzone,
chudobę zapędzając do obórek;
a gospodarze powracają z pracy,
z powagą i nie przyspieszając kroku,
w milczeniu patrzą na sinawy dym,
co snuje się ponad kominem niskim,
i myślą: „Już wieczera na nas czeka...”

Przywidywały się zroszone łąki
Wołynia ojczystego, czarny las
na widnokręgu i powolne mgły,
napływające jak bezszumne morze —
kto w polu, albo w lesie, niech się strzeże,
podstępna Zguba łątko go opadnie!

Młodzi parobcy żadnych trosk nie znają,
ze śpiewem konie prowadzą na nocleg.
Już suchy chrust zwałono na ognisko,
przyjemne ciepło, rojem skaczą iskry,
jak złote pszczoły, i płomienie tańczą...
„Chodźmyż i my na dym!”

Uprawiała swobodnie różnorodne formy rytmiczne i stroficzne, ale bardzo często pociągał ją surowy biały wiersz, zresztą prawie zawsze unerwiony wyraźnym, energicznym rytmem. Z największym bodaj powodzeniem stosowała go w utworach dramatycznych, choć i do nich wprowadzała niekiedy rymy, jak choćby w wymienionej już kilkakrotnie „Leśnej pieśni”.

Była pisarką świadomie zaangażowaną, traktowała swoje życie i twórczość jako czyn przede wszystkim obywatelski, jako nieustanną służbę swemu narodowi, a w pierwszej mierze jego warstwom społecznym, najbardziej upośledzonym. Zdobywała się na akcenty wyraźnie rewolucyjne, ale w gruncie rzeczy mieściła się w programie pozytywistycznym, z tą jednak istotną różnicą, w zestawieniu z wieloma innymi pisarzami, że obcą jej była rezygnacja z bezpośredniej walki.

Za bardzo typowy dla jej postawy wolno uznać wiersz, pochodzący z roku 1900 — Łesia miała wtedy 29 lat — a zawierający cały program poetycko-społeczny.

Gdzieście, słowa rozgłośne, przepadły bez śladu,
że mi bez was smutek oniemiał?
Jak rozlewy wiosenne spłynęliście ziemią,
po wąwozach, dolinach i jarach.

*Czemu dziś morską falą nie porwiecie się w górę,
nie skoczycie śmiało ku niebu,
aby troskę mej duszy swym hukiem zagłuszyć,
aby żal mój rozwiął się do reszty
w świście wichrów, przyptywie i burzy?*

*Nie po to, moje słowa, chowałam was,
nie po to krwią serca poitałam was,
byście sączyły się, jak płyn zatruty,
i spadały rdzą na ludzkie dusze.
Pragnęłam, słowa, tak wychować was,
byście były jak jasne promienie,
lotne iskry, gwiazdy latające,
jak błyskawic miecze ostro tnące!
Byście zamiast jęku, echa górskie budziły,
byście serca hartowały, miast ośłabiać,
byście były hymnem, nie kwileniem.
Uderzajcie, tnijcie, nawet zabijajcie,
byleście dżdżem jesiennym się nie stały.*

Bądźcie, słowa moje, płomieniem!

Na podstawie utworów tego rodzaju nie jest łatwo określić filiację polityczną pisarki. Powoływanie się na to, że czytała „Kapitał” Marksa, miewała osobiste kontakty z przedstawicielami ruchu rewolucyjnego, w roku 1901 przełożyła z polskiego znaną broszurę Samuela Dicksteina, „Kto z czego żyje”, albo, że podczas wyborów do Drugiej Dumy została przejściowo aresztowana przez carską policję, nie ma, oczywista, większego sensu. Młoda, inteligentna i utalentowana kobieta, z racji zarówno moralnych, jak emocjonalnych przeciwstawiająca się otaczającej ją rzeczywistości, musiała interesować się wszystkimi skrajnymi prądami społeczno-politycznymi, z marksizmem włącznie. Ale od tego do roli rzekomej prekursorki bolszewizmu bardzo daleko.

Gdy chodzi o kobietę piszącą, natychmiast budzi się — powiedzmy, jeśli nie u wszystkich, to u większości czytelników — ciekawość w stosunku do jej życia uczuciowego. Tym bardziej, gdy mamy do czynienia z poetką. Od Safony aż po nasze dni Eros znajduje się w samym centrum liryki kobiecej i rzadko kiedy udaje się jego postać zakamufłować.

Łarysa Kosaczówna, chora od dzieciństwa, nie mogła mieć życia normalnej kobiety: żony i matki. Przypomnijmy, że w owych czasach w ogóle nie wiedziano, co to jest gruźlica i skąd się bierze. Robertowi Kochowi udało się odkryć laseczniki dopiero w roku 1882. Leczenie? Stosunkowo niedawno przedtem stany gorączkowe starano się usuwać przy pomocy puszczenia krwi. W tak skuteczny sposób wyprawiono na tamten świat w szybkim tempie jedną z siostr Szopena. Następnie uwierzono, że można zwalczać straszliwą chorobę, wysyłając pacjentów do krajów o gorącym klimacie: południowe Włochy, Egipt, Krym, Kaukaz...

Młoda Łarysa dużo podróżowała, co przychodziło jej z coraz większym trudem, a w ostatnich latach prawie już nie rozstawała się z łożkiem. W tych warunkach wcześniej zjawiła się myśl o nieuchronnie zbliżającej się śmierci. Umiała zdobyć się na rezygnację i spokój, ale nie obce jej były także chwile buntu, bo ktoś w tym wieku pogodził się zbyt łatwo z przedwczesnym zgonem!

Życie intymne Łesi Ukrainki? Mało o tym wiem, a zdaje się, że najbardziej dociekliwy biograf niewiele mógłby dorzucić. Pozostają świadkowie w postaci wierszy. Także i w nich nie znajdziemy śladów, prowadzących ku efektownej anegdocie. Są natomiast akcenty, świadczące, że stać ją było na silne uczucie, ale gdy tylko się zjawiało, prawie zawsze potrafiła je ukryć w gęstym obłoku powstrzymywanej czułości. W parze z tym szła melancholia przemijania, świadomość, że tego rodzaju szczęście jest i po zostanie niedostępne.

Delikatny erotyzm przejawiał się chyba najdoskonalej w krótkim wierszu, nad którym poetka wypisała motto z Mickiewicza: „I znowu sobie zadaję pytanie: czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?”. Wiersz ten, ogłoszony drukiem dopiero po zgonie poetki, powstał, gdy miała dwadzieścia dwa lata.

*Nie, ja nie kocham! Nie pragnę, abys mnie nazwał swą żoną.
Pocałunki twe i objęcia nie zwiudują się nawet we śnie,
ani myślę, by zostać twą kochanką i narzeczoną;
często pytam siebie: czy kocham? — i odpowiadam, że nie!*

*A tylko, gdy siądę przy tobie, serce jak ptak trzepoce,
patrzę i nigdy mi nie dość i muszę spoglądać znów.
I chociaż się z tobą rozstanę, zapomnieć nie w mojej mocy
ani twej miłej postaci, ani łagodnych twych słów.*

*W myślach wciąż z tobą prowadzę rozmowy, ach, jakież ładne!
Oczy twe świecą, jak gwiazdy, w odległej, żalostnej mgle...
Och, przyjacielu, doprawdy, ja nie wiem, ani odgadnę —
gdybyś zapytał mnie: — Kochasz? — czy bym odparła, że nie!*

Nie była chyba urodziwa, jeśli sędzić z jedynej fotografii, jaką znam. Dość podobna do matki, mimo to urody Olhy Petriwny Kosacz-Drahomanowej nie odziedziczyła. Matka przeżyła poetkę o całe siedemnaście lat i zmarła w podeszłym wieku, już po osiemdziesiątce. Prawie do ostatniej chwili była czynna, pracując głównie w dziedzinie etnografii.

Na wspomnianej fotografii Łarysa Kosacz wygląda na jakieś dwadzieścia kilka lat, a więc zdjęcie jest z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Wysokie czoło, włosy podgarnięte do góry i z lekka zaczesane na uszy, jak to było w modzie w owym okresie. Głęboko osadzone, inteligentne oczy pod ładnie zarysowanymi brwiami, prosty nos, energicznie zaciśnięte usta. Nie trzeba być wielkim fizjonomistą, aby stwierdzić na podstawie tych ry-

sów zdecydowany charakter, silną wolę, może nawet upór, na pewno determinację. Urodziwa twarz? — nie, ale interesująca.



Jakże wypadnie ostateczna ocena? Na wstępie stwierdziłem, że Łesia Ukrainka odegrała ogromną rolę w rozwoju piśmiennictwa ukraińskiego i świadomości narodowej. To stwierdzenie jeszcze nie określa wartości jej dorobku. Nie zawsze wpływ myślowy i kulturalny pokrywa się w literaturze z poziomem artystycznym. Zdarzało się dość często i zdarza się nadal, że pisarz raczej raczej gra ogromną rolę, wybitny zaś zostaje przesunięty ku marginesom. Jaką rolę odegrał, jaki wpływ wywarł za życia Cyprian Norwid? Żadnej roli i żadnego wpływu! W innych literaturach znajdujemy identyczne, lub zbliżone sytuacje.

Mimo Szewczenki, mimo Kulisza, literatura ukraińska wciąż nie mogła wydostać się na szeroką drogę, ciągle przy tym spychana do przydrożnych rowów przez administrację i cenzurę rosyjską. Debiutancki tom wierszy Łesi Ukrainki ukazał się we Lwowie, bo w Kijowie ukazać się nie mógł; obowiązywał wówczas dekret z roku 1876, który zakazywał wydawania na terenie cesarstwa książek w mowie ukraińskiej, z wyjątkiem dokumentów historycznych, oraz tak zwanej „literatury popularnej”, jak np. kalendarzy, żywotów świętych, legend i bajek. Nawet tym wydawnictwom narzucano pisownię rosyjską, by w wymowie zbliżyć język ukraiński do rosyjskiego. Tym samym ukraińszczyzna została zepchnięta do poziomu podrzędnego dialektu, w jakim nie może powstać nic wartościowego literacko. دراкоńskie ograniczenia nieco zelżały po kilku latach, ale względna swoboda dla rozwoju narodowej kultury ukraińskiej nastąpiła dopiero po rewolucji 1905 roku.

Na przełomie dwóch stuleci poetka należała do tych nielicznych pisarzy ukraińskich, którzy (Iwan Franko przede wszystkim) literaturę swego narodu wyprowadzali z zaścianowości, z ludowego etnografizmu i prowincjonalizmu. Do wielu swych utworów dramatycznych wprowadziła tematykę i problematykę uniwersalną, w zakresie, w jakim śniło się mało komu z jej poprzedników.

Na utworach lirycznych, zwłaszcza pierwszego okresu, ciągle jeszcze ciążyły wszystkie ludowe „sliczności”: owe typowe zdrobnienia, różne „słowiczki” i „oczęta”, „serduszki” i „kwiatuszki”, „wietrzyki cichuteńkie” i „deszczyk drobnutki”, te „piosneczki”, płynące „wprost z serduszka” itd., itd. Ale było tego stosunkowo niezbyt wiele, w każdym razie nie tyle, co u innych współczesnych, a zbiegiem czasu coraz mniej.

Już po śmierci Ukrainki Mykoła Zerow rzucił hasło „Ad fontes” — do źródeł kultury i cywilizacji europejskiej; Łesia Ukrainka szła w takim samym kierunku, choć nigdy nie dała teoretycznego uzasadnienia tej tendencji. Wyrwać się z opłotków etnografizmu,

uczynić literaturę ukraińską jedną z europejskich i uniwersalnych — to było założenie i ambitny cel.

Ale do uniwersalizmu dochodzi się tylko wtedy, gdy się uprzednio uratowało własną narodową osobowość; w przeciwnym razie objawi się bezpłodne, więc nie ciekawe naśladownictwo. Właśnie o uratowanie tej osobowości chodziło, wraz z innymi, Łesi Ukraince. Więc śmiech pusty, i litość i trwoga chwytą czytelnika, gdy z opracowania literatury ukraińskiej, wydanego w Warszawie, w roku 1963, dowiaduje się, że poetka, „rozwijająca na gruncie literatury swego narodu najwyższą kulturę słowa, należała do wybitnych ukraińskich rewolucyjnych demokratów”. O niepodległości najwidoczniej w ogóle się jej nie śniło.

Wiersze Łesi Ukrainki, z wyjątkiem niektórych fragmentów, zawierających większy ładunek liryczny, należą raczej do historii literatury, a często tylko do bibliografii. Dramaty bronią się znacznie lepiej, a co do „Leśnej pieśni”, jestem skłonny wywróżyć jej długi żywot, a kto wie, może nawet nieśmiertelność.

Zasługi społeczno-kulturalne to osobny temat, jak również osiągnięcia w dziedzinie krytyki literackiej. Ukrainka znała dobrze kilka języków, orientowała się nie najgorzej we współczesnej literaturze europejskiej, potrafiła zdobywać się na własne oceny krytyczne. Pod względem politycznym ulegała licznym złudzeniom. Taka to było optymistyczna epoka. I co się tu dziwić młodej, schorowanej i rozegzaltowanej kobiecie, skoro takim samym złudzeniem ulegało tylu solidnych socjologów i doświadczonych polityków.

Bardzo żywo interesowała się polskimi sprawami i jej praca „Uwagi o najnowszej literaturze polskiej”, ogłoszona w roku 1901, narobiła ówczasem sporo hałasu. Był to zresztą okres, kiedy odradzająca się literatura ukraińska budziła żywe zainteresowanie wśród polskich pisarzy i działaczy społecznych, że wymienię Bolesława Limanowskiego, Aleksandra Świętochowskiego, Bolesława Wysłoucha, Elżbę Orzeszkową, Władysława Orkana, Jana Kasprowicza i wielu innych. Jeszcze było sporo ludzi dobrej woli z jednej i drugiej strony.

Jak wyglądałaby twórczość Łarysy Kosaczówny, gdyby urodziła się w wolnej i niepodległej ojczyźnie, i nie spadła na nią od najwcześniejszych lat troska społeczna i narodowa? Trudno na to odpowiedzieć. Być może, wrażliwa panienska pobałamuciałaby się bez większych konsekwencji, być może, jej powołanie literackie poszłoby inną, szerszą, zatem wygodniejszą i szczęśliwszą drogą. Ale tego rodzaju deliberacje mają akurat taką samą wartość, jak wróżenie z fusów, albo z kryształowej kuli.

Moim zdaniem, Łesia była urodzonym dramaturgiem, a jeżeli nie dała ze siebie znacznie więcej, to, po pierwsze, ze względu na przedwczesny zgon, po drugie, z braku konfrontacji ze sceną. Nie jestem całkowicie pewny, ale zdaje się, że żaden z dramatów Ukrainki nie został wystawiony za jej życia. Pod tym względem także podzieliła los swego nieszczęśliwego narodu.

Jakoś tak wypadło, że, pisząc o Łesi Ukraince, nie mogłem

pozbyć się ciągłych skojarzeń z osobą Marii Baszkircowej, malarzki i początkującej pisarki. Także umarła na gruźlicę, tyle że znacznie wcześniej, bo w wieku lat dwudziestu czterech. Jewhen Małaniuk kiedyś przekonująco udowodnił, że Baszkircewa była ukraińskiego pochodzenia, choć się do niego nigdy nie przyznała i uważała się za Rosjankę. Czy wytrzymała by w tej postawie, gdyby żyła dłużej?

Mamy przed sobą dwa przykłady do wyboru — każdemu wolno wybierać, który jego zdaniem jest bardziej typowy. Dwa przykłady — dwie poetki. Anna Horienko, bardziej znana jako Achmatowa, stała się poetką rosyjską, będąc pochodzenia ukraińskiego. Ołena Teliha, wychowana w rosyjszczyźnie prawie do dojrzałego wieku, stała się poetką ukraińską. Duch Boży tchnie, gdzie chce. Niekiedy nie chce, nie zwraca uwagi, ogłasza neutralność i wówczas działają inne czynniki.

Łarysa Kosaczówna nie wahała się ani chwili, choć w jej czasach decyzja na korzyść ukraińskości była niezmiernie trudna i pełna poświęcenia. Ale nie wahała się. *Contra spem spero*. — Spodziewam się, wbrew nadziei. Czy może lepiej byłoby przyjąć swobodniejszy wariant przekładu: — Wierzę, wbrew wszelkiej nadziei!

Więc nie spierajmy się o rangę literacką Łarysy Kosaczówny, zwanej Łesią Ukrainką. Niezależnie od tego, jak tę rangę określimy, ta schorowana dziewczyna, która nie zaznała szczęścia w życiu osobistym, stała się jednym z drogowskazów na historycznym szlaku ukraińskiego narodu. Dotychczas droga ta stale prowadziła od jednej Golgoty do drugiej. Ale nie bądźmy deterministami! Idźmy za poetką! *Contra spem spero!*

Józef ŁOBODOWSKI

2-gi Zjazd polskich naukowców w New Yorku

W dniach 23, 24 i 25 kwietnia odbył się, zorganizowany przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce na Uniwersytecie Columbia, zjazd uczonych amerykańskich pochodzenia polskiego. W zjeździe uczestniczyło około 500 naukowców przybyłych z 74 uniwersytetów amerykańskich, 11 uniwersytetów kanadyjskich oraz ponad 20 ośrodków naukowych. Ponadto obecnych było 3 naukowców z uczelni europejskich. W czasie zjazdu wygłoszono 140 referatów z zakresu 15 dyscyplin naukowych. Zjazd był drugą tego rodzaju imprezą w Stanach Zjednoczonych. Pierwszy — zwołany

został w 1966 roku. Przewodniczącymi poszczególnych sekcji byli następujący uczeni reprezentujący rozmaite uniwersytety amerykańskie:

architektura i sztuka — prof. Jerzy Sołtan; filozofia — prof. Henryk Hiż; geografia — prof. Bohdan Zaborski; ekonomia — prof. Andrzej Brzeski; historia — prof. Piotr Wandycz (w pierwszym dniu), prof. Waław Jędrzejewicz i prof. Tadeusz Romer (w drugim dniu), prof. Eugeniusz Kusielewicz (w trzecim dniu); literatura — prof. Wiktor Weintraub; matematyka i fizyka — prof. Stanisław Ulam; medycyna — prof. Tadeusz Danowski; nauki polityczne — prof. Janusz Zawodny; nauki ścisłe — prof. Henryk Koprowski; prawo — prof. Wienczyśław Wagner; psychologia — prof. Zygmunt Piotrowski; socjologia — prof. Alicja Iwańska; nauki techniczne — prof. Józef Kestin; teologia — ks. prof. Henryk D'Anjou.

Osobistym organizatorem zjazdu, działającym z ramienia Polskiego Instytutu Naukowego, którego dyrektorem Zarządu jest dr Jan Librach, był dr Damian Wandycz. Wydatnej pomocy w przygotowaniu Zjazdu udzielił Uniwersytet Columbia. Otwarcia Kongresu dokonał dr Damian Wandycz. Przemówienie powitalne wygłosili prof. Józef Rotschild, prof. Oskar Halecki oraz Alojzy Mazewski, przewodniczący Kongresu Polonii Amerykańskiej. Po sesji inauguracyjnej przewodnictwem Zjazdu objął prof. Stanisław Mrozowski, prezes Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Przewodniczącym sesji końcowej był dr Jan Librach.

Językiem obrad był angielski lub polski. Około 90 % referatów wygłoszono w języku angielskim. Posiedzenia naukowe zjazdu otwarte były dla wszystkich — w tej liczbie dla studentów Columbii jak również innych uniwersytetów nowojorskich. Do czynnego udziału w obradach zjazdu zaproszono również niewielką ilość uczonych, pochodzenia nie-polskiego ze względu na wagę niektórych referatów.

Na pytanie dlaczego odbył się zjazd naukowców amerykańskich polskiego pochodzenia — a nie, szwedzkiego, francuskiego, niemieckiego czy irlandzkiego, można by odpowiedzieć krótko, że w Polsce kongres, na którym w obrębie 15 dyscyplin ponad stu uczonych może wygłosić 140 referatów bez opiekuńczej kontroli Partii, jest nie do pomyślenia. Ale nie to oczywiście stanowiło rację Zjazdu. Nie było to sympozjum uczonych polskich na wygnaniu, ale kongres naukowców amerykańskich. Sens tego rodzaju imprezy należy wyjaśnić na tle zmian w strukturze emigracji polskiej w Ameryce w ciągu ostatniego ćwierćwiecza jak również w związku z rozwijającym się pluralizmem etniczno-narodowym Stanów Zjednoczonych.

Na pytanie, co to jest „Polonia Amerykańska”, 70 lat temu odpowiedź była łatwa. To byli Polacy, którzy przybyli tu z polskiej wsi, często po to, żeby do niej po latach wrócić; którzy podej-

mowali się najgorzej płatnych i niszczących fizycznie robót, którzy nie znając i nie ucząc się angielskiego, zapominali zwolna ojczyściej mowy, porozumiewając się nie tylko z tubylcami, ale nawet między sobą dziwacznym żargonem. Ludzie ci, jeśli nie byli analfabetami, czytali od czasu do czasu złe polskie gazety, pozostając pod duchową kuratelą mało światłych księży, dla których istniał jeden cel: utrzymanie swojej trzody poprzez konserwowanie jej polskości i katolicyzmu. Jaka to była „polskość” i jaki to był „katolicyzm” pozostawało to już najmniej ważną sprawą.

Polonia amerykańska — ta stara, o której pisała niedawno Jolanta Dworzecka, a jeszcze dawniej w warszawskiej *Kulturze* Wiesław Górnicki, nie zniknęła. Skurczyła się tylko liczebnie w porównaniu z latami przedwojennymi. Bez zasilającej ją dopływu emigracji zarobkowej, to jest takiej, która nie szuka awansu społecznego, ale najzwyczajszego w świecie — chleba, stara generacja stała się formacją szczątkową, zwolna wymierającą.

Po pierwszej fali emigracyjnej z końca XIX wieku, prawie wyłącznie chłopskiej, która już właściwie nie istnieje, przysłała następna, już nie tylko wiejska z lat dwudziestych. Ale i ta niewiele różniła się od pierwszej. Dopiero po drugiej wojnie światowej pojawiła się nowa fala o składzie socjalnym różnorodnym, ale w której grupa inteligencji stanowiła element dominujący. Niekoniecznie w sensie ilościowym, ale której nadawała ton, tworząc typ tzw. emigracji politycznej. Być może, że po 25 latach jej genealogia polityczna nie ma już takiego znaczenia jak dawniej, niemniej nie jest i nie może być zbyt bliska poprzednim emigracyjnym nawarstwieniom. Jest niemal historyczną regułą, że fale napływających emigracji w różnych okresach na tle odmiennych okoliczności historycznych i społecznych nie stapiają się ze sobą, ale żyją przegrodzone barierami. Czynniki etniczny nie okazuje się wówczas dostatecznym spoiwem, a animozje wynikające z odmiennej genealogii socjalnej i różnego bagażu intelektualno-obyczajowego, są silniejsze niż poczucie narodowej wspólnoty.

Ale to wszystko nie ma już teraz takiego znaczenia i wbrew dawnym racjom społecznym proces integracji etnicznej jest w toku. Przyczyny są w istocie bardzo proste i wynikają z pojawienia się nowych, niwelujących poprzednie różnice socjalne generacji. Wnuk polskiego rolnika z Galicji, który przybył tu pod koniec XIX wieku, szuka w społeczeństwie amerykańskim takiego samego awansu jak młody emigrant polityczny z późnych lat czterdziestych lub wczesnych pięćdziesiątych lub syn polskiego lekarza, naukowca, robotnika czy żołnierza, którzy znaleźli się w Ameryce w wyniku II Wojny Światowej. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Polonia amerykańska ma co najmniej od lat pięćdziesiątych normalną strukturę socjalną. Nie składa się już ani wyłącznie z ex-chłopów, wykonujących czarną robotę w kopalniach Pensylwanii czy fabrykach Detroit. Ani z samych farmerów — czy też robotników folwarcznych przesiedlonych z Galicji

do Wisconsin. Nade wszystko nie składa się z samych socjalnych „kopcuszków”. Miejsce w jej strukturze znajdują wszystkie zawody: od rolników poprzez robotników, drobnych kupców, nauczycieli, lekarzy, adwokatów aż do elity socjalnej jaką na całym świecie, a w Ameryce w szczególności, są naukowcy — ci naukowcy, którzy zjechali się na sympozjum zwołane przez Polski Instytut Naukowy na Uniwersytecie Columbia.

Racją więc Kongresu było uformowanie się wielowarstwowej społeczności polsko-amerykańskiej w Ameryce Północnej, która, w przeciwieństwie do innych grup etnicznych — Skandynawów, Niemców, Szkotów czy Irlandczyków, w swej dojrzałości socjalnej jest formacją młodą i której rzetelny wkład w dzieło nauki amerykańskiej i światowej wymagał zmanifestowania.

Czytelnikowi *Kultury* może się w tym miejscu nasunąć wątpliwość: czy ta „dojrzałość” społeczna amerykańsko-polskiej wspólnoty nie uczyniła ze słowa „Polonia” czystej fikcji — nazwy bez pokrycia?

Kto przysłuchiwał się rozmowom profesorów uczelni amerykańskich — uczestnikom zjazdu poza ścisłymi sesjami naukowymi, ten nie będzie miał wątpliwości. To był dokładnie ten sam język polski, którym posługują się współcześni nam inteligenci w Krakowie, Warszawie i Poznaniu. Panował on powszechnie w kuluarach Zjazdu i na wspólnym obiedzie, który zgromadził 500 uczestników. Ta sytuacja językowo-obyczajowa ma również za sobą racje, które wynikają już z procesów odbywających się w obrębie całej społeczności amerykańskiej — a mianowicie restytucji pluralizmu amerykańskiego. Stara teoria „tygla” (*melting pot*), w którym stapać się miały wszystkie grupy etniczne w jednolitą standaryzowaną „narodowość amerykańską”, nie zdała egzaminu. Ponadto nie okazała się tak bardzo potrzebną. Okazuje się, że można być dobrym Amerykaninem z zachowaniem własnego dziedzictwa etnicznego. Jeszcze 25 lat temu pytanie o pochodzenie narodowościowe mieszkańca Ameryki klasyfikowano jako nietakt. Chyba, że pytany należał do kategorii WASP (White, Anglo-Saxon, presbyterian) — bo tę grupę w stratyfikacji rasowo-etniczno-religijnej stawiano najwyżej. Obecnie, choć hierarchia ta całkowicie jeszcze nie zniknęła, bardzo już jednak skruszała. Dziadkowie czy nawet ojcowie z Europy Wschodniej lub Włoch czy z Bałkanów nie stanowią już „skazy” na pochodzeniu. Przyczyna prosta: potomkowie pielgrzymów z „Mayflowera” i ci, którzy nieco później od nich przybyli, zasilają wciąż jeszcze Amerykę politykami, których niedołęstwo i błędy oplątać musi nieraz cały naród bez względu na swe etniczne zaplecze. Natomiast uczonych — twórców rewolucji cybernetycznej, biochemików, mikrobiologów, konstruktorów, badaczy nuklearnych dostarczyła Ameryce w dużej mierze XX-wieczna Europa i to w wysokim procencie Europa Wschodnia. W pewnym więc sensie harmonia na gruncie amerykańskiej przynależności narodowej została przywrócona. Po pierwsze — poprzez zrównanie pochodzenia etnicznego, po drugie — poprzez tendencje do kultywowania, a przy-

najmniej zachowania tradycji narodów, z których Amerykanie się wywodzą. Patriotyczna Ameryka może pozostać wieloetniczna i nie musi ani przetapiać ani niwelować różnic genealogicznych. Nie musi dla „wykuwania” jedności ani przyodziewać swych obywateli w identyczne garniturki jak to czyni CHRL; ani tępić poczucia odrębności narodowej jak to czynią spadkobiercy leninowskiej „dumy narodowej Wielkorusów” w wykładni politycznej Breżniewa; ani pozbywać się fikcyjnych lub rzeczywistych mniejszości narodowych jak to praktykuje rząd PRL.

30 lat temu Polonia amerykańska miała swoich kilku historyków z niezupełnie prawdziwego zdarzenia, którzy pracowicie tworzyli legendy o nadludzkim niemal udziale Polaków w tworzeniu Ameryki. Kościuszko i Pułaski nie wystarczali. Trzeba było wygrzebać tajemniczego polskiego marynarza o hiszpańskim nazwisku z żałogi Kolumba. Trzeba było wyolbrzymić rolę Polaków w wojnie secesyjnej i to co gorsze — po obydwu stronach. Wreszcie — bezustannie łątać legendę o Janie z Kolna, który wprawdzie dał się w odkryciu Ameryki wyprzedzić Wikingom, ale zdystansował Kolumba, który, jak twierdzili niektórzy Polacy, był osobistością wyraźnie przereklamowaną.

Szczęśliwie dla amerykańskiej Polonii potrzeba legend już minęła. Ci, którzy pokazali nie tyle nauce amerykańskiej, ale nauce świata co potrafili i co potrafią, przybyli z małymi wyjątkami na Kongres w New Yorku. Lista ich jest długa. Nie ma potrzeby ich wszystkich wliczać. Wystarczy tylko przypomnieć nazwiska Ludwika Grossa, Hilarego Koprowskiego, Stanisława Mrozowskiego, Jerzego Sołtana, Stanisława Ulama, Alfreda Tarskiego, Wiktora Weintrauba i Antoniego Zygmunta.

Zbigniew BYRSKI

Działalność Bibliotek Polskich

BIBLIOTEKA POLSKA W PARYŻU

W gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu odbyło się 5. V. 71 doroczne zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Po sprawozdaniu z działalności Towarzystwa p. Irena Gałęzowska wygłosiła odczyt „Bunt i misja Młodej Polski”. Otworzono również wystawę „Malarze epoki Młodej Polski”.

BIBLIOTEKA POLSKA W LONDYNIE

Stan zbiorów Biblioteki Polskiej w Londynie przedstawia się następująco w dniu 31. XII. 1970:

Uporządkowane i udostępnione zbiory własne wynoszą po wycofaniu 2.572 t. przestarzałych angielskich książek technicznych:

71.782 dzieł (tytułów) druków polskich i Polski dotyczących,
2.410 skryptów (wydawnictw powielanych, objętych oddzielnymi inwentarzami),

413 rękopisów,

194 mapy,

821 nut,

107 płyt gramofonowych,

ok. 10.000 fotografii

oraz kolekcję czasopism, obejmującą ponad 2.000 tytułów, w tym około 300 otrzymywanych bieżąco.

Poza księgozbiorem skatalogowanym i ustawionym działowo Biblioteka posiada około 10.000 książek otrzymanych ostatnio z darów i wymiany, włączanych stopniowo do księgozbioru w miarę porządkowania po skatalogowaniu i wyłączeniu dubletów.

W skład zbiorów udostępnianych pracownikom naukowym na miejscu w Czytelni Naukowej wchodzi ponadto depozyty, z których najważniejszy, przekazany w roku 1963 przez Fundację z Brzezia Lanckorońskich, jest stale uzupełniany i obejmuje obecnie ponad 2.300 t. oraz cenną kolekcję grafiki, map i kilka rękopisów.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 199 — TOMASZ STALIŃSKI

CIEŃ W PIECZARZE

Nowa powieść autora książki „Widziane z góry”, tematem której jest inteligencja polska w kraju.

Str. 368

Cena F. 30 (dol. 6,00; £ 2,5)

TOM 200 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘTNASTY

Zawiera m.in.: Charles de Gaulle — *Bitwa o Wisłę*; *Co w rzeczywistości myślał gen. Weygand o bitwie o Warszawę*; gen. Sztymienko — *Powstanie Warszawskie*. ♦ PAMIĘCI HELENY RADLIŃSKIEJ — *Wspomnienia* M. Czapskiej, K. Bagińskiego, W. Pełczyńskiej, J. Hoffmana, A. Bogusławskiej, Z. Gulińskiej-Mondschein, J. Różankowskiej. ♦ POLEMIKI — KSIĄŻKI — LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 18,50 (dol. 4; £ 1,5)

Książki

Wspomnienia Nadzieży Mandelsztam

A przecież poeta to także człowiek, po prostu człowiek i powinno spotykać go to co najwyklesze, najpospolitsze, najbardziej charakterystyczne dla kraju i epoki, to co czyha na każdego z osobna i na wszystkich razem. Nie blask i groza indywidualnego losu, lecz zwyczajna droga „w ciżbie i zgiełku”.

Wospominanijs

Osipa Emiliewicza Mandelsztama to spotkało. Najwybitniejszy po Błoku liryk rosyjski przebył długą, *zwyczajną* drogę od niełaski politycznej w połowie lat 20-tych, poprzez aresztowanie, zesłanie i poniewierkę na „wolności” w połowie lat 30-tych, aż do ponownego aresztowania w 1938 roku i łagru pod Władywostokiem, gdzie dosięgnął go *dar* śmierci. Nadzieźdie Jakowlewnej Chazin-Mandelsztam, żonie poety („Czemuż u progu nowej ery, na samym początku bratobójczego dwudziestego wieku nazwano mnie Nadzieją?”) nie udało się odtworzyć jednolitej wersji ostatnich chwil autora „Wilczego cyklu”; znak zapytania przy dacie śmierci w podręcznikach literatury rosyjskiej (1938? 1939? 1940?) pozostanie na zawsze jako fakt historii tej literatury — i tej historii.

„Wiedziałam już, czym jest choroba pamięci... Była to cecha prawie wszystkich łagerników, jakich zdarzyło mi się początkowo spotykać — nie istniały dla nich daty ani upływ czasu, nie odgraniczali ściśle faktów, których byli świadkami, od obozowych legend. Miejsca, nazwy i przebieg wypadków splatały się w pamięci tych rozbitków w jeden kłęb, którego nie byłam w stanie rozplątać. Większość

* Nadzieźda Mandelsztam — *Wospominanijs*; Izdatielstwo imieni Czecowa, New York 1970, str. 429.

historii obozowych, tak jak mi się początkowo przedstawiały — to niepowiązany rejestr rozświetlonych chwil, w których opowiadający znajdował się na skraju zguby, a mimo to cudem ocalał życie. Obóz egzystencja rozpadła im się na takie błyski, odcinające w pamięci na dowód tego, że ratunek był niemożliwy, a jednak ludzka chęć życia jest tak silna, że potrafili je zachować. I mówiłam do siebie z przerażeniem, że wejdziemy w przyszłość bez ludzi, którzy potrafia dać świadectwo temu, czym była przeszłość. Utraciliśmy pamięć i na zewnątrz, i za koleczastymi drutami”.

Przerażenie nicością — próżnią, otwierającą się *poniżej* indywidualnej śmierci, czymś, co jest śmiercią człowieczeństwa — to jest ów „siódmy horyzont”, który ta książka otwiera: gdyby ktoś miał dość odwagi cywilnej, by oceniać ją w kategoriach tylko literackich. Nadzieźda Mandelsztam jest strażniczką rzeczywistości na zewnątrz drutów, w świecie niemniej chyba „innym” od tego, w którym zginął bez śladu Osip Emiliewicz, według własnego określenia „ostatni poeta helleńsko-chrześcijański” Rosji owych czasów. „Wspomnienia” są dziełem obowiązku: arcyludzkiego poczucia, że białe plamy na mapie czasu muszą być wypełnione, bo tylko w ten sposób człowiek przeciwstawia się nicości. Nie ma w nich nic „małostkowego” — w jakimkolwiek sensie mógłby ktoś użyć tego przymiotnika: to nie zwyczajny pamiętnik „wdowy po sławnym człowieku”, nie porachunki osobiste, nawet nie skarga skrzywdzonego człowieka. Ta mądra, wrażliwa kobieta była niewątpliwie z natury odległa od życiowych *mielocziej*, ale cierpienie nadało jej dystans i *spokój* Niobe, nie zmieniając równocześnie w kamień.

„Wszyscy odznaczamy się zadziwiającym opanowaniem. Potrafiliśmy przychodzić do pracy po nocnej rewizji i aresztowaniu bliskich i tam uśmiechać się jak zawsze. Należało się uśmiechać. Rządził nami instynkt samozachowawczy, lęk o bliskich oraz specjalny sowiecki kodeks „tego co wypada”. Przy drugim aresztowaniu syna Anna Andrejewna [Achmatowa] naruszyła ten kodeks: zawyla w obecności tych, którzy przyszli po Lewę. Poza tym wyjątkiem trzymała się dobrze i nawet założyła na pochwałę Surkowa: „Anna Andrejewna tak znakomicie zachowywała się w te lata...”. A niechby kto spróbował zachowywać się inaczej, mając tam zakładnika... Czy to przypadek, że prawie nikt nie naruszał reguł sowieckiej przyzwoitości? Natomiast O[sip] M[Mandelsztam] w ogóle ich nie przestrzegał. On wcale nie był opanowany. Kpił, krzyczał, walił w zamknięte drzwi, wściekał się i nie przestawał dziwić się temu, co się działo, aż do ostatniej chwili.

Obecnie moje opanowanie i samodyscyplina osłabły i piszę te strony, chociaż nam wyjaśniono, że tamte lata winno się wspominać umiejętnie. Jedyną dozwoloną formą tego rodzaju pamiętników jest wykazywanie, że człowiek w każdych warunkach pozostaje oddanym budowniczym komunizmu i potrafi odróżnić sprawę naczelną — nasz cel — od ubocznej: swego okaleczonego i podeptanego życia. O prawdopodobieństwie tej koncepcji nie zatroszczył się nikt: można się bez tego obejść...”.

A jednak... w jakiś sposób „koncepcja” Nadzieży, jej okaleczone i podeptane życie też podlegały podobnemu podziałowi: na rzecz główną — i wszystko inne. Rzeczą główną było ocalenie twórczości Osipa Mandelsztama. Wiatr nicości zagrażał nie tylko „po prostu człowiekowi”, lecz i jego poezji.

Poezja była zawsze sprawą naczelną, jej powstawanie nie podlegało kwestii („*A wiecie co bywa po takich wierszach? Przychodzi trzech... w mundurach...*”, powiedział przedstawiciel *Izwestii* Mandelsztamowi, przeczytawszy *Ja wiernuścia w moj gorod...*), nie było mowy o zmianie czy zahamowaniu twórczości ze względów bezpieczeństwa. Wiersze były koniecznością, *socznialis* — i Osip Mandelsztam musiał wyrecytować każdy nowopowstały utwór otoczeniu: i przyjaciółom, i Judaszom. „Pieśń bezinteresowna” była imperatywem kategoriycznym; ale nawet śmierć nie była w stanie zapewnić poezji przetrwania...

„Wiersze rozprzestrzeniały się z nieprawdopodobną szybkością, w dość wąskim, co prawda, kręgu. O. M. sądził, że jest to nawet sposobem ich ocalenia: 'Ludzie przechowują'. Mnie to nie zadowalało i czas pokazał, że miałam rację. Już wtedy zaczęłam robić odpisy i chować je. Upychałam je głównie w domu w różnych dziurach, ale zawsze oddawałam kilka egzemplarzy na przechowanie. W czasie rewizji w '34 roku widzieliśmy gdzie szukają, a już wtedy wiersze były zaszyte w poduszkę, wciśnięte w garnki i buty. Tam nie zajrzeli. Niestety, we wszystkich tych miejscach były tylko kopie, a i to niekompletne: nie można przecież rozpruć poduszki przy każdym nowym wierszu... Po przyjeździe do Woroneża wyjęłam z poduszki wiersze o Arioscie.

Woroneż był nowym etapem w życiu i nowym podejściem do kwestii przechowywania. Epoka idyllicznych poduszek kończyła się, a ja przecież jeszcze pamiętałam jak leciało pierze z żydowskich poduszek w czasie denikinowskich pogromów w Kijowie... Pamięć O. M. w dojrzałym wieku osłabła, przy tym myśmy już wiedzieli, że ginie ona wraz z człowiekiem, a cena życia spadała na naszej tajnej giełdzie z każdym dniem. Należało szukać ludzi, gotowych przechować rękopisy, lecz było takich coraz mniej. Stworzyłam sobie zawód: przez całe trzy woroneżskie lata przepisywałam poezje i rozdawałam je, ale nie miałam żadnego miejsca, w którym można je było naprawdę schować, z wyjątkiem u mego brata Zeni, a i on nie trzymał ich w domu”.

Cena życia spadała z podwójną szybkością: jako szansa i jako wola przetrwania. Tylko dzięki temu, że życie Nadzieży przekształciło się w służbę, nie uległa nawracającej pokusie jedyne go wyjścia z orwellowskiego świata Sowietów lat 30-tych: w samobójczą śmierć. Z początku, gdy koszmar dopiero narastał, mąż zbywał ją poiurytowanym: „A skąd ci się ubrdało, że powinnaś być szczęśliwa?!” — dopóki sam nie uległ torturze czekania na „ołowiany groszek”, który — wiedział to od początku — nie

mógł ominąć autora wiersza na temat *duszegubca i muzikoborca* — Stalina; („Kiedy myślę o nim — powiedział kiedyś do Nadzieży — widzę przed sobą głowy, góry głów. Co on robi z tymi głowami?”). Role odwróciły się: teraz żona starała się powstrzymać poetę od ucieczki w śmierć. Po raz pierwszy na początku zesłania, w nadkamskim miasteczku Czerdyni — Osip zdołał wyskoczyć oknem, lecz tylko złamał sobie rękę; po raz drugi w Moskwie, na krótko przed ponownym aresztowaniem:

„Przebudziwszy się zobaczyłam go stojącego pod ścianą, w nogach łóżka, z odrzuconą do tyłu głową i rozłożonymi rękami. 'Co ci?' — spytałam. Wskazał otwarte okno: 'Czy nie czas?... Chodź... Póki jesteśmy razem...' Odparłam: 'Poczekajmy' — a on nie upierał się. Czy dobrze zrobiłam? Przed iloma cierpieniami uchroniłabym jego i siebie...”.

„Wspomnienia” są kontynuacją służby.

„Gdy widzę książki rozmaitych Aragonów, pragnących pomóc swym krajom i nauczyć je żyć tak jak my, sądzę, że i ja powinienam opowiedzieć o swych doświadczeniach. Dla jakiej idei niezbędne było wysyłanie niekończących się pociągów z katorżnikami na Daleki Wschód, a wśród nich człowieka, który był mi drogi? O. M. zawsze mawiał, że u nas likwidują 'bezbłędnie': ginął nie tylko człowiek, ale i myśl”.

Te słowa nie są tylko sarkazmem. Nadziezie udało się ocalić prawie całą twórczość Osipa Mandelsztama (po dziś dzień nie wydaną w Związku Sowieckim, mimo formalnej „rehabilitacji” poety) i zapragnęła ocalić swoje doświadczenie. Jej książka — tak jak jej życie — jest tym, co wyraża rzymska sentencja (a Rzym i M. Śródziemne były dla autora „Rozmowy o Dantem” kolebką i źródłem ludzkiej cywilizacji *tout court*): *Navigare necesse est, vivere non est necesse*. Myśl, wiersz, doświadczenie — nawet straszne — to wszystko *ma* być zachowane, ponieważ ludzka (w odróżnieniu od nieludzkiej) cywilizacja jest kontynuacją, dziedzictwem. Zapytany kiedyś, czym jest akmeizm — przedewolucyjny kierunek poetycki, którego Mandelsztam był wraz z Gumiłowem współtwórcą i reprezentantem, Osip Emiliewicz odparł: „Troską o kulturę światową”. To troska, by nie uронić niczego z tego co *naprawdę* było, by nie dopuścić do zerwania jedności. „*Historii nie można zacząć* — pisał Mandelsztam we wczesnym studium o Czaadajewie. — *Nie ma w ogóle mowy o jej początku. Brak w tym dziedzictwa, jedności. Jedności nie można stworzyć, wymyślić, nie można się jej nauczyć. Tam gdzie jej nie ma, w najlepszym wypadku jest tylko „postęp”, nie historia, mechaniczny*

ruch wskazówki zegarka, a nie sakralny związek i następowanie wydarzeń po sobie".

Ta myśl nie była estetyczną abstrakcją — kiedy indziej Mandelsztam określił historię jako zbiór doświadczeń ludzkości, „drzewo wiadomości złego i dobrego”; i trudny optymizm Nadzieży („ostateczne zwycięstwo przypada zawsze dobru, nie złu”) kazał jej przechować „wiadomość złego” właśnie po to, by kiedyś mogły urodzić się dobre owoce. „*Milczenie jest prawdziwym przestępstwem przeciwko rodzajowi ludzkiemu*” — pada w pewnym momencie we „Wspomnieniach”. To też jej doświadczenie:

„Ludzie żyjący pod dykturą szybko poddają się poczuciu swej bezsilności i znajdują w nim pociechę i rozgrzeszenie bierności: w jaki sposób mój głos mógłby przeszkodzić w rozstrzeliwaniu?... to nie ode mnie zależy... ktoś będzie mnie słuchał...”. Tak mówili najlepsi spośród nas i obyczaj oglądania się na swą słabość doprowadził do tego, że każdy Dawid, idący z gołymi rękoma przeciw Goliatowi budził tylko zdumienie i wzruszenie ramionami. W takiej sytuacji znalazł się i Pasternak, kiedy w niebezpieczniejszym okresie odmówił podpisu pod listem pisarzy, aprobującym kolejne rozstrzelanie wrogów ludu... Oto dlaczego Goliaci z taką łatwością unicestwiali ostatnich Dawidów.

Wszyscy poszliśmy na kompromis: milczeliśmy mając nadzieję, że zabiją nie nas, lecz sąsiada. Nawet nie wiemy, kto spośród nas zabił, a kto tylko ratował się milczeniem”.

Lęk, że nie będzie świadków przebija w „Wspomnieniach” z równą siłą, co lęk o twórczość Osipa.

„Ludzi, dysponujących głosem, poddawano najokropniejszej ze wszystkich tortur: wrywano im języki, a pozostawionymi kikutami kazano ślać władzę. Nie daję się wykorzenić instynkt życia popychał ludzi ku tej formie samozniszczenia, po to tylko, by przedłużyć fizyczne istnienie. Ci, którzy się uratowali, okazali się równie martwi jak ci, co zginęli. Nie warto wymieniać ich imion, lecz spośród działających w tych latach roczników nie zachowali się nawet świadkowie. Ci, którzy się wtedy wplątali, już się nie wyplączą i nie powiedzą niczego kikutami swych języków. A było wśród nich wielu takich, którzy w innych warunkach znaleźliby swoją drogę i swój głos”.

Nadzieża: towarzyszka człowieka skazanego i sama napiętnowana *sudimost'ju*, pozbawiona domu, pracy, środków do życia, nieustannie zagrożona zagładą, nieustannie inwigilowana przez „widną i tajną” policję miała owe „inne warunki”. Pozostał świadek.



„Wspomnienia” zostały spisane ok. 1964 roku, ale dopiero niedawno dotarły na Zachód i zostały opublikowane. Uratowały

się nie tylko relacje o życiu poety, nie tylko „materiały biograficzne”, ale i klucz do zrozumienia wielu utworów, dane na temat ich historii, atmosfery w jakiej powstawały, opis środowiska, język, portrety przyjaciół i nieprzyjaciół, sformułowania (Osip o Katajewie: *W niem jest' nastajaszczij banditskij szik*), nawet złowieszczy, przypadkowy komunizm.

Trudno oprzeć się pokusie przytoczenia scenki, ilustrującej plagę „historyków sztuki w cywilu”, jak w kodzie Mandelsztamów nazywali się konfidenci. Było ich wiele kategorii; jedną stanowili „znawcy”:

„... najczęściej ludzie tego samego zawodu, koledzy, sąsiedzi... W domach resortowych sąsiad zawsze jest kolegą. Ci zjawiali się bez uprzedzenia telefonicznego, bez zapowiedzi spadali jak cegła na głowę, wskakiwali, można by rzec, 'po ogień'... Siedzieli długo, prowadzili rozmowy na tematy zawodowe, stosowali drobne prowokacje. Przyjmując takiego donosiela O. M. wymagał zawsze, żebym podała herbatę: 'Człowiek pracuje — trzeba herbaty'... Na to, żeby wśliznąć się do domu, uciekali się do drobnych podstępów. S. — ten-że B. — pojawił się u nas po raz pierwszy z opowieściami o Wschodzie — wywodzi się, jak twierdził, ze Środkowej Azji i sam uczęszczał do medresy. Na dowód swego 'orientalizmu' przyniósł niewielką figurkę jarmarcznego Buddy. Budda miał służyć jako dowód, że B., ten-że S., jest znawcą Wschodu i prawdziwym koneserem sztuki. W jaki sposób Budda miał łączyć się z Islamem i medresą, nie potrafilismy dojść. Wkrótce potem S. nie wytrzymał, narobił jakichś awantur i etat przy O. M. najwidoczniej się zwolnił, ponieważ ni z tego ni z owego zjawił się inny sąsiad, i na początek znajomości przyniósł ze sobą dokładnie takiego samego Buddę. Tym razem O. M. zdenerwował się: 'Znowu Budda! Dosyć! Wymyślcie coś innego!' — i przegnał niefortunnego zastępcę. Ten herbaty nie dostał”.

Działo się to przed pierwszym aresztowaniem, w okresie „względnie wegetatywnym”, jak to określała Anna Achmatowa, choć już dającym przedsmak tego co miało nadejść („Nam się zdaje, że wszystko idzie normalnie i życie toczy się dalej, ale to tylko dlatego, że tramwaje chodzą” — zauważył kiedyś Osip Emiliewicz).

Zasadnicza relacja (z licznymi ekskursami wstecz i w przyszłość, aż do lat 60-tych) obejmuje okres życia małżonków Mandelsztamów od pierwszego aresztowania w 1934, po którym poeta został skazany na 3 lata zesłania (Mandelsztamowie wybrali Woroneż), aż do ponownego aresztowania w nocy z 1 na 2 maja 1938, po którym Nadzieża już nigdy więcej męża nie ujrzała. Była to dla niej data pamiętna, bo — jak z bólem notuje — poznali się również 1 maja — 1919 roku. W tych ramach przebiega wstrząsająca opowieść o zesłaniu (*A w komnacie opalnego poeta diezurjat strach i muza w swoj czeriod...* — napisała w odnośnym się do tego okresu wierszu Achmatowa, najbliższa przy-

jaciółka Mandelsztamów), próbach odbudowania egzystencji, utracie moskiewskiego mieszkania, koczowniczym, nędzarskim życiu w miasteczkach „stuwiorstnej zony” wokół stolicy, do której powrót był zakazany ludziom z *sudimostju*. Najgorsze było to, że próby zlepiania skorupki rozbitego życia były podejmowane ze świadomością ich daremności. Aresztowany w 1934 roku Mandelsztam przyznał, że jest autorem wiersza *My żywiom, pod saboju nie czuja strany...*, skierowanym przeciw „kremłowskiemu góradowi” Stalinowi. Sprawa była gardłowa: i chociaż GPU otrzymało „od najwyższych instancji” instrukcję *izolirovat' no sochranit'* — czym tłumaczy się „łagodność” wyroku (pierwsza wersja przewidywała już wtedy 5 lat łagru) — ani sam Mandelsztam ani nikt w otoczeniu nie miał złudzeń, że ten gest Haruna al-Raszida nie daje trwałej gwarancji. Maszyna terroru rozpędzała się i za słowem *sochranit'* coraz wyraźniej dźwięczało niedopowiedziane *poka* — „na razie”. Jakikolwiek wątpliwości na ten temat rozwiązywał się w 1937, z nastaniem „jeżowszczyzny” — „Okazuje się, że byliśmy w łapach u humanistów” skomentował Osip Emiliewicz nagonkę prasową na obalonego Jagodę, któremu zarzucano, że „z łagrów zrobił kurorty”. A jednak — instynkt przetrwania nie wygasł.

„Myśmy też szukali ocalenia. Ludzie zawsze szukają ocalenia. Własnoręczne podpalanie swego stosu — to Wschód, a my jesteśmy mimo wszystko Europejczykami i nie chcemy rzucać się sami w ogień. Mieliśmy dwa plany ratunku — jeden mój, drugi — O. M. Oba miały jedną wspólną cechę — były absolutnie nie do zrealizowania.

Mój plan nazywał się 'krowa'. W naszym kraju, w którym wszystkie sposoby zdobywania chleba są znacjonalizowane, tzn. są w rękach państwa istnieją tylko dwie możliwości samodzielnego życia: żebractwo i krowa. Z żebractwa żyliśmy i było to nie do zniesienia. Od żebraków wszyscy uciekają i nikt nie chce dawać jałmużny, zwłaszcza, gdy własne środki materialne są też zdobywane jako łaska i jałmużna państwa... Niegdyś lud w Rosji litował się nad *nieszczęśliwymi* więźniami i katorżnikami, a inteligencja uważała za swój obowiązek wspierać zesłańców politycznych, ale to zanikło wraz z 'abstrakcyjnym humanizmem'. A ponadto ludzie się nas bali: byliśmy nie tylko żebrakami, ale i zadżumionymi. Bali się wszyscy siebie nawzajem — wszak nocą mogli przyjść po najprawomysłniejszego, który tylko co wydrukował w *Prawdzie* artykuł przeciwko 'wrogom ludu'. Za jednym aresztem szły łańcuskim następnym — krewni, znajomi, ten, którego telefon był zapisany w notiesie aresztowanego, ten z kim w ubiegłym roku spędził Sylwestra, ten, który obiecał, że przyjdzie, ale przestraszywszy się nie przyszedł na spotkanie... Ludzie bali się każdego kontaktu i każdej rozmowy, a tym bardziej bali się nas, których już musnęła dzuma. Miałam tylko jedno marzenie — zaszyć się w kącie i nikogo nie widzieć; i dlatego marzyłam o krowie. To ta sama 'ostatnia krowina' z narodniczej literatury, którą chłop, uwiązawszy za rogi postronkiem, prowadził na sprzedaż na targ. Dzięki osobliwościom naszej ekonomii na przestrzeni wielu lat było tak, że krowa potrafiła wyżywić rodzinę. W małych domkach gnieździły się mi-

liony rodzin, żyjących ze skrawka ziemi, dającego ziemniaki, ogórki, kapustę, buraki, marchew i cebulę — i z krowy. Część udoju szła na dokupienie siana, zawsze jednak zostawało dość mleka, by zabielić zupę. Krowa daje ludziom niezależność...

Krowa by nas uratowała, i wierzyłam, że potrafiłabym nauczyć się ją doić. Dalibyśmy nurka pod powierzchnię, roztopili się w tłumie, nie wychodzilibyśmy nigdy z domu, zaszyli w czterech ścianach... Ale domek i krowa wymagają ogromnych wkładów kapitału — i teraz mnie na to nie stać... Żeby roztopić się w tłumie, trzeba do niego należeć od urodzenia, trzeba dostać w spadku po jakiejś uschłej z głodu babce walącą się chałupkę z ciekącym dachem i splechówką ziemi, otoczony nadwierzonym płotem. Może w krajach kapitalistycznych znalazłby się dziwaczka, którzy by zebrali pieniądze na chłopską chałupę i krowę dla wygnanego poety, ale u nas to wykluczone. Organizowanie pomocy dla zesłańca i zbieranie nań pieniędzy jest przestępstwem, za które szybko można samemu trafić do łagru”.

Odważni — we „Wspomnieniach” padają najświetniejsze nazwiska literatury rosyjskiej: Achmatowa, Pasternak, wielu innych „tajnych inteligentów” — w miarę sił pomagali Mandelsztamom. I znów tragiczny szczegół: wdowa po poecie wspomina, że postarała się spłacić tę pomoc rozdając 5 000 rubli, które wypłacono jej jako „odszkodowanie”, po „rehabilitacji”.

Lektura „Wspomnień” nieodparcie przywodzi na myśl Sołżenicyna: dźwięczy w nich ten sam ton człowieczeństwa najwyższej próby, wymierzanie sprawiedliwości światu dokonuje się z tym samym namysłem i nierozmiękczonego zrozumieniem małości i wielkości ludzkiej duszy. Jest nawet pewne podobieństwo techniki pisarskiej: „Wspomnienia” są również „polifoniczne”, to znaczy: każda wprowadzona postać jest autonomicznym dramatem, nie statystą. Dotyczy to nawet przedmiotów. Opowieść Nadzieży o krowie przypomina ekskurs o walonkach pod koniec „Pierwszego kręgu” Sołżenicyna: posiadanie lub nieposiadanie walonek stanowiło dla wysyłanego do łagrów Północy więźnia sprawę życia i śmierci, zależała od tego jego postawa wobec władz, współwięźniów, własnego sumienia; człowiek posiadający walonki był jeszcze *człowiekiem*, ponieważ miał szanse przeżycia — człowiek bez nich był skazany: i wielu zamieniało się w prowadzone na śmierć zwierzęta...

Walonki, łyk mleka, grosze za jakąkolwiek pracę, metry kwadratowe *żitpłoszczadi*, wisząca nad głową śmierć *statystyczna* (*byłby czławiek, dieło najdiotsja*) — zbrodnia „przebudowy ludzkiej świadomości” dokonywała się „środkami przyrodzonymi”, niejako automatycznie, ogarniając wszystkich i wszystko. Świat opisany

we „Wspomnieniach” przypomina wnętrze chorego mózgu, oglądane od wewnątrz — ludzie w tym świecie żyjący byli sami częścią mechanizmu, ofiarami i równocześnie współsprawcami choroby.

„Zetknięcie się z irracjonalną siłą, irracjonalną nieuchronnością, irracjonalnym kosmosem głęboko zmieniło naszą psychikę. Wielu spośród nas uwierzyło w nieuchronność, a wielu innych w celowość tego co się działo. Wszystkich ogarnęło przekonanie, że nie ma innej drogi. Poczucie to wynikało z doświadczeń przeszłości, przecucia przyszłości i hipnozy teraźniejszości. Twierdzię, że wszyscy, miasto w większym stopniu niż wieś, znajdowaliśmy się w stanie zbliżonym do hipnotycznego snu. Nam naprawdę wmówiono, że weszliśmy w nową erę i że nie pozostaje nam nic innego, jak poddać się historycznej konieczności, która do tego jest tożsama z dążeniami najlepszych przedstawicieli ludzkości i bojowników o ludzkie szczęście. Głoszona doktryna determinizmu historycznego pozbawiła nas woli i niezależnego sądu. Tym, którzy jeszcze mieli wątpliwości śmiałyśmy się w oczy, doprowadzając do końca zadanie gazet: powtarzając sakramentalne formuły i wiadomości o kolejnych porachunkach — oto jak kończy się bierny opór! — i szukając usprawiedliwień dla tego, co istniało. Za główny argument służyło demaskowanie wszelkiej historii w czasie i przestrzeni: wszędzie jest tak samo, zawsze tak było, niczego innego oprócz przemocy i bezprawia ludzkość nie znała i nie zna. 'Wszędzie rozstrzelują, — powiedział do mnie L., młody fizyk. — U nas więcej? Cóż, postęp'... 'Zrozum, Nadiu, — przekonywał mnie L. E. — tam przecież też jest źle'... Wielu i teraz jeszcze nie rozumie jakościowej różnicy pomiędzy 'źle', a naszym 'siódmym horyzontem'.

W połowie lat dwudziestych, gdy słupek powietrza na ramionach zaczął ciążyć — w okresach fatalnych bywał cięższy od ołowiu — ludzie zaczęli nagle unikać wzajemnego kontaktu. Nie można było tego jeszcze wyjaśnić obawą przed konfidentami i donosami — w owym czasie nie zdążyliśmy jeszcze na dobre przesiąknąć strachem. Po prostu przyszła oniemiałość, wystąpiły pierwsze objawy letargu. O czym mówić, gdy wszystko już zostało powiedziane, objaśnione, przypieczętowane? Tylko dzieci plotły w dalszym ciągu swe w pełni ludzkie głupstwa, a dorośli — buchalterzy i pisarze — woleli ich towarzystwo od rozmów z równymi sobie. Ale matki, przygotowując dzieci do życia, same uczyły swe niemowlęta sakralnego języka dorosłych. 'Moi chłopcy najbardziej kochają Stalina, a potem już mnie' — głosiła Zinajda Nikołajewna, żona Pasternaka. Inni nie dochodzili tak daleko, ale swymi wątpliwościami nie dzielił się z dziećmi nikt: po cóż skazywać je na zagładę? A nuż dziecko wygada się w szkole i zgubi całą rodzinę? Po co ma w ogóle pojmować to, co zbyt ciężkie? Niech żyje lepiej, niż pozostali... I dzieci rosły, powiększając liczbę dotkniętych hipnozą. 'Naród rosyjski jest chory — powiedziała do mnie Pola. — Trzeba go leczyć. Choroba stała się szczególnie wyraźna obecnie, kiedy kryzys minął i zaczynają pojawiać się pierwsze symptomy wyzdrowienia. Poprzednio za chorych uważaliśmy się my — ci, którzy nie straciliśmy wątpliwości'.

Nastąpiło to, o czym Osip Mandelsztam powiedział kiedyś z przekąsem: „Ogólnosłowiańskie marzenie, żeby zatrzymać historię”. Świat stalinowski był światem nieruchomym: „... *wmó-*

wiono nam, że w naszym kraju już nigdy nic się nie zmieni, a reszta świata musi tylko dojść do naszego etapu, to znaczy także wejść w nową erę, a wówczas wszelkie zmiany ustaną na zawsze”. W takim świecie możliwe stało się wszystko: żaden czyn nie posiadał następstw w przyszłości, ponieważ przyszłości nie było, zadenuncjowani znikali *na zawsze*, tradycyjne wartości, oparte na koncepcji przyczyn i skutków w świecie, w którym trwała jedynie wieczna teraźniejszość straciły moc obowiązującą: pod dwuwymiarową płaszczyzną życia była tylko nicość.

Za dopuszczenie do tego stanu rzeczy Nadieżda Mandelsztam wini jednoznacznie inteligencję, która nie dorosła do swej historycznej roli w Rosji: strażnika i obrońcy wartości moralnych. Jej refleksje na ten temat warte są przytoczenia w obszerniejszych wyjątkach.

„Nikt nie potrafi dokładnie określić, czym jest inteligencja i czym różni się ona od klas wykształconych. Jest to pojęcie historyczne; pojawiło się w Rosji i od nas przeszło na Zachód. Inteligencja ma wiele cech charakterystycznych, ale nawet ich wykaz nie tworzy pełnej definicji. Historyczne dzieje rosyjskiej inteligencji są niejasne i zamazane, ponieważ pod tym mianem często występują warstwy, nie mające do niego prawa. Czyż można nazwać inteligencją technokratów i urzędników, nawet jeśli posiadają dyplomy lub piszą powieści i poematy? W okresie kapitulacji autentyczną inteligencję wydano na pośmiewisko, a nazwę przyswoili sobie kapitulanci. Czym jest inteligencja?

Charakterystyczne cechy inteligencji, brane każda z osobna, występują i w innych warstwach społecznych: wysoki poziom wykształcenia, myśl krytyczna i związany z nią niepokój, niezależność sądu, sumienie, humanizm... Te ostatnie szczególnie ważne są obecnie, ponieważ przekonaaliśmy się na własne oczy, że z ich utratą ginie i sama inteligencja. Jest ona nosicielem wartości i przy najbliższej próbie ich odwartościowania ulega zwyrodnieniu i ginie, tak jak zginęła w naszym kraju. Ale przecież nie tylko inteligencja strzeże tych wartości. Wśród ludu zachowały one swą siłę w najczarniejszym okresie, wtedy, gdy odzegnawano się od nich na tak zwanych szczytach kultury... Płynię to może stąd, że inteligencja nie jest warstwą ustabilizowaną i wartości nabierają w jej rękach dynamicznych własności. Jest ona zdolna zarówno do rozwoju, jak i samounicestwienia. Ludzie, którzy dokonali rewolucji i działali w latach 20-tych należeli do tej inteligencji, która wyrzekła się szeregu wartości na rzecz innych, które uznała za wyżej stojące. Był to zwrot ku samozagładzie. Cóż ma wspólnego jakiś Tichonow czy Fiedin z normalnym rosyjskim inteligentem? Tylko okulary i sztuczne zęby. A tymczasem nowych — często są to jeszcze młodzi chłopcy — rozpoznaje się od razu, choć bardzo trudno powiedzieć, na czym polegają te przymioty, które ich czynią inteligentami...

Rosyjska inteligencja ma pewną szczególną cechę, nieznaną, zdaje się, na Zachodzie. Wśród wykładowców na prowincjonalnych katedrach filologii zachodniej raz tylko spotkałam inteligentkę. Pochodzi z Czerniowic i ma na imię Marta. Ze zdziwieniem pytała mnie, dla-

czego tak się dzieje, że ci studenci, którzy poszukują prawdy i dobra, są nieodmiennie wielbicielami poezji. Tak rzeczywiście jest, i to jest Rosja.

O. M. zapytywał kiedyś mnie, a właściwie siebie, co czyni człowieka inteligentem. Nie użył tego słowa — w owym czasie zmieniało ono swe znaczenie i było przedmiotem szyderstw; potem przeszło na biurokratyczne warstwy tzw. wolnych zawodów. Ale sens był ten właśnie. 'Uniwersytet? — pytał. — Nie... Gimnazjum? Nie... Cóż więc? Może stosunek do literatury?... Coś w tym jest, ale nie całkiem...' I wtedy, jako decydującą cechę podniósł stosunek człowieka do poezji. Poezja gra u nas specjalną rolę. Pobudza ludzi i kształtuje ich świadomość. Obecnemu odrodzeniu inteligencji towarzyszy niebawmy pęd do poezji. To jest skarbiec naszych wartości. Wiersze pobudzają do życia, budzą sumienie i myśl. Czemu się tak dzieje, nie wiem, ale jest to faktem.

Na samym początku lat 20-tych rozległ się okrzyk 'o co walczyliśmy?' i zaraz ucichł. Naród jeszcze nie oniemiał, lecz milczał, zamierzając żyć i korzystać z życia. Lecz pozbawiona zajęcia inteligencja zabrała się do przewartościowywania wartości — był to okres masowej kapitulacji. W rzeczywistości kontynuowała ona drogę, wytkniętą przez odwartościowawczy okres przedrewolucyjny i ich następców, typu Awerbacha, chociaż starała się ona naturalnie uniknąć skrajności i z gruba ciosanej otwartości czołwki. Na czele ruchu stali trzydziestoletni, którzy zdążyli być na wojnie. Ci przewodzili młodszym. W ogóle w tych latach działali ludzie trzydziesto- i czterdziestoletni. Starsi, jeśli się uratowali, odsuwali się w milczeniu na bok. U podstaw każdej kapitulacji leżało założenie, że na miejsce 'starego' przyszło 'nowe', i że ten, kto trzyma się 'starego', pozostanie z niczym. Ten pogląd był już przygotowany zawczasu teoriami postępu, a także determinizmem historycznym nowej religii. Kapitulanci podważali wszystkie dawne pojęcia tylko w imię tego, że były dawne — a zatem, że się wystużyły. Dla olbrzymiej liczby neofitów żadne wartości, prawdy ani prawa już w ogóle nie istniały, oprócz tych, które były użyteczne w danej chwili i dla wygody nazywały się klasowymi. Moralność chrześcijańską utożsamiono łatwo z burżuazyjną, a wraz z nią stare przykazanie 'nie zabijaj'. Wszystko wydawało się tylko funkcją. Wolność? A gdzieście ją widzieli?... Żadnej wolności nie ma i nie było... Sztuka, tym bardziej literatura, funkcjonują tylko o tyle, o ile spełniają zamówienie swej klasy — wynikał stąd prosty wniosek: pisarz winien z pełną świadomością i zrozumieniem rzeczy podporządkować się nowemu zleceniodawcy... Z obiegu znikło wiele wyrazów — honor, sumienie, i tym podobne. Nie trudno zdyskredytować te pojęcia, gdy zna się przepis.

Charakterystyczne, że każdym pojęciem posługiwano się w tych latach w jego czystym, tzn. absolutnie abstrakcyjnym sensie, zupełnie nie biorąc pod uwagę jego społecznej, ludzkiej i ziemskiej natury. W ten sposób najłatwiej było je obalić: nie prostszego jak udowodnić na przykład, że nigdzie na świecie nie ma całkowitej wolności prasy, a następnie stwierdzić, że w miejsce namiastek, którymi pocieszają się politowania godni liberałowie lepiej z męską otwartością odciać się dobrowolnie od daremnych usiłowań osiągnięcia wolności. Schematy te wydawały się przekonywujące, ponieważ niedojrzałe umysły nie dorosły do pojęć granicznych ani definicji przez negację.

Psychologicznym motywem kapitulacji była obawa przed pozostaniem samotnie, poza powszechnym nurtem, tęsknota za tzw. całościowym i organicznym światopoglądem, dającym się przykładać do

wszystkich stron życia, a także wiara w niewzruszoność zwycięstwa i wieczność zwycięzców. Ale najważniejszą przyczyną było to, że sami kapitulanci nie mieli w zanadru niczego. Tę przerażającą pustkę pokazał chyba najlepiej Szklowski w 'Zoo', żałosnej książce, w której ze łzami w oczach prosi zwycięzców, by go wzięli pod opiekę. Czy to ludzie ci okradli sami siebie, czy też wojna i okopy wywołały tak smutną reakcję, faktem jest, że poczucie niedojrzałości i potrzeby opieki występowało bardzo silnie. Tylko ten, kto dzielił to uczucie z innymi, był uznawany za człowieka współczesnego...

Andersenowski chłopiec powiedział, że król jest nagi w odpowiednim momencie: ani za późno, ani za wcześnie. Niewątpliwie mówiono to już przed nim nie raz, lecz nikt na te słowa nie zwracał uwagi. Podobnie O. M. powiedział wiele rzeczy za wcześnie, w okresie, gdy wszelka normalna opinia wydawała się beznadziejnie staroświecka i skazana na zagładę. Kto nie wtórował gremialnemu chórowi, szedł w odstawkę. Ogólny chór zagłuszał wszystkich, i naprawdę brzmiał potężnie. Wielu stara się obecnie powiązać lata dwudzieste z dniem dzisiejszym i odbudować dobrowolną jedność, która powstała w owym czasie. Ludzie, którzy ocalili z lat dwudziestych krąją teraz wśród nowych roczników, starając im się wszelkimi siłami wmówić, że panował wówczas niebawmy rozkwit — nauka, literatura, teatr! — i że gdyby wszystko poszło wytkniętą wówczas drogą, znajdowalibyśmy się dziś na szczytach. Resztki Lefu, współpracownicy Tajrowa, Meyerholda i Wachtangowa, studenci i wykładowcy Wifli i instytutu zubowskiego, profesorowie, którzy wyszli z Instytutu Czerwonej Profesury, marksiści i zewsząd wypędzeni formalści, wszyscy, którzy w latach dwudziestych mieli koło trzydziestki, jeszcze teraz nawołują do powrotu do tej epoki i pójsia — już 'nie dopuszczając do żadnych wypaczeń' — wytkniętą wtedy drogą. Innymi słowy: nigdy nie uważali się za odpowiedzialnych za to, co nastąpiło potem. Czy rzeczywiście nie byli? Wszak to właśnie ludzie lat dwudziestych odrzucili wartości i wynaleźli formuły, które służą wiernie i dzisiaj: młoda władza państwowa, niezwykły eksperyment, drwa rąbia, więc wiary leca... Każdą egzekucję usprawiedliwiano tym, że buduje się świat, w którym nie będzie więcej przemocy, zatem żadna ofiara nie jest za wielka w imię tego niesłychanego 'nowego'. Nikt nie zauważył, jak cel zaczął uświęcać środki, a następnie, jak zwykle w takich wypadkach bywa, rozwinął się zupełnie. A to właśnie ludzie lat dwudziestych zapoczątkowali staranny podział na owce i kozy, swoich i obcych, stronników 'nowego', a tych, którzy jeszcze pamiętali o najprostszych regułach ludzkiego współżycia.

Zwycięzcy powinni byli zdumieć się łatwością odniesionego zwycięstwa, lecz przyjęli je jak rzecz sobie należną, ponieważ wierzyli w swą słuszność: wszak nieśli ludziom szczęście... Jedynie wymagania wobec kapitulantów rosły. Świadczy o tym szybkie zniknięcie słowa *poputczik* na rzecz określenia 'bezpartyjny bolszewik', po czym wszystko zastąpił 'wierny syn ojczyzny, kochający gorąco swój naród i ofiarnie służący partii i rządowi'. W tym miejscu nastąpiła stabilizacja.

Pamięć ludzka jest tak skonstruowana, że przechowuje tylko niewyraźne zarysy i legendę, nie same wydarzenia. Aby wydobyc fakty, należy twarzo rozprawić się z legendą, a w tym celu trzeba najpierw ustalić, w jakich kręgach się narodziła. Idylliczne westchnienia za latami dwudziestymi są owocem legendy, stworzonej przez trzydziestoletnich kapitulantów, którym udało się przypadkiem ocalić życie, oraz przez ich młodszych braci. A w rzeczywistości lata dwudzieste to był

okres, w którym powstały wszystkie przygotowania do naszej przyszłości: kazuistyczna dialektyka, obalenie wartości, pęd do jednomyślności i poddania się władzy. Najaktywniejsi obalacze dołożyli swe głowy, ale zanim się to stało, zdążyli przygotować grunt dla przyszłości. W latach dwudziestych nasze organa bezpieczeństwa dopiero rosły w siłę, ale już działały. Trzydziestoletni uparcie głosili swą wiarę. Namawiając, a następnie grożąc, poprowadzili za sobą całe tłumy w następną epokę, w której oddzielnych głosów już nie było”.

Powyższa analiza w uderzający sposób przypomina „Zniewolony umysł” Miłosza — w książce Nadzieży Mandelsztam nie brak też szczegółowych, klinicznych studiów zaczerpniętych z murtibingizmu. Obawiam się, że wpłynie to nawet ujemnie na recepcję książki w zachodnich kręgach intelektualnych; ta trzeźwa, europejska książka — niewątpliwie jednak z najważniejszych *stamtąd* w ciągu ostatnich lat — odmitologizuje bowiem nie tylko wewnątrzrosyjskie legendy, np. bardzo *fashionable* „powrót do lat 20-tych”, lecz i zachodnią, *ulubioną* legendę o romantycznej tajemniczości Rosji, z epoką stalinowską włącznie. Użyłem słowa „europejska” tak jak go używa autorka, świadomie przeciwstawiająca tendencję racjonalistyczną — tradycyjnie związaną z Zachodem — „orientalizacji” Rosji („Większość podróżujących pisarzy — a wypadki na pogranicza były u nas bardzo w modzie — wybierała zazwyczaj świat muzułmański. O. M. uważał ten pociąg do Wschodu u naszych ludzi za nieprzypadkowy. Determinizm, poświęcenie jednostki na rzecz świętej wojny, ornamentalne inskrypcje na dominującej nad człowiekiem architekturze — wszystko to bardziej przemawiało do ludzi naszej epoki, niż chrześcijańska nauka o wolności woli i autonomicznej wartości jednostki”).

Zbieżność zacytowanej analizy „zdrady klerków” z koncepcją Miłosza — która wielu wydawała się nieprzekonywująca, bo zbyt racjonalnie-precyzyjna, zdaje się świadczyć o tym, że stalinowska dzuma jest zjawiskiem, poddającym się krytycznej, *normalnej* myśli ludzkiej. Jeśli choroby takie można zrozumieć (co nie znaczy: wybaczyć), być może można im także zapobiec na przyszłość. Niewątpliwie taki cel też przyświecał tej mężnej kobiecie, która u schyłku swego tułaczego życia, w wątpliwym bezpieczeństwie ubogiej emeryturki, w Moskwie, opisała, jaki los zgotowali ludzie ludziom. Ta książka jest tak samo bezinteresowna, jak bezinteresowna była poezja jej zamężonego męża — jeśli przysłuży się przyszłości, to będzie to przyszłość *innych*:

„Ludzie, tylko milczący lub sami zakrywający sobie oczy na to, co dzieje się teraz, starają się też usprawiedliwić minione. Tacy oskarżają mnie zazwyczaj o subiektywizm: wspomina pani tylko o jednej stronie, a przecież było jeszcze wiele innych rzeczy: budowa,

inscenizacje Meyerholda, czeluskinowcy — mało tego?...’ Mogłabym dorzucić, że istniały jeszcze niebo i gwiazdy, lecz że mimo to należy odkryć sens tego, co zaszło. Przeżyliśmy głęboki kryzys dziewiętnastowiecznego humanizmu, podczas którego runęły wszystkie wartości etyczne, ponieważ motywowano je tylko potrzebami i pragnieniami człowieka, czyli jedynie jego dążeniem do szczęścia. Ale dwudziesty wiek zademonstrował nam też ze szkolną pogładowością i to, że zło posiada ogromną siłę samoniszącą. Rozwijając się, dochodzi nieuchronnie do absurdu i samobójstwa. Niestety pojęliśmy także, że zło w procesie samounicestwienia jest w stanie zniszczyć całe życie na ziemi, i o tym nie należałoby zapominać. Co więcej, jakkolwiek głośno nie wołałoby się o tych prostych prawdach, dosłyszają je tylko ci, którzy sami nie chcą zła. Wszak wszystko już było, i kończyło się, i znów zaczynało się od nowa, ale zawsze z nową siłą i na coraz większą skalę. Na szczęście ja już nie zobaczę, co nam gotuje przyszłość”.

M. BRONSKI

Zadra ocalałych

Poznałem Jadwigę Maurer przed szeregiem lat, gdy przyjechała do Berkeley wykładać literaturę polską. Była wtedy bardzo młoda i nie miała jeszcze tytułu profesora. Była urocza i mądra — kombinacja, o ile wiem, zdarzająca się rzadko u kobiet. Lubitem z nią gawędzić i plotkować. Miała, nie ubliżając kobietom, męskie podejście do zagadnień, ostry, czasem złośliwy, lecz najczęściej trafny sąd o ludziach i rzeczach, no i zmysł humoru. W parę lat później przeczytałem jej pierwszy utwór literacki w *Kulturze*. Powiedziałem jej od razu, że ma wielki talent literacki, że powinna porzucić belferkę uniwersytecką i poświęcić się całkowicie literaturze. Oczywiście trochę przesadziłem, bo uprawianie literatury pięknej na emigracji może być tylko zajęciem ubocznym. Literat na emigracji może być bowiem albo *part-time* literatem, albo głodować. (Przy okazji i w nawiasie podkreślę, że z biegiem lat obserwacji i lektury patrzę coraz podejrzliwiej na pracę profesorską, mając naturalnie na myśli nauki „humanistyczne”).

Tak się złożyło, że pierwsza książka Jadwigi Maurer wyszła dopiero w roku ubiegłym¹. „Liga ocalałych”, jak brzmi tytuł książki, lub „przylądek ocalałych”, jak w innym miejscu mówi autorka, to zbiór dziewięciu opowiadań, związanych wspólnym

1. Jadwiga Maurer. *Liga ocalałych*. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Londyn, 1970.

tematem: dziejami Żydów polskich ocalałych po wojnie — tych co byli na „aryjskich papierach” lub w inny sposób uniknęli śmierci.

Poza pierwszym i ostatnim opowiadaniem miejscem akcji jest Monachium. Książka robi wielkie, powiedziałbym — straszne wrażenie, choć nie ma w niej scen gwałtu lub okrucieństwa, znanych nam z literatury „obozowej”. Tylko w pierwszym opowiadaniu „Biskup” słycać było jak przez łąkę za klasztorem — gdzieś w Słowacji — dniami i nocą szły transporty kolejowe wiozące Żydów węgierskich do Polski, do obozów zagłady. Opowiadania monachijskie są straszne z innej racji — z tych codziennych trosk i kłopotów ludzi zaczynając od „przedziwnego świata Unrry” a kończąc na opowiadaniach z czasu „cudu gospodarczego”, ludzi noszących w duszy zadrę ocalałych wobec milionów zamordowanych. W czasach „unrowskich” Niemcy spoglądali na nich wrogo, co jednak przeszło wraz z nastaniem dobrobytu.

Zamiary wyjazdów i wyjazdy do Ameryki, rzadziej do Izraela. „Podwójne życie” studentki, która z namowy jakiegoś profesora Niemca stała się członkiem grupy studentów niemieckich dążących do pojednania z Żydami, a jednocześnie bywająca stale w stołowiec żydowskiej. „Panie profesorze” — mówiła studentka — „oni są z Polski. Oni są tu w Monachium czasowo”. Ale profesor był uparty, a „profesorowi nie wolno się sprzeciwić”. Oczywiście z pojednania nic nie wyszło.

Są opowiadania tragiczne, jak np. „Miejsce którego nie ma na mapie” — ostatni obóz żydowski na ziemi bawarskiej, którego nieliczni mieszkańcy nie chcieli czy nie mogli zrozumieć, że przeszli niepostrzeżenie pod zarząd niemiecki. Oni jednak chcą trwać dalej w obozie i w razie czego „bronąć się”...

Innym opowiadaniem tragicznym jest „Nie ma Sieglindy” — dzieje „Niemki” rodem z Estonii i niby to z bałtyckich baronów, a naprawdę Żydówki z Dorpatu, która poślubiła Niemca i przetrwała dlatego, że dziadek męża zdołał „załatwić takie papiery”. Teraz Sieglida czuje się duchem, który straszy w zamku Rosenau. Wierzy w winę zbiorową i dlatego po zagładzie Żydów czuje się w zamku, w otoczeniu Niemców, upiorem.

Również tragiczny jest „Spisek ocalałych”, tragiczny dlatego, że taki spisek w ogóle nie istnieje. „Jeden mieszka tu, drugi mieszka tam, jeden ma pieniądze, drugi ich nie ma... Mamy jeszcze pewne wspólne cechy... Przede wszystkim cechuje nas bierność i uległość”.

Tragikomiczną a zarazem najbardziej efektowną jest opowieść „Był sobie dziad i baba”. Wielu ocalałych wyimaginowało sobie w duszy, że śmierć masowa — śmierć, której uniknęli — wyrugowała śmierć indywidualną i „dlatego, że istniała tamta niegdyśsza śmierć, tej obecnej śmierci nie wolno się było zbliżyć do cudem ocalałych”. Ale „czas mija, coś tam zgrzyta, skrzypi jak w źle naoliwionej maszynie. To wieczność z politowaniem kiwa głową”. Przytaczam ten ustęp. Chciałem go dać nawet jako motto do tej recenzji. Przytaczam go dlatego, że opowiadania Jadwigi

Maurer są tylko formalnie opowiadaniem z życia Żydów monachijskich. W miarę lektury rośnie przekonanie, że to są opowieści nie o Żydach, a w ogóle o *ludziach*.

Wszyscy „bohaterowie” *Ligi ocalałych* noszą w sobie zadrę — aby nie użyć oklepanego wyrazu „kompleks”. Ale któż z nas — tak lub inaczej „ocalałych” — nie ma tej zadry?...

Ponieważ opowiadania Jadwigi Maurer są w pierwszej osobie, więc się pewnej zawodowej recenzentce wydało, że są wspomnieniami autorki. Z tytułowała nawet swą recenzję „Prawdomówność Jadwigi Maurer”. Oczywiście — nic podobnego! W opowiadaniach Jadwigi Maurer jest wielka prawda artystyczna, nie mająca jednak nic wspólnego z „prawdomównością”. Nadto recenzentka „nienazwanego profesora” z opowiadania „Polska idealna” nazywa Wacławem Lednickim. Dlaczego? Dlatego że chodzi z pieskiem? Prawdopodobnie autorka miała przed oczami cechy zewnętrzne zmarłego profesora, ale jej „profesor z nieodłącznym pieskiem” jest postacią syntetyczną. Identyfikowanie maurerowskiego profesora z realnym, dziś już nie żyjącym, profesorem Lednickim jest szczytem naiwności.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

Słowa na pustyni — Antologia współczesnej poezji kapłańskiej. Wstęp: Karol Kardynał Wojtyła. Wybór tekstów i opracowanie: Bonifacy Miązek. Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1971).

Kongres współczesnej nauki i kultury polskiej na obczyźnie, Londyn, 9-12 września 1970. Tom I. — Zgłoszone prace przed 1 marca 1970. Redaktor wydawnictwa: dr inż. Mieczysław Sas-Skowroński. Str. 687 i 3 nlb. (Wyd. Komitet Organizacyjny Kongresu, Londyn, 1971).

HEMAR (Marian). *Ody Horacjusza*. Str. 148 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1971).
Grudzień 1970 roku w Polsce. Zeszyt Nr 1. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. Zarząd Twa Przyjaciół Paryskiej Kultury, Toronto, 1971).

KWINTOWA (Irena). *Dar Królowej Róż*. Zbiór baśni i legend z Warmii i Mazur. Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1970).
KRZECZUNOWICZ (Kornel). *Ostatnia kampania konna*. Działania jazdy polskiej przeciw armii konnej Budiennego w 1920 roku. Przedmowa Gen. Dyw. Stanisława Kopańskiego. Str. 377 i 7 nlb. oraz mapy. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Londyn, 1971).

Z dziejów Miejskiej Biblioteki Publicznej im. J. Słowackiego w Tarnowie 1908-1968. Praca zbiorowa pod red. Bronisława Jaśkiewicza. Str. 171 i 5 nlb. (Wyd. w Tarnowie).

FEJTŐ (François). *Dictionnaire des partis communistes et des mouvements révolutionnaires*. Précédé d'un essai sur la crise actuelle de

- l'internationalisme marxiste. Str. 234 i 4 nlb. (Wyd. Casterman, Paryż, 1971).
- BETHELL (Nicholas). *Le communisme polonais 1918-1971. Gomulka et sa succession*. Przedmowa i posłowie dr. Jerzy Mond. Tłumaczenie z angielskiego Alexandry Mond. Str. 345 i 7 nlb. (Wyd. Editions du Seuil, Paryż, 1971, cena 25 F.).
- Bibliographie des travaux des historiens polonais en langues étrangères parus dans les années 1945-1968*. Opracowanie Stefani Skwirskiej. Str. 91 i 1 nlb. (Wyd. Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław - Warszawa - Kraków, 1971; cena 28,— zł.).
- La presse, les intellectuels et le pouvoir en Union Soviétique et dans les autres pays socialistes européens. I. Union Soviétique*. 16 avril 1970, Nr 3 679-3 680, col. „Notes et Etudes Documentaires”. Str. 58 (Wyd. La Documentation Française, Secrétariat Général du Gouvernement, Paris).
- La presse, les intellectuels et le pouvoir en Union Soviétique et dans les pays socialistes européens. II. Pologne et Tchécoslovaquie*. 22 octobre 1970, Nr 3 729-3 730, col. „Notes et Etudes Documentaires”. Str. 58. (Wyd. La Documentation Française, Secrétariat Général du Gouvernement, Paris).
- La presse, les intellectuels et le pouvoir en Union Soviétique et dans les pays socialistes européens. III. Albanie, Allemagne de l'Est, Bulgarie, Hongrie, Roumanie, Yougoslavie*. 3 novembre 1970, Nr 3 736-3, col. „Notes et Etudes Documentaires”. Str. 80. (Wyd. La Documentation Française, Secrétariat Général du Gouvernement, Paris).
- MOND (Georges H. dr). *L'information et la „guerre psychologique” dans un pays socialiste: le cas de la Pologne*. Str. 48 (powielacz). VII^e Assemblée générale, Constance, (RFA) 1970. (Wyd. Association Internationale des Etudes et Recherches sur l'Information — A.I.E.R.I.).
- MOND (Georges H.). *L'Influence de l'opinion publique sur l'information dans les pays socialistes européens*. Str. 61-66, nadbitka z *Revista del Instituto de Ciencias Sociales*, (Diputation provincial de Barcelona, 1970).
- FEDYSZYN (Oleh S.). *Germany's Drive to the East and the Ukrainian Revolution, 1917-1918*. Str. 401 i 3 nlb. (Wyd. Rutgers University Press, New Brunswick, N.J., 1971).
- ANDRZEJEWSKI (Jerzy). *The Appeal*. Str. 118 i 2 nlb. Tłumaczenie na angielski Celiny Wieniewskiej. (Wyd. Weidenfeld and Nicolson, Londyn, 1971).
- BROMKE (Adam), von RIEKHOFF (Harald). *The West German-Polish treaty*. Str. 124-131 nadbitka z *The World Today*. March 1971, Vol. 27, No. 3.
- BROMKE (Adam). *Beyond the Gomulka Era*. Str. 480-492, nadbitka z *Foreign Affairs*, April 1971, Vol. 49, No. 3. (Wyd. Council on Foreign Relations, New York, 1971).
- The Israel Year Book 1971*. Str. 351. (Wyd. Israel Yearbook Publications Ltd., Tel Aviv, 1971).
- LIPSCHÜTZ - LIPINSKI (I. T.). *Judenretter Hans Duda und die Askaris*. Str. 247 i 3 nlb. (Wyd. Verlag „Hamenora”, Tel Aviv, 1971).
- DOBRIANSKY (Lev E.). *U.S.A. and the Soviet Myth*. Str. 274. (Wyd. The Devin-Adair Company, Old Greenwich, Conn. 1971).
- Modern Poland between East and West*. Sześć esejów pod redakcją Jana Ostaszewskiego. Str. 143. (Wyd. The Polish School of Political and Social Science, Londyn 1971).
- Second Congress of Polish American Scholars and Scientists*. Program i wyjątki z opracowań. Przedmowa Damiana S. Wandycza. Str. 100. (Wyd. Columbia University, 23, 24 i 25 kwietnia 1971).

Humor krajowy

WARSZAWA O KPT. CZECHOWICZU

Komunikat nadany przez Radio Free Europe:
„Powrócił do Monachium major Czechowicz, po wypełnieniu zadania”.

- Dlaczego kpt Czechowicz chodzi zawsze w towarzystwie saperów?
— Bo to największy niewypał PRL.

Pseudonimy kpt. Czechowicza:
Ćwierć-Intelligence Service
Kapuś Purchatek
Sznata-Hari
Kapitan Klops.

Kryteria inteligencji:
Inteligent,
Pół-inteligent,
Ćwierć inteligent,
Czechowicz.

W Warszawie na tandem Gierek - Jaroszewicz mówią: Gierek i Pomagierek.

- Kto na VIII Plenum w Warszawie wygłosił najdłuższe przemówienie?
— Gomulka do woźnego apelując żeby go wpuścił.

Zebrała Zofia HERTZ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-4-71

W Warszawie zmarł, w wieku lat 59, Franciszek Waniołka, członek Komitetu Centralnego PZPR. ■ W ciągu roku 1970 wyjechało z Polski do pracy misyjnej w różnych krajach 34 polskich misjonarzy i misjonek. Niektórzy z nich przechodzą jeszcze przygotowanie do czekającej ich pracy. Większość jednak już ją podjęła. Najwięcej, mianowicie 16 misjonarzy wyjechało do Afryki (Zambia — 5, Ghana — 4, Kongo-Kinsza — 4, Kamerun — 2, Uganda — 1), do Ameryki Południowej — 11 (Argentyna — 6, Brazylia — 2, Peru — 2, Paragwaj — 1), do Azji (Indonezja) 4 oraz do Nowej Gwineji — 3. Większość misjonarzy w roku 1970 stanowiły osoby zakonne, a mianowicie: 11 werbistów, 6 sercanów, 3 siostry misjonarki Św. Rodziny, 3 siostry służebniczki Ducha Św., 2 redemptorystów, 2 salezjanów, 2 oblatów, 1 chrystusowiec i 1 zmarłychwstaniec oraz dwaj księża diecezjalni (z Katowic i Włocławka). Ponadto 1 lekarka wyjechała do Ugandy do pomocy w leprozorium dr Wandy Błońskiej w Buluba.

19-4-71

Ogólny stan zasobów mieszkaniowych w Polsce wynosił w końcu 1970 roku ponad 8 milionów mieszkań, a na 1.000 ludności przypadało około 258 mieszkań. W analogicznej sytuacji do Polski znajduje się Związek Sowiecki i Jugosławia. Natomiast mieszkańcy NRD, Czechosłowacji i Węgier są w lepszej sytuacji, gdyż u nich na 1.000 ludności przypada 360 mieszkań. Największe mieszkania wśród krajów socjalistycznych posiadają Węgry i Bułgarzy (61-63 m.kw. powierzchni użytkowej). Powierzchnia mieszkań w Polsce wynosi 45-53 m.kw. — analogicznie jak w Rumunii i Związku Sowieckim. Na statystycznego Polaka przypada blisko 3/4 izby w prawie trzyizbowym mieszkaniu (2,9), w którym mieszka w przybliżeniu 4 osoby (3,9). W podobnych warunkach mieszka ludność Związku Sowieckiego. Mieszkańcy pozostałych krajów socjalistycznych mają mniejsze zagęszczenie na jedno mieszkanie.

22-4-71

Mimo usilnej propagandy PRL jedynie 260-ciu studentów polonijnych z 27-miu krajów studiuje na wyższych uczelniach w Polsce. Obecnie rozpoczęto propagandę, by młodzież polonijna studiowała w polskich szkołach zawodowych. Młodzież zza granicy będzie otrzymywać stypendium na cały okres studiów, dotacje na zakup książek, zniżki opłat za wyżywienie i wreszcie mieszkanie w internatach. Jedyny koszt ponoszony przez kandydatów to opłata za przejazd z miejsca zamieszkania do Polski i z powrotem. Polonia w Związku Sowieckim w dalszym ciągu nie korzysta z żadnej pomocy ni opieki.

24-4-71

Komitet Centralny PZPR zniósł dostawy obowiązkowe rolników począwszy, od 1972 roku. Dostawy obowiązkowe będą zastąpione zwiększonym opodatkowaniem. ■ PRL podpisała kontrakt ze Związkiem Sowieckim na dostawę do Polski kompletnej cementowni, która ma produkować 1.700 tys. ton cementu rocznie. Będzie zbudowana w Strzelcach Opolskich, dostawa urządzeń nastąpi w latach 1973-1975, a termin uruchomienia przewidziany jest na trzeci kwartał 1976 r. ■ W Zakopanem zmarł, w wieku lat 67, Józef Krzeptowski, ratownik górski, przewodnik i kurier z czasów okupacji na trasie do Budapesztu.

26-4-71

W Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich działają 34 kluby twórcze, skupiające 3.500 dziennikarzy. Zadaniem klubów jest kształtowanie zaangażowanych postaw środowiska dziennikarskiego. Plenum Zarządu Głównego SDP jest poświęcone ich działalności. ■ Aleksander Skarzyński, dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań PRL, został mianowany podsekretarzem stanu.

27-4-71

Pierwsza oficjalna delegacja PRL w składzie: dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań, wiceminister Aleksander Skarzyński i dyrektor departamentu MSZ Stefan Staniszewski prowadziła rozmowy w Watykanie z sekretarzem Rady do Spraw Publicznych Kościoła, arcybiskupem Agostino Casaroli. Rozmowy będą kontynuowane w przyszłości. W tym czasie przebywał w Rzymie sekretarz Episkopatu Polski, biskup Bronisław Dąbrowski.

1-5-71

Ostatni sowiecki spis powszechny stwierdza, że na terytorium ZSSR mieszka obecnie 1.167.000 Polaków. Najwięcej Polaków (385.000) mieszka na Białorusi (okręg grodzieński i miński), na Ukrainie (295.000) i na Litwie (240.000). ■ Lotnisko krakowskie zawiesiło swoją działalność na pół roku z powodu modernizacji. ■ W maju ukaże się w Warszawie pierwszy numer miesięcznika *Literatura na świecie*. Zadaniem pisma będzie zapoznanie czytelników z utworami współczesnej literatury światowej zarówno z krajów socjalistycznych, kapitalistycznych, jak i trzeciego świata. ■ W Warszawie bawił francuski sekretarz stanu do spraw zagranicznych, Jean de Lipkowski. Przewiduje się wizytę premiera Jaroszewicza w Paryżu jesienią br.

2-5-71

Zmarł w Warszawie Stanisław Zamecznik, znany artysta-plastyk i architekt. ■ Przyznano doroczną nagrodę literacką Centralnej Rady Zw. Zaw. za książkę związaną tematycznie z życiem i pracą klasy robotniczej. Otrzymali ją: Jerzy Broszkiewicz za powieść pt. „Drugą i szczęśliwie” oraz Jan Maria Gisges za książkę „Śmiech”. Wyróżniono także zbiór reportaży „Krajobraz w ogniu”, ukazujący historię Nowej Huty i skomplikowany proces powstawania nowej robotniczej społeczności. ■ 150 architektów z całej Polski bierze udział w rozpoczętym w Katowicach 3-dniowym plenarnym zebraniu ZG stowarzyszenia architektów polskich.

4-5-71

Czterech pisarzy bułgarskich (m.in. poetów Petrova i Geneva, laureatów nagrody im. Dymitrowa) zostało usuniętych z partii komunistycznej i ze związku ku pisarzy bułgarskich za odmowę potępienia Aleksandra Sołżenicyna.

8-5-71

Otwarto nową linię „Lufthansy” na trasie Warszawa-Frankfurt nad Menem. PRL ma obecnie cztery bezpośrednie połączenia tygodniowo z NRF.

9-5-71

Rolnictwo polskie daje połowę europejskiej (bez ZSSR) produkcji żyta, 35 % ziemniaków, 30 % rzepaku, 24 % truskawek. ■ W 1970 roku liczba zakładów rzemieślniczych w Polsce zmniejszyła się o 6 tysięcy, a w pierwszym kwartale br. o dalsze 2.800. ■ 47,8 % ludności Polski urodziło się po II wojnie światowej. Średni wiek mieszkańca PRL wynosi obecnie 27,5 roku. Ludność w wieku produkcyjnym stanowi dzisiaj 56,2 % ogółu ludności kraju. ■ Dane za I kw. br. wykazały ponownie znaczne różnice cen między województwami w PRL, uzyskiwanych za zwierzęta gos-

podarskie w transakcjach wolnorynkowych. Cena konia roboczego waha się od niecałych 9 tys. zł. w bydgoskim i koszalińskim do ok. 11 tys. w katowickim i krakowskim. Cena krowy dojnej od ok. 5 tys. w woj. białostockim, kieleckim, lubelskim i rzeszowskim do ponad 7 tys. zł. w opolskim, poznańskim i wrocławskim; jałówki jednorocznej od ok. 3 tys. zł. w białostockim, kieleckim, krakowskim i rzeszowskim do ok. 4. tys. we wrocławskim i opolskim; owcy na chów od nieco ponad 600 zł. w rzeszowskim i szczecińskim do 850 w gdańskim i ok. 900 zł. w łódzkim. Jedyne ceny prosiąt nie wykazywały większych odchyśleń między województwami wahając się w granicach 480-520 zł. Wysokie ceny zwierząt są czynnikiem hamującym rozwój hodowli. ■ Program budowy autostrad w CSRS został radykalnie ograniczony w nowej 5-ciolecie. Zamiast zakładanych 60 km. autostrad rocznie wybuduje się tylko 17 km. Jeżeli w następnych pięciolatkach nie powiększy się na ten cel funduszy, to, według inż. J. Kaszpara, budowa autostrad mających włączyć CSRS w system europejski przeciągnie się na 15 następnych 5-cioleciek, tzn. do roku 2070. ■ Rząd rumuński podjął ostatnio szereg kroków celem poparcia gospodarki indywidualnej. Obniżono m.in. podatek dochodowy z produkcji rolnej o ok. 85 %, a podatek od hodowli praktycznie zniesiono całkowicie.

10-5-71

W ramach stypendiów „Polska-UNESCO” przyznanych przez Polskę do dyspozycji UNESCO, przebywa w PRL w roku akademickim 1970/71 — 20 stypendystów, młodych pracowników naukowych. Jedenastu z nich odbywa studia slawistyczne, a pozostali studiuja matematykę, fizykę i astronomię. Ci ostatni korzystają z puli „stypendiów kopernikowskich”, utworzonej dla uczczenia 500-lecia urodzin Mikołaja Kopernika w roku 1973. Stypendyści „kopernikowscy” pochodzą z 6 krajów: 2 z Japonii, 2 z Bułgarii, 3 ze Zjedn. Rep. Arabskiej, oraz po jednej osobie z ZSSR, Iraku i Afganistanu. Troje stażystów studiuje astronomię na uniw. Jagiellońskim w Krakowie oraz na Uniw. im. M. Kopernika w Toruniu. ■ Sąd wojskowy w Karaczi skazał na śmierć kierowcę pakistańskich linii lotniczych, który spowodował w ub. roku wypadek na lotnisku w którym zginął min. PRL Zygfryd Wolniak i 3-ch obywateli pakistańskich.

14-5-71

Jurij Daniel (N. Arzak) autor szeroko na świecie znanych książek, wydanych przez Instytut Literacki, otrzymał pozwolenie powrotu do Moskwy i zgodę na prace przekładowe. O Siniawskim (A. Terc), który nadal przebywa w łagrze, nie ma żadnych nowych wiadomości.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-4-71

12. IV. br. zmarł w Sztokholmie gen. bryg. Zdzisław Przyjałkowski, b. oficer 5 p.p.leg. i dowódca 9-tej Dywizji piechoty w czasie ostatniej wojny. ■ Z opóźnieniem dotarła wiadomość o śmierci znanego działacza polonijnego w USA, Józefa Archackiego, który zmarł, w wieku lat 90, w Glen-Gardener. ■ 5 marca rb. zmarł kpt. pilot Karol Skibiński, najstarszy z pilotów Lotnictwa Polskiego. Pochowany został na cmentarzu Mt Carmen w Toledo, Ohio, USA. ■ Londyński kwartalnik *Trybuna* w nrze 7/63 podaje, że 19. III. rb. odbyła się w Londynie konferencja reprezentantów Federacji Ruchów Demokratycznych oraz przedstawicieli Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Pracy. Konferencja stwierdziła potrzebę koordynacji ocen, wypowiedzi i działań emigracyjnych ośrodków politycznych w sprawach krajowych międzynarodynarodowych, z pominięciem zagadnień personalnych i taktycznych. ■

W Chicago zmarł 1. IV. rb inż. mjr. Bogdan Kwiatkowski, żołnierz Brygady Pancerniej we Francji i Anglii, skoczek spadochronowy AK, szef sztabu Śródmieście-Południe w Powstaniu Warszawskim. ■ 13. IV. 1971 zmarła w Mabledon Hospital w Anglii Ada Kaczkowska, b. urzędniczka MSZ-u.

18-4-71

W Chicago odbył się Sejm jednej z większych organizacji polonijnych społeczno-ubezpieczeniowych, „Zjednoczenia Polek w Ameryce”. Przewodniczącą Zjednoczenia wybrano p. M. Brzezińską.

19-4-71

W BBC II w Londynie został pokazany film dokumentarny o Katyniu pt. „Sprawa winna być pominięta” (słowa Winstona Churchilla). ■ W Londynie ukazała się nakładem Tom Stacey Ltd. książka Louis Fitz-Gibbona pt. „Katyn — a Crime without Parallel”.

20-4-71

Prof. Jerzy Lerski z Uniwersytetu w San Francisco został mianowany doradcą do spraw międzynarodowego bezpieczeństwa i polityki planowania przy Dep. Stanu w Waszyngtonie.

23-4-71

W Chicago zmarł, w wieku lat 79, długoletni redaktor naczelny *Dziennika Związkowego*, Karol Piątkiewicz.

24-4-71

Prezes Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego, Józef L. Osajda, został przewodniczącym dyrekcji Muzeum Polskiego w Ameryce.

25-4-71

W Londynie odbyła się staraniem Stowarzyszenia b. Sowieckich Więźniów politycznych uroczysta msza w kościele Św. Andrzeja Boboli w 31-szą rocznicę Katynia. Analogiczna msza odbyła się w Rzymie w Kościele Polskim, z inicjatywy SPK.

27-4-71

P. Danuta Mostwin obroniła swoją pracę doktorską i otrzymała stopień Doctor Social Welfare na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Przedmiotem pracy doktorskiej był profil polskiej grupy emigracyjnej w Stanach Zjednoczonych. P. Mostwin jest pierwszą Polką, która uzyskała taki tytuł. W Chicago, pod auspicjami Kongresu Polonii Amerykańskiej, zawiązał się Komitet Budowy Polskiego Domu Kultury. Projektuje się wybudowanie gmachu, w którym pomieściłby się polski teatr, kino, sale konferencyjne, lokale dla organizacji, księgarnia i biblioteka.

28-4-71

Dr Tadeusz Bielecki w Londynie złożył rezygnację z przewodnictwa Rady Jedności Naordowej.

30-4-71

Panamerican World Airways (PANAM) zainaugurowała regularne loty New York - Warszawa. Lot trwa 10 godzin z zatrzymywaniem się w Glasgow i w Hamburgu. Loty będą miały miejsce dwa razy w tygodniu.

1-5-71

Prezes Fundacji Kościuszkowskiej, dr Kusielewicz, powiadomił, że „blisko 7 mln. dolarów, posiadanych przez Polaków w Ameryce, ginie rocznie, ponieważ Amerykanie polskiego pochodzenia, którzy nie mają spadkobierców,

umierają nie zostawiając testamentów, bez którego pieniądze przez nich pozostawione przechodzą w obce ręce". ■ Z inicjatywy Kongresu Polonii Amerykańskiej, pod przewodnictwem prof. St. Piwowarskiego i prof. Z. Gołąba odbyła się konferencja, poświęcona przyszłości języka polskiego w St. Zjedn. Na naradzie wysunięto propozycję, aby naukę języka polskiego traktować nie jako naukę języka ojczystego, ale zabiegać, aby język polski — podobnie jak hiszpański, niemiecki, czy francuski — został zaliczony w szkolnictwie amerykańskim, jako jeden z języków obowiązujących obok podstawowego angielskiego. Dopiero wówczas Amerykanin polskiego pochodzenia będzie mógł wybrać w swojej szkole język polski jako dodatkowy i uczyć się go bardziej systematycznie niż w szkołkach parafialnych, które mają co prawda wielkie załugi, ale ich oddziaływanie kurczy się w miarę zanikania swartych skupisk polskich w miastach amerykańskich. ■ Zbiórka na ofiary wypadków grudniowych w Polsce, prowadzona przez specjalny komitet wyłoniony przez Zarząd Gł. Kongresu Polonii Kan., przyniosła dotychczas, wg danych opublikowanych w prasie, ponad tysiąc dolarów. ■ W Alliance College w Stanach Zjedn. nastąpił kryzys na skutek spadku frekwencji o przeszło 20%. Grozi mu odebranie praw wydawania dyplomów, gdyż nie spełnia zasadniczych warunków, zaś prawa te otrzymał czasowo na okres do 1973 roku. Kierownik Alliance College, p. Parciński, został dymisjonowany przez Związek Narodowy Polski. ■ Prasa australijska podaje, że Konsulat Gen. PRL w Australii zakazał biurom podróży, zajmującym się organizowaniem wycieczek do Polski, dawania ogłoszeń do *Tygodnika Polskiego* w Melbourne, redagowanego przez R. Gronowskiego. Zakaz został spowodowany tym, że *Tygodnik Polski* omawiał obiektywnie wydarzenia grudniowego na Wybrzeżu w Polsce. Jest to materialne uderzenie dla pisma gdyż ogłoszenia biur podróży stanowiły w budżecie *Tygodnika* dużą pozycję, tym bardziej że w ostatnich latach ilość wycieczek do Polski stale wzrasta. Red. Gronowski oświadczył, że nie zamierza zmienić linii pisma. Ponieważ biura podróży pracują na licencjach australijskich i podlegają australijskim przepisom jest to niedopuszczalna interwencja ze strony obcego państwa. Władze australijskie zajęły się tą nieprawdopodobną akcją zaalarmowane przez Ryszarda Krygiera, red. kwartalnika *Quadrant* i sekretarza Congress for Cultural Freedom w Australii.

3-5-71

Wniosek posła konserwatywnego A. Neave'a, domagający się wniesienia sprawy katyńskiej na Zgromadzenie Ogólne ONZ, celem zbadania jej przez międzynarodową komisję — został podpisany już przez 151 posłów w Izbie Gmin. W parlamencie irlandzkim (Dail) w Dublinie poseł Charles Haughey ma zamiar wnieść podobny wniosek. W akcji bierze tam czynny udział pisarz Constantine Fitz Gibbon, brat autora książki o Katyniu. ■ *New York Times* w artykule B. Wellesa podaje, że administracja Nixona przygotowuje wniosek dla Kongresu celem upoważnienia „prywatno-państwowej instytucji do dysponowania kwotą 36 milionów dolarów rocznie, przyznanej przez Kongres na potrzeby Radio Free Europe i Radio Liberty. Jeżeli Kongres uchwali ten plan — a pierwsze sondáže są optymistyczne — położą to koniec finansowaniu wymienionych stacji przez CIA. Administracja chce zaproponować uformowanie American Council for Private International Communication, Inc., z zarządem w ilości 15 osób, mianowanych przez prezydenta i zaaprobowanych przez Kongres. Zarząd ten przekazywać będzie z kolei przyznane przez Kongres sumy stacjom radiowym. Również będzie kontrolował istniejące komitety, zarządzające teoretycznie obydwojma stacjami radiowymi.

5-5-71

Ukraińcy w Kanadzie zorganizowali wielkie wiece w obronie skazanych w

ZSSR Ukraińców z Morozem na czele. Na wiece w Toronto przyjęto szereg rezolucji i wystosowano depezę do prem. Trudeau z prośbą o interwencję w Moskwie w czasie jego oficjalnej wizyty. Trudeau odlatuje do Moskwy 16 bm. ■ Artykuł J. Łobodowskiego pt. „Zgryźliwe uwagi na tematy ukraińskie” (*Kultura*, marzec 1971) zaimięściły w tłumaczeniu prawie wszystkie pisma ukraińskie w Kanadzie z jak najbardziej pozytywnymi komentarzami. ■ Aktorzy polscy z M. Cwiklińską i E. Barszczewską na czele występowali w Kanadzie w ramach tury objazdowej, w sztuce pt. „Drzewa umierają stojąc”. Ponadto Barszczewska i Gliński występowali w niektórych ośrodkach recytując wiersze. ■ Poseł David Lewis, 61-letni adwokat z Toronto (urodzony w Polsce, przybył do Kanady jako małe dziecko) został wybrany przywódcą nowej partii Demokratycznej (socjalistycznej, ale nie marksistowskiej). Jego syna, Stefana, wybrano przywódcą prowincjonalnym na konwencji tejże partii w prow. Ontario. ■ Polskie Linie Oceaniczne uruchomiły żeglugę frachtową z Polski poprzez Wielkie Jeziora do Stanów Zjednoczonych. Komunikację zainicjował frachtowiec „Zawiercie”, który przybył do Montrealu Kanałem Św. Wawrzyńca, następnie popłynął w głąb Kanady na Wielkie Jeziora i do Stanów. Frachtowiec zatrzymywał się w portach Toronto i Hamiltonu. ■ W dniach 5-7 maja odbywa się w Montrealu zjazd sławistów kanadyjskich i amerykańskich z licznym udziałem polonistów z tych krajów. ■ Florian Śmieja został mianowany na nadchodzący rok akademicki „acting chairman” wydziału hiszpańsko-włoskiego na uniwersytecie Western Ontario w London, Ont.

6-5-71

Inż. Adam Teofil Müller, Amerykanin polskiego pochodzenia, zamieszkały w Dayton, Ohio, został zaarrestowany w czasie wizyty w Polsce u ojca i skazany przez warszawski Sąd Wojskowy na 5 lat więzienia za szpiegostwo przemysłowe i zdradę tajemnic wojskowych na rzecz państw zachodnich po opuszczeniu Polski w 1958 r. State Department w związku z tym oświadczył, że inni obywatele amerykańscy polskiego pochodzenia powinni wyciągnąć z tej sprawy odpowiednie wnioski jeśli będą chcieli odwiedzać kraj rodzinny. ■ Nowy Redaktor Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, ks. prof. dr Mieczysław A. Krąpiec, udaje się do St. Zjednoczonych i Kanady celem zbierania pieniędzy na przebudowę KUL'u. ■ Republika San Marino i Republika Chińska nawiązały stosunki dyplomatyczne na szczeblu konsularnym. Republika San Marino liczy 18.000 mieszkańców na obszarze 60 km kw.

7-5-71

W Chicago przestał ukazywać się jeden z najstarszych dzienników polonijnych *Dziennik Chicagowski*, wydawany wspólnie przez Zakon Zmartwychwstańców i Zj. Polskie Rzymsko-Katolickie w Chicago. Upadek tego pisma pociągnie za sobą zawieszenie wydawania tygodnika *Ameryka Echo* oraz wydawanego po angielsku tyg. *Polish-American*.

8-5-71

W dniach 8 i 9 maja odbyła się w Paryżu w sali hotelu Lutetia konferencja Międzynarodowej Unii Chłopskiej. Tematem konferencji były w pierwszym dniu: sytuacja rolnictwa w Europie Środkowo-Wschodniej w świetle książki Władysława Bieńkowskiego „Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?”, wydanej przez Instytut Literacki w Paryżu, a przetłumaczonej przez M. W. Ch. i wydanej w języku angielskim. Pracę Bieńkowskiego omówili R. Soumar i dr Dimitrov, zmiany w polityce rolnej w Polsce przedstawił Franciszek Wilk z Londynu oraz Jiri Brych z Monachium. O sytuacji rolnictwa we Francji i krajach wspólnego rynku mówił p. Jean Moreau, sekretarz generalny spółdzielczości mleczarskiej we Francji. W drugim dniu kon-

ferencji tematem jej obrad były perspektywy Konferencji Europejskiego Bezpieczeństwa o czym mówili p. François Moret, radca Prezydium Rady Ministrów oraz Jean Louis Moret, wiceprezes Międzynarodowej Komisji Prawników (International Commission of Jurists) i adwokat Sądu Apelacyjnego we Francji, znany z procesu o oszczerstwo, który wytoczyli przywódcy Unii Chłopskiej pp. Jouvenal i Wurmser, autorom paszkwilu pt. „Międzynaródka zdrajców” w 1952 roku w Paryżu. W dyskusji nad tym zagadnieniem m.in. wzięli udział b. amb. Węgier p. Paul Auer, F. Raksanyi, Pandev, Matic Bakew i in. Polski punkt widzenia na sprawę konferencji przedstawili Jerzy Jankowski z Paryża i Franciszek Wilk z Londynu.

9-5-71

Została zamknięta trwająca od 22 kwietnia w Galerie Motte w Genewie retrospektywna wystawa Józefa Czapskiego, obejmująca przeszło 70 płócien, oraz akwarele i rysunki. Wystawa była dużym sukcesem znanego malarza.

10-5-71

Do Europy przybyli ze Stanów Zjednoczonych przedstawiciele Zgromadzenia Narodów Ujarmionych (ACEN) w Nowym Jorku pp. V. Sidzikauskas, Visoianu, Dr G. M. Dimitrov, Feliks Gadomski, sekretarz generalny ACEN, aby wziąć udział w konferencjach przedstawicielstw ACEN-u w Paryżu i w Londynie, a następnie w Zgromadzeniu Doradczym Rady Europy w Strasburgu w dniach 10-14 maja.

11-5-71

Rozpoczął się w Leningradzie nowy proces przeciwko 9 Żydom, obywatelom sowieckim, oskarżonym o „działalność antysowiecką”. Dwa podobne procesy rozpoczną się: 19 maja w Kiszyniowie i 23 maja w Rydze. Ogółem 13 osób oskarżonych jest o utworzenie „podziemnych organizacji, mogących szkodzić bezpieczeństwu Państwa”.

14-5-71

Związek Ukraińskich Lekarzy i Związek Ukraińskich Inżynierów w USA uchwalił zebrać wśród swoich członków milion dol. na rozbudowę ukraińskich studiów na uniwersytecie w Harvard, Mass.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Listy do Redakcji

26 kwietnia 1971 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Przypadkowo wpadł mi w rękę raport niejakiego pana Czechowicza, publikowany na łamach *Żołnierza Wolności*. Liczę na to, że udzieli mi Pan gościnnych łamów swego pisma dla paru uwag na marginesie owego raportu, jako że nie posiadam innego forum dla komunikowania się z ogółem czytelników w Kraju.

Otóż, w odróżnieniu od p. Czechowicza:

- a) nigdy nie oferowałem swych usług rozgłośni „Wolna Europa”;
- b) nigdy nie ubiegałem się o posadę w tejże rozgłośni (nie czyniłem także paru innych rzeczy, które p. Czechowicz robi).

W pierwszej chwili zamierzałem powołać autora raportu do sądu z zarzutem zniesławienia (beztroszczy i lekkomyślni redaktorzy doczekają się niechybnie, prędzej czy później, takiego procesu, z bardzo przykrymi dla siebie konsekwencjami), aliści oceniwszy poziom raportu, uświadomiłem sobie, że jako zniesławienie należałoby raczej określić pomawianie mnie o ubieganie się o etat w *Żołnierzu Wolności*, czego p. Czechowicz nie uczynił.

Z głębokim powazaniem,

Zygmunt BAUMAN

Monachium, 15 kwietnia 1971.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zainteresował mnie niezmiernie w kwietniowym numerze *Kultury* artykuł Mieczysława Lurczyńskiego pt. „Awantura w Hanowerze”. Treść tego artykułu zbiegła się z moimi doświadczeniami przy organizowaniu wystawy książek i druków polskich w Niemczech Zachodnich. Wystawa ta, jak *Kultura* w „Wydarzeniach miesiąca” wspomniała, odbyła się w dniach między 12 marca a 2 kwietnia. Zebrało się na tej wystawie około dwustu pozycji — gazetek, biuletynów, periodyków wszelkiego rodzaju i książek wydawanych w Niemczech oraz tych których autorzy przebywają, lub przebywali, w NRF.

W sumie był to dość ciekawy przegląd twórczości literackiej i dziennikarskiej.

W organizowaniu tej wystawy wiele zawdzięczamy polskim firmom wydawniczym w tym może najwięcej Instytutowi Literackiemu z Paryża.

Zbierając materiał do tej wystawy zetknąłem się po raz pierwszy w większej mierze z okresem owych „awantur” wydawniczych z lat 1945-1947 w Niemczech. Udało mi się zebrać wiele ciekawych wydawnictw, w tym sporo z tych o których Lurczyński wspomina. W pierwszym rządzie jestem w posiadaniu numerów 4, 6, 8, 11, 12, 15, 16, 17 i 18 „Biblioteczki Kamery”. Są to wiersze Konstantego Mitkiewicza, Mieczysława Ubysza, Jerzego Niemojewskiego, Władysława Szreniawy i Mieczysława Lurczyńskiego. Oprócz poezji „Biblioteka Kamery” dostarczyła ciekawych szkiców literackich Z. L. Zalesskiego.

Poza *Kamerą* zebrałem dość dużo wydawnictw luźnych Polskiego Związku Uchodźców Przymusowych w Hanowerze. Sądzę, że wchodzą one w więk-

szości w ten okres, o którym Mieczysław Lurczyński wspomina. Zbierając te książki natrafiłem na ogromną ilość wydawnictw pomocnych do nauczania zawodów; kilka z tych umieściłem na wystawie, inne pominęłem z braku miejsca.

W sumie, na naszej wystawie, organizowanej przez Syndykat Dziennikarzy Polskich w Niemczech i Polską Parafię w Monachium, znalazło się dużo świadectw na potwierdzenie tego, o czym pisze Mieczysław Lurczyński.

Razem zebrane pozycje książkowe i prasowe pokazały raz jeszcze jak ciekawy i dziwny był okres pierwszych lat pobytu Polaków w Niemczech po wojnie. Z opowiadań tych, którzy łaskawie materiału dostarczali, jak i z lektury, mogłem dowiedzieć się wielu ciekawych stron tej „literatury papierosowej”, jak ją wielu nazywa, ze względu na to że papier i druk załatwiano się przeważnie przez handel papierosami amerykańskimi.

Opowiadania o tym wybuchu wydawniczym, o stosunkach w ośrodkach wydawniczych, o ludziach wykazujących niespotkaną nigdy i nigdzie energię edytorскую są najczystsza sensacją. Ktoś powinien szerzej opisać ten okres. Ktoś, kto go zna doskonale z własnych doświadczeń.

Na zakończenie naszej wystawy zorganizowaliśmy wieczór literacki. Czytane były na nim utwory poetów, pisane w owym wczesno-niemieckim okresie polskim oraz proza autorów polskich piszących w NRF.

Główną atrakcją był niezmiernie ciekawy odczyt Tadeusza Nowakowskiego o powiązaniach polskiej literatury z współczesnymi Niemcami.

Tadeusz Nowakowski jest bodajże najbardziej obeznany z polskimi osiągnięciami literackimi i wydawniczymi w NRF. Jak by to było dobrze, gdyby właśnie spod jego ciętego pióra wyszła opowieść o polskich awanturach wydawniczych w Niemczech w latach 1945-47.

Łączę wyrazy szacunku,

Czesław DOBEK

11 marca 1971.

Shanowny Panie Redaktorze!

W numerze 1/2 (1971) *Kultury* opublikowany został mój artykuł o bojących malarstwu i malarzy w Polsce pt. „W sprawie żywych ludzi”. Artykuł został przemilczany przez władze PRL, których prasa nie podjęła polemiki. Władze PRL mają, wiem o tym dość dobrze, świadomość swych grzechów i chyba wolą zachować milczenie.

Przeciwko artykułowi wystąpił natomiast pan Preyzner (*Kultura*, nr 3, 1971). Pan Preyzner — o ile mogę wnioskować — jest malarzem, ale nie podziela mego współczucia dla cierpiących w Polsce biedę malarzy, współczucia dla ludzi pozbawionych rynku, ludzi, którym odbiera się stypendia. Chcąc nie chcąc bierze w obronę władze PRL, które rozgrzesza poprzez stwierdzenie, że malarska bieda jest zjawiskiem ogólnoswiatowym. Na tym poziomie nie zamierzam podejmować dyskusji.

Muszę natomiast upomnieć się o coś innego. W artykule stwierdziłem, że niestety, w Warszawie niesposób na co dzień zobaczyć obrazów najwybitniejszych nawet twórców, których ranga zdawałaby się bezsporna. Przytoczyłem kilka nazwisk. Pan Preyzner zirytował się. Sygnął inwektywami na jednego z malarzy, którego nazwisko przytoczyłem, na Rafałowskiego. Nie podejmuję się obrony, bo ani ja brat ani swat, ale uważam za niedopuszczalne inwektywę na kogokolwiek w tak ogólnikowej a jednocześnie dyskwalifikującej formie. Przeciż z tego co tam zostało napisane, to że Rafałowski był, lub jest, służką KC jest jeszcze konkretniejsze. Takim błotkiem można przecież każdego obrzucić. Ale gdyby nawet inwektywy te były jak najbardziej uzasadnione, nie dowodziłyby jednego — co miałyby jakieś znaczenie w tej sprawie: że obraz Rafałowskiego są do oglądania w Muzeum

Narodowym, lub że Rafałowski jest złym malarzem, niegodnym wystawiania. Podobnie przedstawia się sprawa z Cybisem.

Co więcej: Jeśli Rafałowski, Cybis i inni, przeze mnie wymienieni są „mile widziani” przez władze, fakt nieudostępniania ich dzieł społeczeństwu, nieistnienia stałej wystawy sztuki współczesnej, nabiera jeszcze silniejszej wymowy. Twierdziłem, że władze PRL nie lubią sztuki i twierdzenie to otrzymuje niezamierzone potwierdzenie.

Marek DROZD

Berkeley, 5 maja 1971.

Drogi Panie Redaktorze,

Apologia „Spokojnego człowieka z Maine” pióra p. Jolanty Dworzeckiej (*Kultura*, kwiecień 1971) nasuwa kilka uwag. Przede wszystkim w sprawie tytułu: czy można nazwać „spokojnym” senatora Edmunda Muskiego, którego twarzyczkę wykrzywioną obłęsnym uśmiechem oglądamy od roku i niemal co dzień w telewizji i który również od roku psioczy na administrację republikańską Nixona, robiąc to zresztą dużo gorzej niż inni pretendenci lub pseudopretendenci do stolca prezydenckiego, jak sen. McGovern, lub sen. Fulbright, lub sen. Edward Kennedy?

Dalej p. Dworzecka pisze, że „Nixon jest powszechnie nielubiany”. Gruba przesada! Popularność jego spadła co prawda po wyprawach na Kambodżę i Laos, gdzie walczy, jak umie, z wojną wywołaną nie przez niego, lecz właśnie przez wybrańców demokratycznych. Jednak Nixon według ostatnich „gallupów” ma przeszło 40 % zwolenników, co wobec przedłużającej się wojny, wrzasków na kampusach, no i skłócenia demokratów, wcale nie jest tak mało.

Co jednak sprawiło, że Muskie stracił szacunek nie tylko w moich oczach, lecz stracił, lub przynajmniej powinien był stracić w oczach każdego myślącego Polaka? — Jego wizyta w Sowietach, dokąd pojechał, jak powiada, jako „prywatny obywatel”, lecz został przyjęty na czterogodzinnej audyencji przez premiera Kosygina. Oczywiście z żadnym przeciętnym „prywatnym obywatelem” amerykańskim Kosygin nie rozmawiałby ani minuty. Rozmawiał z nim, jako z możliwym kandydatem na prezydenta i jako z ruchliwym senatorem, mającym istotnie wielkie sympatie na kampusach i w ogóle wśród młodzieży w wieku 18-21.

Podobno Muskie bardzo kocha Polaków. Cóż, sześć czy więcej milionów głosów Polonii, oddawanych „tradycyjnie” i ślepo na kandydata demokratów, to rzecz nie do pogardzenia! Czy jednak Polacy w Stanach naprawdę powinni się cieszyć z możliwości dostania się sen. Muskiego do Białego Domu? W chwili, gdy p. Dworzecka pisała swoją apologię nie był jeszcze znany artykuł w *Last moment news* wydawanych w Toronto po angielsku, niemiecku i polsku. Artykuł ten z 18 lutego br. nosi tytuł angielski „On Katyn and Mr. Muskie”, a po polsku „Cień Katynia”. W artykule tym mowa o sfilmowaniu morderstw katyńskich przez NKWD i dostarczeniu tego filmu przez agentów Berii chińskim komunistom dla przeszkolenia ich w „stosunkach publicznych”. Obecnie Chińczycy film ten ogłosili.

„Film masowego morderstwa stanowi — czytamy w tym artykule — nowinę dla sen. E. Muskiego, który oparł swoją karierę na prosowieckich liberałach. Oddał im wielką przysługę w świeżo budującej się odwilży w stosunkach amerykańsko-sowieckich, w okresie sowieckiej inwazji na Czechosłowację”.

Gdy głos ten dojdzie do Amerykanów polskiego pochodzenia, trzeba sobie wyobrazić „radość Polaków w Stanach Zjednoczonych, gdyby Muskie dostał się do Białego Domu”.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Zamieszczamy poniższe sprostowanie na prośbę dr. Tibora Petrysa (*Red.*).

Komitet do Spraw Radia i Telewizji
„Polskie Radio i Telewizja”
Naczelna redakcja programów
radiowych dla dzieci i młodzieży

Warszawa, dn. 26. marca 1971.

Redakcja Studencka

SPROSTOWANIE

W dniu 4. XII. 1970 roku w programie studenckim została nadana informacja, w której dr Tibor Petrys był pracownik naukowy Politechniki Krakowskiej został pomówiony o czyny, które mogły go ponizić w oczach opinii publicznej i przynieść mu ujmę jako pracownikowi naukowemu. Poczuwamy się do obowiązku przeproszenia słuchaczy z powodu dezinformacji co do działalności naukowej dr. Tibora Petrysa.

Dr Tibor Petrys, młody naukowiec jest znanym współautorem cennych książek i publikacji fachowych z zakresu smarownictwa. Mamy nadzieję, że niniejsze sprostowanie stanowić będzie dostateczną rekompensatę dla dr. Tibora Petrysa.

Kier. Red. Studenckiej
Bogdan MAJCHRZAK

P.S. Audycję nadano 2. IV. 1971 o godz. 22.00 na fali długiej Warszawa I.

Hamilton, 28 marca 1971.

Szanowny Panie Redaktorze!

Piszę bo mnie sprowokowano do tego, a to z powodów następujących:

1. Kultura staje się bezkrytycznym obrońcą Żydów.
2. Wiele przestarzałych opinii pokutuje w kraju i za granicą o emigracji polskiej.
3. Ostatnia pozycja z serii „Dokumenty” — „List do Emigranta”, O. N. Burba-Kochański, daje wiele do myślenia.

Ad. 1. Adwokat kiedy broni przestępcę przedstawia jego życie i czyny w samych superlatywach. To samo robi *Kultura* walcząc z antysemityzmem. Pomiędzy hitlerowskimi oprawcami i pomiędzy komunistami też się znajduje pewien procent sprawiedliwych, to dlaczego nie miałyby ich być pomiędzy Żydami?

Ale robić z Żydów gorących patriotów, najuczciwszych i to w dodatku pokrzywdzonych ludzi to nieładnie. Są więc dobrzy i zli Żydzi, i tych ostatnich myślę jest więcej. W 1920 roku w czasie wojny bolszewickiej Żydzi małomiasteczkowi podawali się za komunistów kiedy wojska polskie parły na wschód wywieszali flagi polskie i udawali gorących patriotów. Ci nieszczęśliwi wygnańcy kiedy dostaną się do Kanady lub USA żaden nie mówi, że jest Polakiem tylko Żydem, żaden też nie przyznaje się że jest Niemcem, Rosjaninem czy innym Europejczykiem. Chyba, że Żydostwo poważnie wspomaga Pańskie Wydawnictwo i pieniądze wchodzą tu w rolę. Dlaczego *Kultura* drukuje takie opowiadanie „Ojczyzna”, H. Grynberga. Sprawa z tym kałem na grobie jego ojca to gruby nietakt, obojętnie czy to prawda czy fikcja literacka. Mało jest miejsca w starej Europie na którym by ktoś

nie dokonał żywota a załatwiając potrzebę naturalną o tym nikt nie myśli. Jeśli Pan Grynberg we wszystkim szuka marksistowskiej przyczynowości, celowości, i łączności zjawisk, to stąd to zagmatwanie. Nie mieszaj Pan dialektyki w sranie. Mógłbym tu Pana Grynberga wykpić, ale nic z tego mnie nie przyjdzie. Jedno jeszcze pragnę dorzucić. Żydzi sami siebie dyskryminują w Izraelu a wymagają tolerancji od Polaków, Rosjan i innych narodów. Przykłady na to stwierdzenie poszuka sobie Pan Grynberg sam biorąc przykładowo sprawę dzieci z małżeństw mieszanych w Izraelu lub pogrzebów poległych ateistów żydowskich, ucisk i dyskryminowanie Arabów i wiele innych.

Pan Grynberg pisze: „Istnieje rodzaj chamstwa, przed którym nie można zastrzeżać się drzwiami, ani obronić głową...” to prawda ale czy przed chamstwem należy bronić się po chamsku to sprawa do dyskusji.

Ad. 2. Śmieszne rzeczy wypisują publicyści w prasie światowej o Polonii a śmieszności te pochodzą stąd, że za wielu jest przywódców za mało zaś wykonawców. Polonia amerykańska najsilniejsza liczebnie i materialnie pretenduje do przywództwa, na co Londyn i Paryż się nie zgadzają. Bardzo trafną ocenę o emigracji daje Anna Chorążyna w ostatnim podwójnym numerze styczeń-luty 1971 r. Pańskiego pisma.

Cele mamy te same na całym świecie my, polscy emigranci. K. Łukomski — wiceprezydent of the Polish American Congress last October in Winnipeg said: „US and Canada Poles have same goales”. Śmieszne jest to, że tak oczywistą sprawę trzeba uświadamiać na walnym zjeździe i muszą to robić ludzie odpowiedzialni za dyplomami, a oczywista jest ta sprawa dla robotnika. Co dalej mówi Pan wiceprezes: ... „both units have similar goales (1) Raise the image of Polonia (2) Promote Poland's right to be free”. Cele bardzo szlachetne dla całej światowej Polonii tylko cholernie trudne do realizacji bowiem każdy odcień polityczny naszej emigracji chce je realizować po swojemu i w tym tkwi nasza słabość a lekarstwa na nią jeszcze nikt nie znalazł i nie prędko znajdziemy. A o łączności z Krajem w tej sprawie wielu słuchać nie chce.

Ad. 3. Nazwisko fikcyjne, za którym z całą swoją pasją polityczną ukrywa się Juliusz Mieroszewski, jego sposób wnioskowania styl pisarski, słownictwo, słaba znajomość stosunków w Polsce wszystko potwierdza to przypuszczenie. To nie jest ważne kto ten „List” napisał ważne jest aby spełnił on swoje zadanie, które autor tak określa: „Ten trudny list traktuję jako pomost rzucony między skłóconymi, bez próby dochodzenia niedzisiejszych racji ale z myślą o jutrzejszej współpracy”. Osiągnięcia tegoż z całego serca życzę autorowi „Listu do Emigranta”.

Ocena sytuacji krajowej oparta jest wyłącznie niemal o radio „Wolna Europa”, a co sądzi autor listu o wycinku z *Gwiazdy Polarnej*, który załączam, ile warte są jego cytaty i informacje, w świetle tej informacji. Sam słuchałem radia Wolna Europa w Kraju, ale nigdy nie brałem ich obiecanek i propagandy poważnie i mało było ludzi, którzy brali te wieści poważnie. Były one pocieszeniem w chwilach goryczy, podtrzymywały na duchu, ale szybko się o tym zapominało i nikt na Zachód nie liczył pod żadnym względem. Kraj nie będzie szukał pomocy u emigracji, bo tam jest siła decydująca, ale przyjmie ją, jeśli takowa zostanie mu ofiarowana. Może ja się myślę, ale jestem tylko robotnikiem a pismo Pana jest wydawane dla „elity”, do której ja nie pretenduję. Lubię tylko czytać w liniach a jeszcze więcej między liniami, to mój odpoczynek po ciężkiej pracy w fabryce.

Istnieje cała lista przeszkód w dążnościach do nawiązania współpracy skłóconej Polonii światowej z postępowymi siłami w Kraju i o tym co nas dzieli a co łączy warto dyskutować, aby można kiedyś było wejść na drogę obopólnych ustępstw.

O wydrukowanie tego listu wcale Pana Redaktora nie proszę, wiem że jest to niemożliwe, niech więc on będzie cichym dowodem sprostowania pewnych poglądów.

ROBOTNIK Z KANADY

Normalnie nie zamieszczamy listów anonimowych. Jeśli robimy wyjątek dla „Robotnika z Kanady” to dlatego, że wydaje się on nam bardzo typowy zarówno w krytyce jak i w braku konkretnego programu współpracy emigracji i „postępowych sił w kraju”. Chcemy przy tym sprostować: autorem „Listu do emigranta” nie jest J. Mieroszewski. Wystarczy zresztą zapoznać się z ostatnią książką J. Mieroszewskiego pt. „Modele i praktyka”, by zorientować się w różnicach. Redakcja „Kultury” wydając „List do emigranta” stwierdziła, że tekst otrzymała z kraju. Mimo że zarówno w „Bibliotece Kultury” jak i w samej „Kulturze” od kilkunastu lat drukują się teksty pisarzy zakurczonych, nie tylko polskich, ciągle pojawiają się wątpliwości co do autorstwa. Tak i w wypadku „Listu do emigranta” kursują różne wersje ludzi, którzy „wiedzą lepiej”. Miejmy nadzieję, że w niedługim czasie będziemy mogli podać nazwisko autora. Chwilowo jest to niemożliwe.

REDAKCJA

Chicago, 10 kwietnia 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

W Waszym piśmie oglądam i czytam wszystko dokładnie i uważnie, od kolorowej okładki do ogłoszenia na jego ostatniej stronie. Ostatnio w związku z masowym wyjazdem z Kraju obywateli pochodzenia żydowskiego zauważyłem, że Państwo udzielają tej sprawie sporo miejsca. Omawiają ją nie tylko specjalne artykuły, ale interesują się nią też korespondenci stałych rubryk i czytelnicy w swoich listach do Redakcji.

W Nrze 11/278 (1970) P. Kamila Chylińska omówiła rezultaty ankiety Kultury rozpisanej wśród emigrantów polskich po roku 1967 i doszła do przekonania, że duża część całej tej emigracji to ludzie głęboko dawniej zaangażowani w procesie październikowym (str. 51). Być może, że to prawda, chociaż z doświadczenia wiemy, że są wśród nich ludzie, którzy jeszcze przed wojną byli w ruchu komunistycznym, a począwszy od roku 1944 przyjmowali dość odpowiedzialne stanowiska nie mając często odpowiednich ku temu kwalifikacji, skłonni do różnych nadużyć swojej władzy. Ludzie ci też rzekomo reprezentują walkę o „socjalizm o ludzkim obliczu”, orientację wschodnią etc.

Czytając te oceny i wynurzenia, które pewne koła gotowe są odnieść do wszystkich nowych emigrantów, pragnę zwrócić uwagę na ludzi, którzy mimo to, że przed wojną cierpieli lub będąc w wieku nie aktywnym widzieli różnego rodzaju dyskryminacje w stosunku do ich rodziców w okresie dwudziestolecia, o czym zresztą w liście do PT Redakcji pisał dość wyraźnie P. Leon Holzer (Kultura, Nr 12/279, str. 144-146), już we wrześniu 1939 r. uważali wkroczenie Czerwonej Armii do wschodnich połaci Polski za największe nieszczenie narodowe i osobiste, a w machinacjach zwanych wyborami bynajmniej nie głosowali za przyłączeniem tych terenów do Ukraińskiej czy Białoruskiej SSR, chociaż, być może, niektórzy z ich braci hałaśliwie demonstrowali swój entuzjazm. Znamy jednych i drugich, chociaż na ogół wie się więcej o drugich.

Przeżywszy cudem w Kraju lub poza jej granicami na Wschodzie lub

Zachodzie okres 1939-1945 lat myśleli z utęsknieniem o powrocie do polskości i normalnego życia. Znalazszy się po wojnie w nowej Polsce od początku nie cieszyli się tzw. sukcesami budowy socjalizmu, bynajmniej nie stawiali się członkami Partii, nie robili kariery, lecz zajęli się swoją pracą w spółdzielniach, indywidualnych zakładach, fabrykach i szkołach, byli szewcami, krawcami, fryzjerami, stolarzami, nauczycielami szkół podstawowych z poborami sięgającymi 1000 złotych lub średnich, a nawet, co było rzeczą bardziej skomplikowaną, kupcami, artystami i uczonymi, których rozwój hamowano na każdym kroku, bo przecież nie deklamowali bezustannie o ideach marksizmu-leninizmu uskrzydających ich badania. Fale ich bezustannie płynęły za granicę i przed 1968 r., bo przecież z 300.000, które, jak reklamował Związek Sowiecki, uratowały się w Rosji, 100.000, które się uratowały na Ziemiach Polskich, o których ostatnio często się pisało w prasie krajowej, i 50.000 które wróciły z Zachodu, ludności żydowskiej w Polsce w chwili rozpoczęcia ostatniej akcji było tylko 25.000.

Obecnie, kiedy i ci nie zaangażowani ludzie kicked out znaleźli się za granicą, przeżywając może najciężej swoje wygnanie, pragnę się o nich upomnieć.

H. ROZENSTRAUCH

Erie, Pa, 10 maja 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

W notatce kronikarskiej zamieszczonej w kwietniowym numerze Kultury czytam, że Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej przedstawił papieżowi Pawłowi VI sprawę polskich „szkółek” parafialnych.

„Szkołki” to czy „szkoły”? Zadałem sobie mały trud przewertowania kilkunastu stron olbrzymiego spisu wszystkich parafii katolickich w Ameryce, ograniczając się tylko do diecezji Chicago, Detroit, Boston, Erie, Brooklyn, Cleveland i Bridgeport i tylko w tych kilku diecezjach znalazłem informacje liczbowe dotyczące szkół w polskich parafiach. Naliczyłem trzy szkoły liczące ponad 1.100 uczniów i uczenie, cztery liczą ponad 700 uczniów, pięć ponad 600, 6 ponad 500, 7 ponad 400, 27 ponad 300, 28 ponad 200, a tylko osiem ponad stu uczniów. Najmniejsza, małomiasteczkowa szkoła liczy 84 studentów.

Są to wszystko (może jest kilka wyjątków w małych miejscowościach) szkoły ośmioklasowe, niektóre z przedszkolem.

Zgłaszam tę poprawkę, bo wiadomość, że prezes Kongresu Polonii zaprzętał papieżowi głowę jakimiś tam „szkołkami” musi się czytelnikom nie znającym stosunków Polonii Amerykańskiej wydawać dziwna. Zaznaczam, że dane powyższe wzięłem umyślnie z roku 1969, ostatnie dwa lata były dla wszystkich szkół katolickich katastrofalne, a dla wielu polskich też. W samej diecezji Detroit likwidacji ulega z końcem br. szkolnego 56 szkół katolickich, w tym kilka polskich. Przedstawicielom Polonii wydaje się, że przynajmniej niektóre polskie szkoły mogłyby nadal istnieć, ale będą zlikwidowane na skutek nie zawsze życzliwego nastawienia władz diecezjalnych. Ile w tym prawdy, trudno powiedzieć nie zbadawszy losu i położenia każdej poszczególniej szkoły.

Z wyrazami szacunku,

ks. Wojciech SOJKA, c.m.

Rzym, 5 maja 1971.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Dłuższa notatka w kwietniowym numerze *Kultury* pt. „Gen. Sikorski w sowieckiej prasie” przywołała mi na pamięć pewne wspomnienie. Autor notatki cytuje periodyk sowiecki *Znamia* z 1970 roku. Moje wspomnienie sięga naszego wojskowego przemaszu przez dzisiejszy Izrael, a ówczesną Palestynę. W pewnej kronice filmowej pochodzenia sowieckiego pokazywano scenę podpisania układu Sikorski-Majski. W momencie, gdy Sikorski podpisuje układ — podkład muzyczny stwarza odpowiednie tło. Oto rozległa się melodia może nie wszystkim znana w ówczesnej Palestynie, ale tak dobrze pamiętna nam, mieszkańcom ziem polskich, najechnych zbrojnie przez czerwoną armię w 1939 roku. Usłyszeliśmy melodię sowieckiej pieśni: „*Pomniut psy-atamany, pomniut polskije pany*”... I to także wskazywało na „szczęść” sowieckich intencji w momencie podpisywania międzynarodowego traktatu.

Łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia,

Witold ZAHORSKI



Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 2^e Trimestre 1971.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ A. 1,50	\$ A. 8,00	\$ A. 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlatern-gasse Nr 5/2, Steige/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guaiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ-garniach polskich w Paryżu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 51 Oriole Parkway, Toronto 195, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301, Ottawa 2, Telefon: 233-7212; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalkskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczkowski, 2402 Chero- ya Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W. Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; Polish Amer. Book Co., 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; E. Posynlak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F.82; półroczna F.45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poisey, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 202 - SERIA « DOKUMENTY »

POZNAŃ 1956 GRUDZIEŃ 1970

m.in.

Tom zawiera następujące opracowania:

KRONIKA WYDARZEŃ: GRUDZIEŃ 1970 - LUTY 1971 —
BIUROKRATYCZNYCH RZĄDÓW CIĄG DALSZY — SYLWETKI
NOWEJ EKIPY — POZYCJA KOŚCIOŁA — POZNAŃ 1956.

Str. 228.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.60)

TOM 203 - ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Przekład Józefa Łobodowskiego

Str. 480.

Cena F. 40 (dol. 8,50; £ 3.40)

TOM 204 - WITOLD GOMBROWICZ

TEATR

TOM V „DZIEŁ ZEBRANYCH”
(IWONA KSIĘŻNICZKA BURGUNDA —
ŚLUB — OPERETKA)

Str. 224

Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.60)

Ukaże się w czerwcu 1971

TOM 205 - WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (I) 1953-1956

TOM VI „DZIEŁ ZEBRANYCH”

Str. 304

Cena F. 25 (dol. 5,00; £ 2.00)

238

Cena 7,50 F